SAMOOBRONA AGROUNII

SEMINARIUM 35+ KSIĘŻA PRZYSZŁOŚCI

BARBARA ENGELKING BADACZKA WYKLĘTA

Kraków 14 maja 2023 nr 20 (3853) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Dzieci w pułapce egzaminów

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

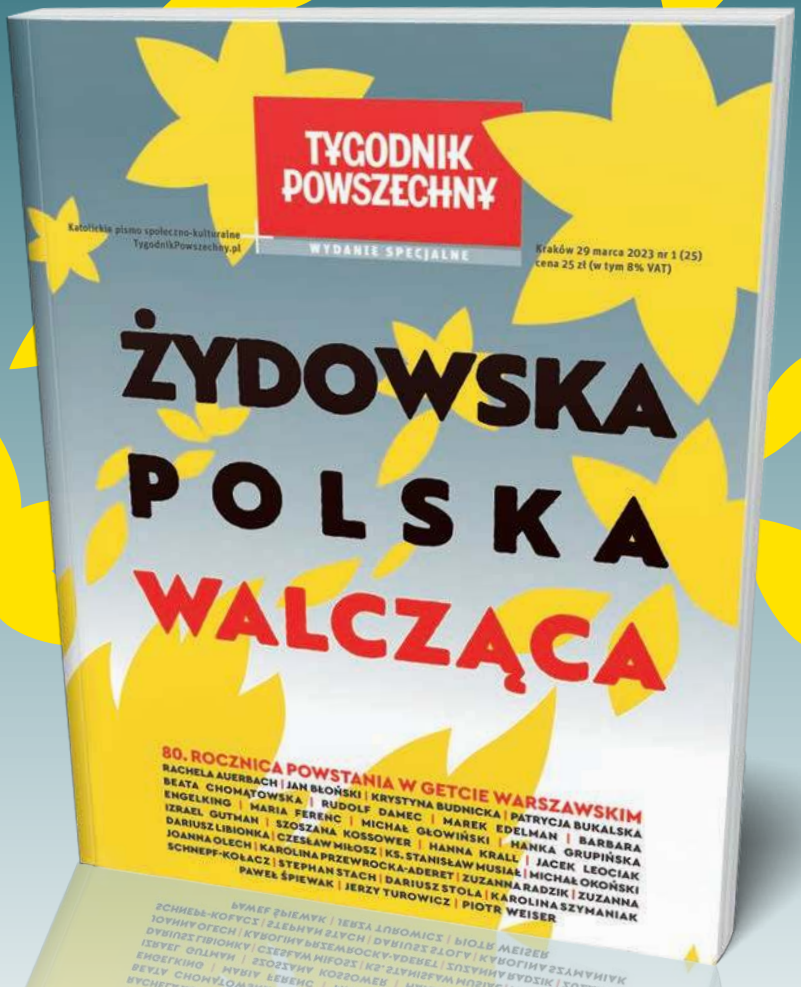

PAWEŁ ŚPIEWAK: *Urodziliśmy się w cieniu wydarzeń, które miały miejsce na sąsiedniej ulicy. W Warszawie przejeżdżamy przez getto w drodze do pracy. Mijamy wpisane w trotuary kamienne znaki wskazujące na mur oddzielający je od reszty miasta.*

W SPRZEDAŻY WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

a w nim nieznane wcześniej zdjęcia z drugiej strony muru walczącego getta

Szukaj w miejscach z dobrą prasą
lub zamów swój egzemplarz na
zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
WSPÓŁWYDAWCA

GŁÓWNY PARTNER WYDANIA
POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

PARTNERZY WYDANIA

KONRAD ADENAUER STIFTUNG
FRIEDRICH EBERT STIFTUNG
ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY 75 LAT
FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ
CENTRUM DIALOGU im. Marka Edelmana w Łodzi
wydawnictwo czarne
zaiks sprzyjamy wyobraźni

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Lonny*

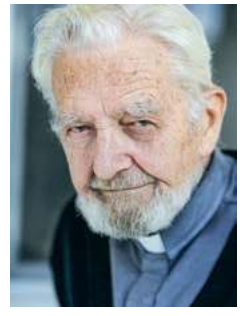

Spotkałem ją w 1972 r. Po długich staraniach jechałem do Rzymu, by tam – taki był pierwotny zamiar – studiować na prywatnym uniwersytecie Pro Deo. Jechałem fiatem 126p, zabrałem ze sobą człowieka ze „Znaku", Franciszka Blajdę. Mieściliśmy się. Miałem dowieźć go do Rzymu i jakoś ulokować. Tymczasem dojechaliśmy do Austrii, co nie było odległym etapem, ale jednak – przekroczeniem gigantycznego progu. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w kraju wolnym od realnego socjalizmu. Już nie pamiętam, jakim sposobem skierowałem się do Lonny. Byłem gościem nieprzewidzianym, lecz zostałem przyjęty tak, jakby to była najnormalniejsza rzecz w świecie. Zostałem tam tydzień, może dłużej. Choć upłynęło tyle lat, pamiętam to doskonale.

Potem wiele razy widywałem Lonny, słyszałem o niej od ludzi, którzy u niej bywali, nigdy jednak już nie korzystałem z jej gościnności. Wiedziałem tylko, że kontynuuje swoją zdumiewającą działalność. Wiedziałem też o jej śmierci w 2021 r., zdumiewałem się, że miała tyle lat (ponad 96), że jej Janineum zakończyło swoją działalność w 2017 r. Dowiedziałem się też, że przybyła przed laty Anna z Krakowa została jej przybraną córką, przyjęła jej nazwisko i była z nią do końca.

Dziś dostałem książkę zatytułowaną „Lonny". Wydawcy i wszyscy, którzy do powstania książki się przyczynili, chcieli ją uwiecznić, udokumentować jej niebywałą pracę i niezwykłe życie. To się nie mogło udać, bo nie da się udokumentować miłości. A Lonny „ludzi kochała i im ufała, nikogo nie wykluczała i nie osądzała". Jej życie było księgą, w której wiele ważnych stron było zapisanych tylko w niebie, bo też nie były to stronice do czytania. Były samym życiem.

Są więc w książce jej pamiętniki; wspomnienia zakonnicy – matki Janiny, jej wychowawczyni; oraz opowiadania Lonny zachowane w pamięci Anny. Pochodziła z zamożnej rodziny Knaus, Fryderyka – matka Lonny – wyszła za mąż za prof. dr. Karola Glasera. Małżeństwo nie trwało długo. Ojciec zabrał synów, a córka została z matką. W 1930 r. matka uległa wypadkowi i zmarła. I tak Lonny została pod opieką babci. Ukończyła dwuletnią szkołę handlową, rozpoczęła pracę w Głównym Urzędzie Celnym. Potem kolejne miejsca pracy, aż do zaangażowania się w pomoc dla Polaków i innych znajdujących się w potrzebie ludzi w Janineum, ośrodku, który założyła.

Wtedy, w drodze do Rzymu, poznałem Janineum. Gigantyczne dzieło! Przyjęło 6 tys. stypendystów (nie licząc gości) z 27 krajów i 123 uniwersytetów, wyższych uczelni i innych instytutów naukowych.

Niewielki odnośnik na stronie 63 poświęcony jest Annie, która okazała się nie tylko współpracownikiem, lecz i przyjacielem Lonny do śmierci. W książce są dwa czy trzy zdjęcia z Anną i zwięzłe, bardzo piękne jej podziękowanie. Na stronie 99 mamy zdjęcie narzeczonego, „le Nickee", o którym w książce mówią dwie linijki. Wszystko w duchu jej bohaterki.

Książka jest wciąż dostępna. Jej wydawcą jest Karolina Grodziska i komitet redakcyjny: Anna Glaser, Barbara Kortus-Turski i Małgorzata Widacka-Rumas. Wszyscy, którzy chcą mieć pamiątkę po Lonny Glaser, albo jej nie znali, ale chcieliby ją teraz spotkać, mogą napisać z prośbą o przesłanie książki – widacka.m@gmail.com. Nie podano ceny, ale możliwe są dobrowolne wpłaty. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Wydawco! Wybierasz się na Targi Książki i Mediów Vivelo do Warszawy?

Zaprezentuj w „Tygodniku" swoje nowości i premiery. Aż **73 proc.** naszych Czytelniczek i Czytelników często kupuje książki, o których czyta na łamach*.

Szczegóły: reklama@tygodnikpowszechny.pl

*Dane na podst. ankiety przeprowadzonej wśród czytelników w marcu 2023 r.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Skutki globalizacji w gminie Błaszki
MAREK RABIJ
Los Andrzeja Leppera pokazał Michałowi Kołodziejczakowi, że trybun ludowy to robota dla politycznych ryzykantów.

32 Dłoń w ogniu
MICHAŁ OKOŃSKI
Manipulacje rządowej propagandy, groźba medialnego wykorzystania, obsesja liczb, załatwianie historią współczesnych sporów... Na badaczy Zagłady, jak na prof. Barbarę Engelking, czekają same pułapki.

48 Ozempicowa twarz
MAŁGORZATA SIDZ
TikTok ogłosił piosenkarkę Arianę Grande nową ofiarą mody na ozempic. Czym jest ten lek?

46 Kobiety z prawem głosu
PIOTR SIKORA
Papież podjął decyzję, że świeccy, w tym kobiety, będą mogli głosować na Synodzie. To przekroczenie wielowiekowego podziału na rządzącą hierarchię i posłuszny „lud Boży”.

66 Skoki ciśnienia
ROZMOWA Z RYSZARDEM KOZIOŁKIEM:
W literaturze tkwi witalność i energia istnienia, które wbrew wiedzy o naszej kondycji mówi życiu: tak, jesteś dobre!

78 Wielka ucieczka
BEATA CHOMĄTOWSKA
Choć czytelnicy, którym dane było odkryć prozę Angeli Carter, byli zachwyceni, krytycy ją ignorowali.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER // MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP” // PAWEŁ KĘSKA // EVE ARNOLD / MAGNUM PHOTOS / FORUM // GRAŻYNA MAKARA // ARIANAGRANDE / TIKTOK

6 Karol, król obywateli
MARCIN ŻYŁA

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Skutki globalizacji w gminie Błaszki
MAREK RABIJ

24 Wszystkie projekcje PiS
STEFAN SĘKOWSKI: *Przez lata środowisko Jarosława Kaczyńskiego wytykało politycznym konkurentom patologie. Dziś twórczo rozwinęło piętnowane metody*

27 Masło z magnesem
DAMIAN NOWICKI: *W ostatnim roku wzrosła liczba kradzieży w sklepach*

HISTORIA

32 Dłoń w ogniu
MICHAŁ OKOŃSKI

WIARA

38 Klerycy ostatniej godziny
STANISŁAW ZASADA: *Czy do seminariów przychodzić będą dojrzali mężczyźni, a nie młokosy po maturze? W Łodzi już to ćwiczą*

43 Narodziny mistycznej perwersji
TOMASZ P. TERLIKOWSKI: *Źródeł skandali seksualnych w Kościele trzeba szukać głębiej niż w kryzysie związanym z rewolucją seksualną. Pokazuje to polska historia mariawityzmu*

46 Kobiety z prawem głosu
PIOTR SIKORA

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

12 To matura, nie chęć szczera
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

W tresurze ku egzaminacyjnemu sukcesowi naszych dzieci doszliśmy do ściany, depcząc po drodze wszystko, co ważne w edukacji – na czele z radością poznawania świata.

FELIETONY

47 WOJCIECH BONOWICZ
59 TOMASZ STAWISZYŃSKI
65 JACEK PODSIADŁO
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

ŚWIAT

48 Ozempicowa twarz
MAŁGORZATA SIDZ

52 Zarzut: kolaboracja
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z CHARKOWA I IZIUMU: *Kolejni Ukraińcy słyszą przed sądem oskarżenie, że działali na rzecz rosyjskich władz okupacyjnych*

56 Gastarbeiterzy za Erdoganem
ŁUKASZ GRAJEWSKI: *Większość Turków żyjących w Niemczech popiera tureckiego prezydenta*

NAUKA

60 Półtora kilograma tajemnic
ROZMOWA Z KATRIN AMUNTS: *Ludzie uczą się inaczej niż obecne algorytmy sztucznej inteligencji. Przyszłe sztuczne systemy będą dokładniej naśladować nasz mózg*

KULTURA

66 Skoki ciśnienia
ROZMOWA Z RYSZARDEM KOZIOŁKIEM

71 Bard zakazanej miłości
FILIP ŁOBODZIŃSKI: *Tęczowa starość też bywa polityczna. Zaświadczył o tym Lluís Llach, autor pierwowzoru „Murów" Jacka Kaczmarskiego*

74 Święty dym
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Siostrzeństwo świętej sauny"*

75 Lustro pana Geldberga
LEKTOR *o książce Ewy Lipskiej „Wariacje Geldbergowskie"*

ZMYSŁY

78 Wielka ucieczka
BEATA CHOMĄTOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Drony nad Kremlem [Rosyjska Ruletka]
Dwa drony spadły na Pałac Senacki na Kremlu. Ukraiński atak czy rosyjski teatr na potrzeby propagandy? – pyta **ANNA ŁABUSZEWSKA** | **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

Etiopia bierze oddech [Podkast Powszechny]
Etiopia podnosi się po krwawym konflikcie w Tigraju. Czy kruche porozumienie zamieni się w trwały pokój? – słuchaj w nowym odcinku podkastu **JAGIELSKI STORY** | **tygodnikpowszechny.pl/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

KAROL, KRÓL OBYWATELI

Paradoks brytyjskiego królestwa polega na tym, że o jego sile decydują już nie monarchowie, lecz mieszkańcy. Im dalej od pałacu Buckingham, tym wyraźniej to widać.

MARCIN ŻYŁA

Król Karol III i królowa Camilla wracają do pałacu Buckingham po ceremonii koronacji. Londyn, 6 maja 2023 r.

Dwa i pół miliarda – nigdy wcześniej tylu ludzi nie oglądało transmisji nabożeństwa. Właśnie religijną uroczystością była przecież koronacja Karola III w opactwie westminsterskim w sobotę 6 maja. Brytyjski król przysiągł, że jego następca będzie tak jak on protestantem; odbierał regalia na tronie, w którym umieszczono proroczy, jak niegdyś wierzono, Kamień Przeznaczenia; po uroczystości, podczas „chwili dla ludu", pomachał zaś wszystkim z balkonu swojego pałacu. Nawet prewencyjne (i głośno krytykowane) aresztowanie grupy antymonarchistów wpisało się jakoś w uniwersalne, na Zachodzie znane nam wszystkim od dziecka, obrazy monarchii – gdzie król, tam zawsze i bunt.

Jeśli nie liczyć londyńskiej pogody, która uniemożliwiła przelot największym samolotom RAF-u i odjęła nieco czaru największej od dekad defiladzie na Wyspach – oraz lichego, jak na potencjał brytyjskiego popu, koncertu w Windsorze – weekend koronacyjny przebiegł ściśle według scenariusza. Oprócz święta chrześcijańskiej wiary (coraz mniej akceptowanej; za chrześcijan uważa się dziś mniej niż połowa mieszkańców Zjednoczo-

nego Królestwa) i służby państwu (w kontekście monarchii też już często podawanej w wątpliwość), przyświecało mu hasło „wspólnota". I choć w samej Wielkiej Brytanii oglądalność koronacji była o jedną trzecią niższa niż pogrzebu Elżbiety II we wrześniu 2022 r., to im bliżej ceglanych szeregowców na przedmieściach, tym bardziej brytyjski był to czas: z sąsiedzkimi imprezami na świeżym powietrzu, z opowieściami rodzinnymi, których punktem odniesienia była często rodzina Windsorów, a także wieczorami w pubach, do czego sygnał dał sam książę William (syn Karola III), odwiedzający w przeddzień koronacji pub w londyńskiej dzielnicy Soho.

Tymczasem odsetek Brytyjczyków, którzy w sondażach deklarują, że instytucja monarchii jest dla nich bardzo ważna, spadł z 65 proc. w 1983 r. do 29 proc. w roku 2023. W dużej mierze odpowiadają za to skandale, których wymownym i trudnym do zaakceptowania przypomnieniem była obecność na nabożeństwie koronacyjnym księcia Andrzeja, brata Karola III i bliskiego kolegi nieżyjącego już przestępcy seksualnego Jeffreya Epsteina. Dwór Karola III czekają też jeszcze publiczne dyskusje, których zapowiedzią jest mocno spóźnione rozliczanie Korony z jej bezpośrednich powiązań z niewolnictwem.

I chociaż, jak pisał sceptyczny wobec Windsorów dziennik „The Guardian", monarchia „służy systemowi z upadłą klasą polityczną i ekonomiczną nierównością, który nie jest w stanie wytrzymać krytyki, więc musi być upiększany ceremoniałem", to z jakichś powodów Brytyjczycy potrzebują tej baśni o królu. Koronacja Karola III – ceremonialne potwierdzenie umowy między monarchą a jego królestwem – znów zaprowadziła ich tam, gdzie czują się tak dobrze, być może najlepiej: na pogranicze realu i zbiorowej wyobraźni.

Paradoksalnie, to właśnie siła brytyjskiej wspólnotowości może przydać energii samej monarchii. Karol III jest w tym kraju nie tylko najstarszym wstępującym na tron monarchą. Jest też pierwszym, który w praktyce nie ma pod sobą poddanych, lecz obywateli (jego matka, Elżbieta II, rozpoczynała w 1952 r. swoje rządy w epoce znacznie mniej równościowej). Kojarzone z 75-letnim dziś królem tematy i przedsięwzięcia – takie jak kwestia ochrony klimatu i przyrody albo wspierająca młodych fundacja The Prince's Trust – mogą „się spotkać" z młodym pokoleniem Brytyjczyków. A książę William, następca tronu, ma wszelkie cechy, by dokończyć transformację Zjednoczonego Królestwa w „monarchię obywateli". ©℗

NEIL MOCKFORD / GETTY IMAGES

Mały procent na wagę wielkiej koalicji

MAREK KĘSKRAWIEC

Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma – można by powiedzieć na temat trwających od miesięcy zapasów Jarosława Kaczyńskiego ze Zbigniewem Ziobrą. Z jednej strony prezesowi PiS coraz trudniej znosić pohukiwania ministra sprawiedliwości, bo dysponuje badaniami, wedle których partię Ziobry popiera 1 proc. społeczeństwa, co z ironią wytknął na Twitterze Ryszard Terlecki, komentując fakt przemianowania Solidarnej Polski na Suwerenną.

Zmiana nazwy to ruch dystansujący Ziobrę od rządu Mateusza Morawieckiego, z którym szef SP prowadzi od lat wojnę podjazdową, nieustannie oskarżając o naiwność, a wręcz uległość wobec Brukseli. Na zjazd SP nie zaproszono Kaczyńskiego ani żadnego innego polityka PiS, co wyraźnie świadczy, że rządząca formacja weszła w fazę przesilenia. Ludzie Ziobry od kilku dni dają do zrozumienia, że nie zaakceptują zmarginalizowania przez PiS na wspólnych listach wyborczych oraz będą się domagać zawarcia oficjalnej koalicji, która zagwarantuje im dostęp do milionów z subwencji. Ochłapy w postaci stanowisk w instytucjach i funduszach już ich nie zadowolą.

Tatarzyn Ziobro z pozoru nie wydaje się graczem mogącym zagrozić Kaczyńskiemu. Startując samodzielnie nie ma szans na przekroczenie 5-procentowego progu, a to może oznaczać jego koniec w poważnej polityce albo ryzykowną antyunijną „długą drogę". Ten drugi wariant jest o tyle kiepski, że antyunijne pole zagospodarowuje Konfederacja, a jej liderzy wykluczają sojusz z Ziobrą. Jest dla nich zbyt „solidarny" (socjalny), kojarzy się mimo wszystko z obecną władzą, a poza tym nie umie działać kolektywnie, co ostatnio partii Mentzena akurat dobrze wychodzi. Nie ma powodu, by to psuć.

Istnieje jednak jeden faktor, który nie pozwala Kaczyńskiemu i Morawieckiemu (jego ludzie właśnie odzyskali TVP i nie będą już w niej promować Suwerennej Polski) pozbyć się łatwo Ziobry. Wciąż popularny wśród twardego elektoratu PiS minister ma wiernych żołnierzy i przy ostrej kampanii z wykorzystaniem akt podległej mu prokuratury (również przeciwko PiS-owi) jest w stanie urwać Kaczyńskiemu więcej niż 1 proc. A to może oznaczać pożegnanie prezesa z władzą. ©℗

PIT 2022: prezenty pod urnę

BEZPRECEDENSOWA – tak Mateusz Morawiecki określił skalę zwrotów podatku za ubiegły rok. Fiskus odda ponad 20 mld zł, które wrócą na konta co najmniej 15 mln podatników. Deklarację PIT składa w Polsce ponad 26 mln osób, zwrot otrzyma więc niemal sześciu z dziesięciu legalnie zatrudnionych. A skoro w ubiegłym roku wpłaciliśmy skarbówce 68,1 mld zł zaliczek z tytułu PIT, to zwroty na poziomie 20 mld stanowić będą 30 proc. dochodów państwa z tego źródła.

Premier Morawiecki zapewnia, że „Prawo i Sprawiedliwość równa się niskie podatki", i już nie próbuje ukrywać, że chaotyczne zeszłoroczne zmiany zwane Polskim Ładem były uwerturą do startującej właśnie kampanii wyborczej. Na pół roku przed wyprawą do urn 15 milionów wyborców dostanie od państwa średnio po 1,3 tys. zł.

W retoryce rządowej zwroty są wyrazem troski o najbiedniejszych. Wzrost kwoty wolnej, podniesienie pułapu pierwszego progu z 85 do 120 tys. zł i późniejsza obniżka podatku PIT w pierwszym progu skali podatkowej z 17 do 12 proc. – wszystko to ma sprawić, że system podatkowy stanie się mniej dotkliwy dla najbiedniejszych. Rząd nie dowiedział się o tym problemie w zeszłym roku. Już w 2017 r., po połączeniu baz danych PIT i ZUS, okazało się, że realne obciążenie ludzi zarabiających mniej niż 30 tys. zł rocznie wynosiło w Polsce 24 proc., a w przypadku osób o dochodach w przedziale 50-100 tys. zł rocznie – aż 39,2 proc. Podatnicy zarabiający powyżej pół miliona złotych rocznie oddali w podatkach i składkach jedynie 21,7 proc.

Szkoda, że pod niskimi podatkami PiS podpisuje się tylko w roku wyborczym.

©℗ MAREK RABIJ

Jeśli to prawda

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Jeśli przeprowadzone przez Fundację Dbam o Mój Zasięg, firmowane przez Fundację Unaweza i jej znaną szefową Martynę Wojciechowską, a rozgłoszone w ostatnich tygodniach przez największe polskie media wyniki raportu o stanie psychicznym młodych Polaków są prawdziwe, to nie mamy już kryzysu – jesteśmy w centrum humanitarnej katastrofy. Jeśli istotnie co dziesiąty Polak między 9. a 21. rokiem życia, a więc ponad 300 tys. dzieci i młodzieży, ma za sobą próbę samobójczą, troje na dziesięcioro podejrzenie depresji, a czworo, czyli ponad milion, myślało o tym, by się zabić – to najważniejsi w państwie politycy oraz urzędnicy powinni odwoływać wyjazdy i urlopy, a opozycyjni liderzy zmieniać kampanijne plany, szykując po nocach środki zaradcze. Natomiast my, dorośli obywatele, powinniśmy rozważyć (co zresztą i tak jest do zrobienia – piszemy o tym na dalszych stronach) masowy bunt przeciw systemowi edukacji i radykalne przewartościowanie życia (też do przemyślenia, niezależnie od ustaleń raportu).

„Jeśli", bo raport „Młode głowy" wzięło kilka dni temu na warsztat dwoje socjologów i badaczy ilościowych, Dorota Peretiatkowicz oraz Janusz Sielicki, a następnie go oni na youtubowym kanale @socjolozkipl (współtworzonym przez tę pierwszą) zrecenzowali. Przykładowe wnioski: uczniowie wypełniali ankiety grupowo, tzn. jeden obok drugiego; próba, rekordowo zresztą duża, była niereprezentatywna; pytania i szablony odpowiedzi nieprecyzyjne (np. co to znaczy, że 3,2 proc. nastolatków doświadcza przemocy „zawsze"?); a niektóre tezy dyskusyjne („podejrzenie depresji" powinniśmy zostawić lekarzom).

To nie jest jakiś błahy, anegdotyczny spór o „clickbait miesiąca". W tej arcyważnej sprawie ostatnie, czego potrzebujemy, to paniki moralne, a za nimi przekonanie młodych ludzi, że poważny psychiczny kryzys dotyczy niemal każdego, jest zatem nie do uniknięcia. Albo więc wykonawcy raportu powinni wycofać się z twierdzeń o jego ilościowym walorze oraz z niektórych uogólniających wniosków, albo solidniej je uzasadnić. Dla spokoju młodych, i nie tylko młodych, głów. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

PEŁNY

PiS złożył w Sejmie projekt ustawy w sprawie zmniejszenia pełnego składu Trybunału Konstytucyjnego z 11 do 9 sędziów, żeby kierowany przez Julię Przyłębską organ mógł zająć się prezydenckim wnioskiem o zbadanie zgodności z ustawą zasadniczą nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym, bez której Polska nie otrzyma środków z KPO. W łonie TK trwa konflikt – 6 sędziów uważa, że kadencja Przyłębskiej dobiegła końca i nie jest już ona prezeską.

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

PUSTY

Echem innego konfliktu – tym razem w łonie Zjednoczonej Prawicy – było oświadczenie Jarosława Kaczyńskiego o wsparciu dla obywatelskiego projektu ustawy, który ma ponoć zapobiegać „seksualizacji najmłodszych". Do tej pory w tej tematyce celował Zbigniew Ziobro.

ODNALEZIONY

Pod Bydgoszczą odnaleziono w końcu pocisk rakietowy, który w grudniu 2022 r. wystrzelono z rosyjskiego samolotu lecącego nad Białorusią i który następnie znikł z polskich radarów.

ZATRZYMANY

Tymczasem na Mazowszu, na posesji b. wicepremiera i b. członka PSL Romana J., odnaleziono ok. 11 mln sztuk papierosów bez znaków akcyzy skarbowej. W związku z tzw. paserstwem akcyzowym b. politykowi może grozić do 5 lat pozbawienia wolności.

Waszych śmieci już nie chcemy

W 2022 R. POLSKA wyeksportowała 350 tys. ton odpadów, w tym samym czasie z zagranicy przyjechało do nas 300 tys. ton. To był pierwszy rok, w którym eksport śmieci przekroczył ich import. Informację przekazała wiceszefowa Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska Magdalena Gosk, podsumowując ją słowami: „Polska nie jest śmietnikiem Europy". Nigdy jednak nie była. W ostatniej dekadzie rekordowe były lata 2018 i 2019, kiedy do Polski przyjeżdżało (głównie z Niemiec) ponad 400 tys. ton odpadów, niewiele więcej niż teraz. Te same Niemcy w 2020 r. ściągnęły do siebie wielokrotnie więcej – 5,1 mln ton odpadów według danych Eurostatu. Import w milionach ton liczy się jeszcze w Holandii, Szwecji i Belgii, a rekordzistką jest Francja – 6,1 mln ton śmieci, 20 razy więcej niż dzisiaj Polska.

Eksperci wymieniają kilka przyczyn spadków. Pierwsza: coraz więcej płacimy za nasze śmieci, więc biznes importu z zagranicy stał się mniej dochodowy. Druga: lepiej zbieramy i przetwarzamy surowce wtórne, więc nie potrzebujemy tyle prostych recyklatów (np. plastiku) ściągać z zagranicy. I trzecia: kluczowy rok 2018, kiedy wprowadzono całkowity zakaz przywozu do Polski śmieci przeznaczonych do unieszkodliwienia np. w spalarniach śmieci. Miliony ton odpadów (zwłaszcza komunalnych) importowanych przez Niemcy, Francję i Holandię kończą właśnie w spalarniach. My nie mamy do tego infrastruktury, a przepisy zmieniono po fali pożarów, kiedy śmieci płonęły na składowiskach zamiast w spalarniach.

To nie znaczy, że nie mamy problemów. Statystyki obejmują jedynie legalne transporty, z nielegalnymi służby walczą od kilku lat, ale coraz skuteczniej. Za niewłaściwą gospodarkę odpadami obowiązują wysokie kary: nawet do 10 lat więzienia i milionowe grzywny, a w lutym zeszłego roku przewóz śmieci został objęty systemem nadzoru SENT, tak samo jak transport alkoholu, tytoniu i paliwa. Dzięki niemu przez 14 miesięcy wykryto 800 transportów przewożących łącznie 10 tys. ton śmieci niezgodnie z prawem. ©℗ KRZYSZTOF STORY

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

MPUMELELO MACU / RED BULL / AFP

BIEG INNY NIŻ WSZYSTKIE. Wings for Life to charytatywna impreza biegowa, z której zyski przeznaczane są na rozwój badań nad uszkodzonym rdzeniem kręgowym. Rywalizacja odbywa się bez klasycznej linii mety: samochód-meta wyrusza pół godziny po starcie zawodników, a ich zadaniem jest nie dać się złapać. Liczy się pokonany dystans, a nie czas. Bieg organizowany jest w 33 miastach na świecie na sześciu kontynentach. W tegorocznej, dziesiątej edycji najlepsza wśród kobiet była Katarzyna Szkoda z Poznania (przebiegła 55 km), a wśród mężczyzn Japończyk Jo Fukuda (69 km; drugie miejsce zajął Polak Dariusz Nożyński). Na zdjęciu: biegacze w Johannesburgu (RPA), 7 maja 2023 r. ©℗ JT

Między Kremlem i Krymem: odliczanie do D-Day

WOJCIECH PIĘCIAK

Niezależnie od tego, czy drony eksplodujące nad Kremlem to dzieło Ukrainy (jako pokaz własnych możliwości i słabości wroga), czy Rosji (jako inscenizacja mająca mobilizować społeczeństwo i uzasadniać ataki odwetowe) – wpisują się one w zmieniającą się dynamikę wojny. Patrząc na ostatnie kilkanaście dni, trudno wskazać moment, gdy można by powiedzieć: zaczęło się! To raczej suma i intensywność zdarzeń sprawiają, iż można odnieść wrażenie, że albo trwa finalne odliczanie, albo „ukraiński D-Day" już się zaczął, tyle że nie od jednej „Normandii", lecz od serii mniejszych (taktycznych) uderzeń w różnych miejscach i charakterze.

Bo ostatnio nie ma dnia, by strona ukraińska nie podejmowała jakichś akcji ofensywnych. Mamy nasilające się ataki (dronów, rakiet) na cele na terenach okupowanych (szczególnie liczne na Krymie, nawet kilka dni pod rząd), a także na rosyjskim pograniczu. Ataki grup dywersyjnych na linie kolejowe (Briańsk). Pożary w składach wojskowych w Rosji. Zamach na Zachara Prilepina, piewcę wojny (sygnał dla podobnych mu: możemy was dosięgnąć). Towarzyszą temu komunikaty władz tworzące celowo zamęt informacyjny, jak ogłoszona w Chersoniu kilkudniowa godzina policyjna i zakaz poruszania się drogami w obwodzie chersońskim – co może sugerować (zwodzić?), że tam ruszy atak.

Także Rosja uderza intensywniej. Celem rakiet i dronów są, można sądzić, obiekty uznane za ważne dla ukraińskiej logistyki. Jest też coraz więcej ofiar cywilnych; najwięcej jednorazowo w Humaniu (23 zabitych w trafionym bloku) i Chersoniu (3 maja zginęło lub odniosło rany 70 cywilów, gdy rakiety spadły na markety ATB i Epicentr, jedyne otwarte w mieście). I po tej stronie nasila się zamęt informacyjny – nawet jeśli obelżywe ataki na ministra obrony ze strony szefa Grupy Wagnera mogą być wymówką, dlaczego jego ludzie wciąż nie zdobyli Bachmutu.

Jedno pozostaje niezmienne: Rosja może skończyć to z dnia na dzień, wystarczy, że przestanie walczyć. Ale dla Putina wojna bez widoków na sukces najwyraźniej jest lepsza niż pokój, który trudno byłoby sprzedać poddanym jako zwycięstwo – nad Ukrainą i Zachodem. ©℗

O dronach nad Kremlem pisze Anna Łabuszewska: **www.tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

„Inaczej wybory zmienią się w farsę"

POLITYCZNA PROPAGANDA nigdy nie potrzebowała prawdy, ale teraz narzędzia oparte na sztucznej inteligencji pozwalają kłamać szybciej, taniej i bardziej przekonująco.

Partia Republikańska opublikowała spot reklamowy, w którym ostrzega, że w razie reelekcji Joego Bidena imigranci będą szturmować granice USA, ogarnięte przemocą miasta zmienią się w strzeżone przez wojsko obozy, a na świecie zapanuje chaos. Zaznaczono wprawdzie, że realistyczne obrazy wygenerowała sztuczna inteligencja, ale było to na tyle dyskretne, że część badanych, którym CNN pokazała spot, sądziła, że te apokaliptyczne wizje już się ziściły.

Manipulacje to chleb powszedni kampanii politycznych, ale wkroczenie na ten grunt sztucznej inteligencji to zupełnie nowa jakość. Zwłaszcza że obrazy przez nią generowane mogą być nie do odróżnienia od prawdziwych, a można je tworzyć szybciej i taniej. „Wkroczyliśmy do świata, w którym wszystko może być fałszywe: każdy obraz, dźwięk czy wideo" – uważa prof. Hany Farid, ekspert od cyfrowych manipulacji z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley.

Problemem jest nie tylko, że łatwiej nas będzie oszukać, ale też to, że ci, którzy kłamią, łatwiej będą mogli się swoich kłamstw wypierać. Nagranie z 2016 r., na którym Donald Trump mówi, że skoro jest sławny, może łapać kobiety za miejsca intymne, dziś mogłoby być zbyte twierdzeniem, iż to wytwór „lewackiej AI".

„Potrzebujemy układu o rozbrojeniu w kwestii wykorzystywania generatywnej sztucznej inteligencji. Inaczej demokratyczne wybory zmienią się w farsę" – uważa Imran Ahmed, prezes Center for Countering Digital Hate. Pierwszy krok zrobiono: Demokraci przygotowują ustawę, zgodnie z którą spoty wyborcze generowane przez SI musiałyby być wyraźnie oznaczone. Mogłaby wejść w życie przed wyborami w 2024 r. © AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

Więcej: na **powszech.net/ai**

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WYBORY

Demokratyczny elementarz przypomniała politykom Rada Stała Konferencji Episkopatu Polski, stwierdzając, że wyborcza rywalizacja nie służy zniszczeniu przeciwników, tylko wybraniu władzy cieszącej się możliwie szerokim poparciem. W związku z czym biskupi apelują, by partie unikały demagogii i populizmu.

RYGORYZM

Przewodniczący włoskiego episkopatu kard. Matteo Zuppi z Bolonii uważa, że w kwestiach wrażliwych, jak macierzyństwo zastępcze czy aborcja, „musimy wyjść poza schemat Horacjuszy i Kuriacjuszy". Chodzi o opisaną przez Liwiusza legendę o pojedynku na śmierć i życie przedstawicieli Rzymu i osad znad jeziora Albano.

MISTRZ

Po raz pierwszy Wielkim Mistrzem Zakonu Maltańskiego nie został Europejczyk o szlacheckim rodowodzie. John Dunlap jest kanadyjskim prawnikiem specjalizującym się w prawie korporacyjnym i imigracyjnym. Od 1997 r. jest radcą prawnym Stałej Misji Obserwacyjnej Watykanu przy ONZ.

KRZYK

Twarze kobiet heroicznie zmagających się z życiem w brazylijskich fawelach, na ukraińskich granicach czy na prowincji Bangladeszu można oglądać przez cały maj na wystawie „Women's Cry" (Krzyk kobiet) w Kolumnadzie Berniniego na placu św. Piotra w Watykanie.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

Plan dla Ukrainy: papież wie, co mówi

„MISJA TRWA, choć nie jest publiczna. Jak będzie, to o niej powiem". Słowa Franciszka, w drodze powrotnej z Budapesztu, zaskoczyły nie tylko dziennikarzy. W ciągu 48 godzin zaprzeczyła im zarówno administracja prezydenta Zełenskiego, jak i rzecznik prasowy Putina. Swoje trzy grosze dorzucił też bp Hilarion, oświadczając niepytany, że jego spotkanie z papieżem było „osobistą rozmową dobrych przyjaciół", podczas której nie omawiano ani spraw międzyreligijnych, ani „żadnych kwestii politycznych". Trudno nie uznać jego słów za reakcję na inny fragment samolotowej wypowiedzi papieża, pytanego przez dziennikarzy, czy prawosławny metropolita Budapesztu może mu pomóc w spotkaniu z Putinem. Franciszek odparł: „A niby o czym z nim rozmawiałem? O Czerwonym Kapturku?".

Najwięcej informacji znajdziemy w dementi – mówi znana w dyplomacji zasada. To, że misja, o której wspomniał Franciszek, już jest lub wkrótce będzie faktem, przyznał sekretarz stanu, kard. Pietro Parolin, dodając: „Dziwi mnie, że Kijów i Moskwa twierdzą, że nie mają o tym wiedzy". Na czym miałaby polegać, nie wiemy (przypuszczalnie na niebezpośrednich „rozmowach" między Rosją a Ukrainą, prowadzonych przez watykańskiego emisariusza). Nie wiemy też, dlaczego papież postanowił ją zdemaskować. Z pewnością nie po to, by jej zaszkodzić. Franciszek, jezuita z wieloletnim stażem, jest graczem zbyt wytrawnym, by strzelać do własnej bramki. W jego zaangażowanie na rzecz pokoju w Ukrainie (pytanie tylko, na jakich warunkach) trudno wątpić. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że ujawnienie misji przyspieszy ją lub usunie przeszkody, na jakie natrafiła. Postanowił wziąć sprawy w swoje ręce, o czym świadczą cztery rozmowy w ciągu niespełna tygodnia: z Denysem Szmyhalem, premierem Ukrainy (w przeddzień podróży na Węgry), premierem Viktorem Orbánem i metropolitą Hilarionem (w trakcie wizyty) oraz metropolitą Antonim, szefem spraw zagranicznych moskiewskiego patriarchatu (dwa dni po powrocie). A także słowa kard. Parolina: „pozwólmy, by papież sam przekazywał ewentualne dalsze informacje na ten temat".

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Matka Boża pod Cedynią, czyli jak nie czytać dziejów

MACIEJ MÜLLER

Jej królowanie jest szczególne, bo to panowanie w naszych sercach i umysłach przez miłość – tak opisał 3 maja sens tytułowania Maryi Królową Polski przeor Jasnej Góry o. Samuel Pacholski. W licznych tego dnia kazaniach przywódcy polskiego Kościoła akcenty kładli jednak zupełnie gdzie indziej. Jak chyba nigdy dotąd obrodziło przykładami ingerencji Matki Bożej w historię Polski.

Abp Marek Jędraszewski wspomniał o obronie częstochowskiego klasztoru podczas potopu szwedzkiego, o konfederacji barskiej i Konstytucji 3 maja. Bp Waldemar Musioł do zasług Maryi zaliczył zwycięstwo w wojnie z bolszewikami w 1920 r., inni biskupi wspominali o bitwie pod Grunwaldem, ślubach lwowskich Jana Kazimierza i jasnogórskich prymasa Wyszyńskiego (bp Adam Wodarczyk), o chrzcie Polski, zwycięstwie pod Cedynią, zjednoczeniu ziem polskich przez Władysława Łokietka, odnowie uniwersytetu w Krakowie, powstaniu dzieł Mikołaja Kopernika, odsieczy wiedeńskiej Jana Sobieskiego, XIX-wiecznych powstaniach przeciw zaborcom, wyborze kard. Karola Wojtyły na papieża i powstaniu Solidarności (bp Jan Piotrowski).

W indeksie podręcznika dziejów Polski wydanego pod egidą polskich biskupów Maryja byłaby chyba najczęściej występującą postacią. Historia w takim ujęciu staje się dosłownie Bożym (czy raczej maryjnym) igrzyskiem, w którym podział na dobrych i złych jest jaskrawy, zwycięstwa i cywilizacyjne osiągnięcia są dziełem Maryi, a upadki skutkami odwracania się od niej.

Usiłowania zbudowania takiej narracji o polskich dziejach przypominają starotestamentalne interpretacje własnej historii przez Naród Wybrany. Starcia, o których czytamy w księgach Kronik czy Królewskich, opisano w takim właśnie kluczu: wierność Bogu skutkuje zwycięstwami, zdrady – klęskami. Jesteśmy my, wierni Panu, i oni – Jego wrogowie. Taka opowieść płynie z przekonania o żywej, dostrzegalnej obecności Boga w życiu narodu, a także z potrzeby odczuwania Jego nieustannej opieki (z tym że w polskim ujęciu „odległego" Boga zastępuje „bliska" Maryja).

Bezkrytyczne mnożenie takich opowieści może jednak grozić kształtowaniem się religijności „plemiennej", zamkniętej na przykład na inne wyznania (co nie jest polską tradycją!), łatwymi manipulacjami (tylko to, co nasze, jest przez Boga wspierane), a także... poczuciem braku podmiotowości w historii. ©℗

KULTURA W SKRÓCIE

NAGRODY FESTIWALU OFF CAMERA

„Kobieta na dachu" Anny Jadowskiej otrzymała Nagrodę Publiczności. „Chleb i sól" Damiana Kocura – Nagrodę FIPRESCI, a Klaudia Śmieja-Rostworowska, producentka filmu „The Silent Twins" – nagrodę Female Voice. Rozmowy z twórcami tych filmów znajdą Państwo w naszym archiwum na TygodnikPowszechny.pl. Krakowską Nagrodę Andrzeja Wajdy zdobył film „Do You Love Me?" Toni Noyabrovej.

ZASKOCZYĆ MALKOVICHA

Jednym z gości Off Camery był John Malkovich. Aktor, reżyser, a czasem i projektant ubrań, w czasie wolnym odwiedził Cricotekę. „Niełatwo mnie zaskoczyć" – mówił w rozmowie z Interią, ale o wizycie w muzeum Kantora powiedział: „To było fantastyczne, jak odkrycie zupełnie nowego świata".

PREMIERA

Ukazała się gra wideo/interaktywny reportaż „We. The Refugees. Ticket to Europe" polskiego studia Act Zero. Zainspirowana prawdziwą historią, opowiada o polskim pisarzu, który pojechał do Afryki, by z uchodźcami dostać się do Europy. Konsultantką gry jest Dalia Mikulska, prawniczka specjalizująca się w prawach człowieka, której reportaże o uchodźcach nasi czytelnicy znają z łamów „Tygodnika". Prototyp gry twórcy zaprezentowali najpierw uchodźcom i wolontariuszom obozu Moria na greckiej wyspie Lesbos.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
www.tokfm.pl

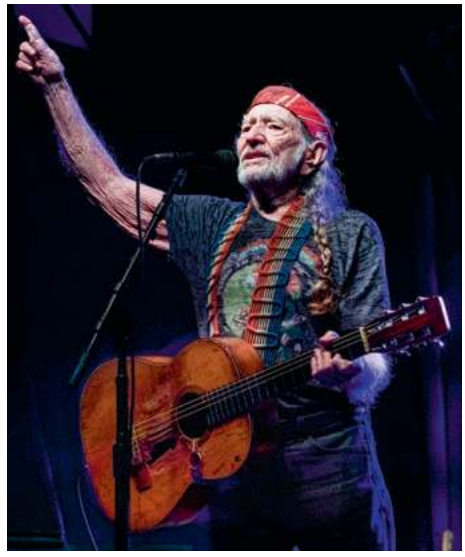

SUZANNE CORDEIRO / EAST NEWS

Wieczny Willie

JEST GŁOSEM AMERYKI, mistrzem rubato, słynącym z ciepłego, rozwibrowanego, lekko nosowego barytonu. Jest twarzą Ameryki, w której część zmarszczek zdaje się należeć do rednecka z Południa, część do hipisa z Zachodniego Wybrzeża, a część – nie tylko ze względu na polityczne sympatie – do nowojorskiego inteligenta. Jest symbolem Ameryki, tyleż ze względu na pasmo sukcesów i nagród, co lata ciężkiej pracy i klęsk, które je poprzedziły. Pierwszą płytę wydał jako 30-latek, pierwszy raz na topie znalazł się po czterdziestce, a wcześniej zatrudniał się m.in. przy zbieraniu bawełny i produkcji siodeł; był też obwoźnym sprzedawcą encyklopedii, które wciskał równie jak on dotkniętym przez los – jak kiedyś śpiewał – „aniołom latającym zbyt blisko ziemi". Doświadczył rozpadu rodziny, utraty domu i majątku. Pewnej zimowej nocy położył się na środku drogi, z nadzieją, że rozjedzie go samochód. Żaden się nie pojawił, więc – wspomina – „musiałem ruszyć d... i jak wszyscy inni w tym zimnym świecie kombinować dalej". Zaczął od pisania tekstów: jego pierwsze hity, „Family Bible", „Night Life" czy „Crazy", podbijały listy przebojów w wykonaniu innych piosenkarzy.

Willie Nelson obszedł hucznie 90. urodziny. Nie sposób wyliczyć artystów i przebojów dwudniowego koncertu, jaki odbył się z tej okazji w Hollywood Bowl – dość powiedzieć, że podobnie jak Nelsona, żadnego nie da się uwięzić w ortodoksji jednego gatunku. Choć zaczynał od country, od lat nagrywa utwory z kanonicznych songbooków jazzu i popu, a także muzyki niezależnej, reggae czy rapu. Podczas urodzin zaśpiewał m.in. „Roll Me Up and Smoke Me When I Die" ze Snoop Doggiem, ale o umieraniu nie myśli: koncertowe plany rozpisał co najmniej do października, a na brak nowych piosenek fani również nie narzekają. Trudno się dziwić, „Jeśli nie masz nic do powiedzenia, niczego nie nagrasz" – napisał w utworze „Shotgun Willie", bagatela, 50 lat temu. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Menopauza i mózg: w poszukiwaniu terapii

NATURALNA UTRATA PŁODNOŚCI u kobiet to jedna z cech, które wyróżniają ludzi spośród innych ssaków. To powoduje jednak, że okres przekwitania kryje przed nauką wiele tajemnic.

Menopauza to brak menstruacji przez kolejnych 12 miesięcy. Definicja wydaje się dość prosta, ale procesy zachodzące w organizmie kobiety na tym etapie jej życia są dużo bardziej skomplikowane. Zanik czynności jajników i spadek produkcji estrogenów i progesteronu wywołują różnorakie skutki – od częstych uderzeń gorąca, przez zmiany w sferze emocjonalnej, aż po zwiększone ryzyko chorób serca i osteoporozy.

Choć przekwitanie jest procesem fizjologicznym, to opanowanie niektórych z jego groźnych i uciążliwych efektów wydaje się konieczne. Jedną z najczęściej stosowanych metod było uzupełnianie brakujących hormonów, które jednak z powodu wzrostu ryzyka zachorowania na raka piersi i endometrium jest uznawane współcześnie za metodę kontrowersyjną.

Wkrótce wśród dostępnych terapii pojawić się może kolejny lek – fezolinetant, który ma łagodzić nocne poty i uderzenia gorąca, dotykające nawet 80 proc. kobiet w okresie menopauzy. W czasopiśmie „Lancet" ukazały się wyniki trzeciej fazy badań klinicznych. Lek wykazał znaczną skuteczność i bezpieczeństwo.

Jego działanie polega na hamowaniu odpowiednich receptorów w mózgu odpowiedzialnych za termoregulację. W okresie rozrodczym efekt hamujący wywołują estrogeny. To właśnie wpływ spadku stężenia hormonów płciowych na działanie mózgu jest jednym z zagadnień najbardziej nurtujących naukowców.

W okresie pomenopauzalnym rośnie ryzyko wystąpienia chorób neurodegeneracyjnych, takich jak choroba Parkinsona lub Alzheimera. Problemem może być też „mgła pomenopauzalna", która zaburza koncentrację i funkcje poznawcze. Opisane w ubiegłym roku w czasopiśmie „Neurology" badanie porównało skany mózgów mężczyzn oraz kobiet przed i po menopauzie. U tych ostatnich liczba zmian istoty białej związanych z zaburzeniami poznawczymi i chorobą Alzheimera była największa.

© BARTOSZ KABAŁA

TEMAT TYGODNIKA

TO MATURA, NIE CHĘĆ SZCZERA

W tresurze ku egzaminacyjnemu sukcesowi naszych dzieci doszliśmy do ściany, depcząc po drodze wszystko, co ważne w edukacji – na czele z radością poznawania świata. Nie źli ministrowie są winni – sami to sobie zrobiliśmy.

TEKST PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI | ILUSTRACJA KASIA KOZAKIEWICZ

Minutę po północy 12 stycznia poznamy wyniki 25. edycji Rankingu Liceów i Techników Perspektywy 2023 – najbardziej oczekiwanego zestawienia wskazującego 1000 najlepszych polskich liceów i 500 najlepszych techników. To szkoły, w których warto się uczyć!" – krzyczał na początku roku miesięcznik „Perspektywy", organizator faktycznie najgłośniejszego oświatowego rankingu w Polsce. Ta emfaza nie była na wyrost: z podobnym poruszeniem o wynikach donosiły dzień później lokalne media; z utrzymaną w podobnej temperaturze dumą ogłaszali swoje wysokie miejsca rankingowe dyrektorzy placówek.

A później przez Polskę przeszła rytualna debata na temat rankingu, którego metodologia jest prosta: w pierwszym rzędzie brane są pod uwagę wyniki maturalne absolwentów, w drugiej zaś – osiągnięcia olimpijczyków. Znowu więc usłyszeliśmy o liceach, które zbierają „najlepiej rokujących" uczniów już na starcie, zatem ich wysokie miejsca w rankingu nie są równoznaczne z poziomem nauczania; o uczniach renomowanych szkół, którzy ze względu na – podbijaną przez podobne zestawienia – egzaminacyjną presję popadają w psychiczne kryzysy, bo szkoły wymagają od nich coraz więcej, a tych słabszych w skrajnych przypadkach zniechęcają do zdawania albo nawet wypychają. Z drugiej zaś strony o tym, że to alarmy histeryczne, bo przecież kryzysy są teraz wszędzie. Debata, jak zwykle, dość szybko się zakończyła.

4 maja maturzyści rozpoczęli maraton, którego wyniki posłużą do kolejnego zestawienia „Perspektyw". Za dwa tygodnie w swój ruszą ósmoklasiści. Jest i jeszcze będzie wokół tych dwóch egzaminów sporo szumu, bo też są w tym roku niezwykłe. Do matury przystąpił przecież rocznik edukacyjnych „królików doświadczalnych" władzy – uczniowie, którym „zmieniono zasady w trakcie gry", kiedy dowiedzieli się, że jako pierwsi będą chodzić do ośmioklasowej podstawówki. W dodatku to rocznik przeczołgany pandemią; pierwszy, który – po dwóch latach przerwy – przystąpi do egzaminów ustnych.

Ósmoklasiści to z kolei ofiary reformy „sześciolatki do szkół". Niecałą dekadę temu w dwóch latach ściśnięto trzy roczniki dzieci – to one w warunkach o półtora raza większej konkurencji przystąpią zaraz do egzaminów.

Usłyszymy więc znowu o oszukanych rocznikach i o nieuczciwej selekcji kandydatów do liceów. Obwinimy, w zależności od światopoglądu, nieprzygotowane samorządy lub nieudolne ministerstwo. I znowu umknie nam istota: największa z przewlekłych chorób współczesnej szkoły, czyli obsesja punktów, testów, a przede wszystkim egzaminów, na których stoi polski system oświaty.

Historia pewnej obsesji

Nad Wisłą zrobiono wiele, by rangę egzaminów wzmocnić. W 1999 r. weszła w życie firmowana przez rząd Jerzego Buzka reforma edukacji, trzy lata później odbył się pierwszy zewnętrzny (taki sam w całym kraju) egzamin gimnazjalny, mający odtąd współdecydować o rekrutacji do szkół ponadpodstawowych. A po kolejnych trzech latach miała miejsce pierwsza obowiązkowa tzw. nowa matura – podstawa selekcji na studia.

W 2015 r. Instytut Badań Edukacyjnych po stronie plusów tej zmiany zapisywał np. to, że „pokazują i sprawdzają to, co jest ważne", że egzaminy „pomagają egzekwować realizację podstawy programowej", „dają informację zwrotną dla szkół, nauczycieli i polityki edukacyjnej", a także „są sprawiedliwsze i bardziej profesjonalne".

Dziś o to, czy testy sprawdzają to, co ważne, spieramy się niemal nieustannie, a szkodliwość przeładowanych podstaw programowych jest bezsporna. Dwa pozostałe walory w 2019 r. podawała w wątpliwość Najwyższa Izba Kontroli, alarmując m.in., że „nie funkcjonuje ↦

↦ mechanizm, który pozwalałby na porównywanie wyników egzaminów z kolejnych lat". Izba stawiała też zarzut fundamentalny: że brak „systematycznych badań (...) uniemożliwiał przeprowadzenie kompleksowej oceny wpływu systemu egzaminów zewnętrznych na system oświaty".

Mówiąc prościej: błądzimy w ciemnościach, nie wiedząc nawet, co ten kurs obrany na punktowo-testową buchalterię nam dał. Bo co odebrał, widzimy gołym okiem. Wskazywane przez IBE „zawężanie programu nauczania", „uczenie pod testy", a także nadmierną rywalizację dostrzeże każdy.

Nie tylko, rzecz jasna, w Polsce. Mikołaj Marcela, polonista, filozof i edukacyjny ekspert, dowodzi w wydanej w 2021 r. książce „Selekcje. Jak szkoła niszczy ludzi, społeczeństwa i świat" (poddającej skądinąd frontalnej krytyce nie tylko egzaminy, ale cały oparty na szkolnym obowiązku system), że to tendencja większości rozwiniętych krajów, w których szkoły stały się po prostu emanacją zapętlonych w rynkowym wyścigu społeczeństw. Marcela pokazuje np., jak wzrosty nierówności i koncentracji kapitału w rękach garstki najbogatszych zbiegają się z „przypisywaniem coraz większego znaczenia testom i rankingom szkół, tworzeniem nowych badań – takich jak PISA czy TIMMS – wskazujących, które systemy edukacyjne radzą sobie lepiej".

W Polsce ta historia – ponad trzy dekady III RP, ponad dwie z zewnętrznymi egzaminami – nie jest długa. A jednak zdążyliśmy uznać dyktat testów za coś normalnego. Jak świdrujący w uszach dźwięk dzwonka między lekcjami albo tablicę powieszoną na froncie klasy tuż pod państwowym godłem.

Lekcja pierwsza: ucz się, bo nie zdasz

A przecież to walec, który niszczy większość tego, co w edukacji ma sens: przyjemność poznawania świata, szukanie własnego miejsca na ziemi, radość wspólnej pracy zamiast rywalizacji. Kto miał już (nie)szczęście przejść – jako rodzic lub nauczyciel – przez wszystkie etapy edukacji, ten wie, o czym mowa.

Mowa o gasnącym z miesiąca na miesiąc entuzjazmie ucznia pierwszych klas podstawówki, pierzchającej – przynajmniej w kontekście szkolnej nauki – ciekawości świata, a w to miejsce rozpychającej się szkolnej atmosferze współzawodniczenia (brak ocen w klasach 1-3 to zasada dotycząca wyłącznie klasyfikacji końcowej). O chłopcu z drugiej klasy podstawówki, który rozpłakał się w trakcie lekcji, bo dowiedział się, że dostał najgorszą ze wszystkich ocenę.

Mowa o szósto-, a już na pewno siódmoklasistach słyszących niemal codziennie: „Pomyśl o egzaminie, półtora roku to jak chwila" albo „Na tym trzeba się skupić, to będzie na teście" – i płacących realną cenę tej coraz szybszej gonitwy (nie tylko emocjonalną: wyniki badań psychologów rozwojowych, według których szkoła okrada dzieci z umiejętności twórczego i innowacyjnego myślenia, znane są od dziesiątek lat). O czternastolatce, którą rodzice muszą odwodzić od czytania jej ulubionych książek, bo ich lektura nic nie da podczas zbliżającego się egzaminu.

Mowa o licealistach, o których Mikołaj Marcela pisze nawet, że padają ofiarą nowego typu dyskryminacji: „»Jeśli tak będziesz odpowiadać, nie zdasz matury, moja droga«. Mniej więcej takie słowa dość często słyszała maturzystka, z którą pracowałem jako tutor kilka lat temu. Wygadana, świetnie pisząca, asertywna, oczytana (...). A mimo to była strasznie zirytowana, bo nie mogła się pogodzić z faktem, że jej ukochany przedmiot – język polski – przez większość szkoły średniej podporządkowany był przygotowaniom do matury".

Mowa o nauczycielach, też pozbawionych złudzeń, że ktokolwiek doceni ich za cokolwiek innego niż realizację podstawy programowej, wyniki testów i egzaminów. O tym, że część z nich wiedzie w murach szkoły podwójny żywot – część zajęć poświęcając czemuś, co ma według nich i ich uczniów sens, drugą zaś część temu, co nakazane – mówi się od dawna. Odnoszę jednak wrażenie, że takich nauczycieli jest coraz mniej: okrzepła przez ponad dwie dekady doktryna nauczania „pod testy" w połączeniu z powodującą zaległości programowe pandemią musiały zrobić swoje.

A przecież to właśnie w ostatnich dekadach pod strzechy weszła wiedza o tym, jak bardzo przeciwskuteczne jest odwoływanie się wyłącznie do zewnętrznej motywacji nauki („Ucz się, bo nie zdasz"). Dlaczego więc polski – i nie tylko polski – system edukacji umacnia się wyłącznie wokół idei tych dwóch wycieńczających „cykli olimpijskich"? Czemu nadaliśmy im tak niezwykłą rangę, tak się wzajemnie – w trójkącie uczniowie-rodzice-nauczyciele – nakręcając, że nie wiadomo już, kto tu jest katem, a kto ofiarą?

„Jeśli młodzi ludzie w trakcie pandemii najbardziej martwią się zadaniami domowymi i presją egzaminów, co to mówi o systemie? Jak bardzo pogubiliśmy się w tym, czym powinna być edukacja?" – pyta Marcela i przytacza dane z raportu UNICEF „Nasza Europa, nasze prawa, nasza przyszłość", zgodnie z którymi właśnie na to jako największe źródło stresu wskazywało aż 66 proc. europejskich uczniów. W Polsce czas początku epidemii miał swoją specyfikę: nieśmiałe głosy, by odpuścić egzaminy, nie były nawet brane przez oświatowe władze pod uwagę. Przeciwnie: ich organizacja to był dla ministerstwa punkt honoru; główny miernik tego, czy się tej pandemii damy, czy nie damy.

Ten kurs obrany na egzaminy, punkty i współzawodnictwo naprawdę nie jest niewinny. On nam organizuje plany lekcji. Ustawia priorytety. Zmienia ludzi oraz ich postrzeganie rzeczywistości.

Lekcja druga: płać, bo przegrasz

Język polski, który w podstawówce i liceum stał się w wielu szkołach kilkuletnim kursem wiedzy o wymaganych na egzaminie lekturach, tak skutecznie zniechęca do czytania obowiązkowych pozycji, że wyodrębniły się – oczywiście w bardziej optymistycznym wariancie; pesymistyczny zakłada porzucenie lektur w ogóle – dwa czytelnicze obiegi. Książki czytane z własnej woli (np. bijąca wśród nastolatków rekordy popularności „Rodzina Monet") i książki narzucane (np. rekordowo pogardzany „Pan Tadeusz") to jakby dwa różne – choć pozornie do siebie podobne – przedmioty.

Nauką języka angielskiego w ostatnich klasach podstawówki tak zawładnęła logika przygotowania do egzaminu ósmoklasisty, że na lekcjach tych... nie mówi się po angielsku. Po co, skoro egzamin odbywa się tylko w wersji pisemnej? Oczywiście nie jest tak we wszystkich szkołach, ale jedno jest pewne: system nie sprzyja robieniu niczego, czego nie da się przeliczyć na rekrutacyjne punkty.

Lekcje plastyki, WOS-u, WF-u, ale też fizyki czy chemii stały się edukacyjnymi produktami drugiej kategorii, „bo nie będzie ich na egzaminie" (uczniowie mogą co prawda otrzymać w rekrutacji do szkoły ponadpodstawowej punkty za świadectwo, ale liczą się oceny z jedynie dwóch – poza polskim i matematyką – wybranych przedmiotów).

Co, jeśli nie nadzwyczajna presja, sprawiło, że istnieją w tym roku w ósmych klasach podstawówek takie, w których nie ma ani jednego – ani jednego! – ucznia bez przyniesionego kilka miesięcy wcześniej lekarskiego zaświadczenia bądź orzeczenia z poradni psychologiczno-pedagogicznej, a więc kwitów wydłużających czas trwania egzaminu o 50 proc.?

Na ołtarzyku edukacyjnego sukcesu położyliśmy radośnie nawet wolontariat. Za jego udokumentowanie ósmoklasista dostanie w rekrutacji do liceum trzy punkty. Niby ta służba człowiekowi waży więc stosunkowo niewiele, ale przecież trzy punkty mogą zaważyć – wtedy dobro zwycięży.

Stworzyliśmy sobie drugi obieg edukacji, z płatnymi korepetycjami jako czymś równie oczywistym jak prywatny dentysta. O ile kilka lat temu wartość tego rynku szacowano na 4 miliardy złotych, w 2022 r. osiągnął on poziom 7,5 mld. Badający wydatki polskich rodziców na edukację CBOS notuje też wzrosty tych, którzy płacą za dodatkową naukę. Np. odsetek zapewniających swoim dzieciom „korepetycje i kursy przygotowawcze" wzrósł przez nieco ponad dekadę ponad dwukrotnie – z 12 do 25 procent.

To wszystko pokłosie nie tylko – jak wskazuje się od lat – słabości systemu edukacji i państwa jako takiego, które transferami pieniężnymi rekompensuje marny poziom usług publicznych. To także efekt systemu edukacji owładniętego rywalizacyjnym amokiem.

Lekcja trzecia: są równi i równiejsi

Który w dodatku udaremnia osiągnięcie celu deklarowanego przez każdą edukacyjną władzę: odmienianego przez wszystkie przypadki zrównywania szans. Zgodnie z prostą zasadą: im więcej rywalizacji, tym większa szansa na zwycięstwo tych, którzy zaczynali bieg, mając przewagę.

„W większości system szkolny to zamknięty krąg: osoby, które na to stać (...) inwestują w swoje dzieci od najmłodszych lat. W ten sposób zapewniają im jak najlepsze miejsce na starcie szalonego wyścigu (...). Stawką jest jak najlepsze – w rankingach lub pod innymi względami – przedszkole, szkoła i uniwersytet. Ci, którzy nie mogą sobie na to pozwolić, zadowalają się tym, co dostają, i pozostają na dotychczasowym poziomie drabiny społecznej" – czytamy w „Selekcjach".

Kurs obrany na współzawodnictwo nie jest niewinny. On nam organizuje plany lekcji. Ustawia priorytety. Zmienia ludzi oraz ich postrzeganie rzeczywistości.

Podobną diagnozę znajdziemy w opublikowanym niedawno „Obywatelskim Pakcie dla Edukacji" – dokumencie podpisanym przez kilkadziesiąt wiodących organizacji społecznych, popartym zaś przez organizacje nauczycielskie i samorządowe. „Polskie szkoły (czasem nawet przedszkola) pracują w neoliberalnym modelu indywidualnych osiągnięć (i tym samym osobistych porażek) (...) Rodzi to lęk i frustrację, zaburza poczucie własnej wartości, nie tylko słabszych uczennic i uczniów, ale także tych »lepszych«" – czytamy w „Pakcie", którego autorzy nazywają polską szkołę „salą treningową do egzaminów".

Krytyka wyścigu szczurów – tak w szkole, jak i poza nią – jest rzecz jasna tak stara jak sam wyścig. Zwykle jednak za jego tempo winimy współczesną kulturę, ewentualnie system edukacji i jego projektantów. Lub nauczycieli, rozliczanych właśnie z tego, jakie wyniki osiągną na egzaminach ich uczniowie.

Rzadko my sami, rodzice – ale też my, obywatele – spoglądamy w lustro.

Lekcja czwarta: bądź bierny

Wróćmy na moment do dyskusji wokół rankingu „Perspektyw". W samej tylko „Gazecie Wyborczej" można było się natknąć na ciekawy, choć może niezamierzony dwugłos. Dominika Wantuch w „Wysokich Obcasach" przestrzegała, że jeśli skupimy się na rankingach, to „w dorosłe życie wypuścimy cyborgi na lekach potrzebujące pomocy psychoterapeutów". A Olga Szpunar kilka dni później cytowała Nauczyciela Roku 2021 Dariusza Martynowicza, zniesmaczonego modą na... krytykowanie rankingów.

Były i głosy symetrystyczne. Zgodnie z nimi rankingi – choć upraszczające edukacyjne hierarchie – mierzą to, co mierzalne, a co niemierzalne, świadomy użytkownik musi sobie dośpiewać sam. Jarosław Pytlak, dyrektor SP 24 Społecznego Towarzystwa Oświatowego na Bemowie, pokazywał inne niż rankingowe aspekty działania placówek: ich wyposażenie, wystrój, atmosferę. „Szkoła, jaka jest, każdy widzi – pisał na blogu Pytlak. – Może zobaczyć, o ile tylko potrafi obserwować. Ciekawe oczy zlustrują sale lekcyjne, otaksują salę gimnastyczną i pracownie przedmiotowe lub odnotują ich brak, krytycznie ocenią wygląd i język nauczycieli".

Oto pytanie: czy istotnie zlustrują, otaksują i krytycznie ocenią? Czy wierzymy, że dla zdecydowanej większości rodziców za frazą „dobra szkoła" albo „wysoka jakość edukacji" kryje się coś więcej niż skuteczność w egzekwowaniu tzw. wiedzy i kompetencji? Że dla czterdziesto-, pięćdziesięciolatków wychowanych przez ten sam system szkolny, co ich dzieci, a potem ukształtowanych przez rynkowy wyścig III RP ↦

↦ szkoła jest czymś więcej niż przedbiegiem do prawdziwej rozgrywki – konkurencji na rynku pracy?

Tę wizję zdają się podawać w wątpliwość choćby stale rosnące nakłady na korepetycje. W deklaracjach bywamy wprawdzie wobec tego systemu krytyczni. W sondażu opinii rodziców o edukacji, przeprowadzonym w 2020 r. przez ARC Rynek i Opinie dla „Rzeczpospolitej", mniej więcej połowa pytanych krytykowała nastawienie szkoły na teorię, testy i egzaminy – kosztem „rozumienia tematu".

Tylko na ile te deklaracje pokrywają się z zachowaniami? W „Selekcjach" Marcela dzieli się następującą refleksją: nawet jeśli szkoły nie twierdzą, „że wyniki testów mówią wszystko o uczniach, działają tak, jakby to była prawda". Podobnie bywa z rodzicami: nawet jeśli deklarujemy zmęczenie egzaminami, nawet jeśli znane nam są przypadki psychicznych kryzysów napędzanych szkolną gonitwą – zachowujemy się tak, jakby wyniki testów mówiły wszystko o naszych dzieciach.

A w każdym razie nie buntujemy się. Organizacje rodziców to dziś najsłabsze ogniwo systemu edukacji – wszelkie ich formalne gremia, w rodzaju szkolnych rad rodziców, pozostają zwykle kwiatkami do kożucha dyrektora placówki. Po raz ostatni ta rozproszona grupa społeczna wywalczyła sobie wpływ na rzeczywistość, „ratując maluchy" przed reformą „sześciolatki do szkół". Co symptomatyczne, chodziło (przynajmniej w mniemaniu organizatorów protestu) o bezpieczeństwo najmniejszych dzieci. W żadnej innej edukacyjnej sprawie polscy rodzice jako zorganizowana grupa w ostatnich latach nie zaistnieli.

A jako jednostki nawet gorzej: nie raz i nie dwa bywali aktywni w dziele konserwowania anachronicznego systemu – szkoły wartościującej, testującej, selekcjonującej. Nie wierzycie, to porozmawiajcie z tymi nauczycielami, którzy chcieli w swojej naiwności wprowadzać – na różnych etapach edukacji – elementy ocen opisowych: niejedna z tych historii kończyła się pielgrzymkami rodziców domagających się przywrócenia „trój", „czwórek" i „piątek". Dla jasności i porządku.

To nie oskarżenie, raczej próba opisu brakującego elementu układanki, której całość to nieartykułowana zgoda wszystkich stron – także wielu nauczycieli, dyrektorów, a już na pewno polityków – na system edukacji zafiksowany na nieustannym „sprawdzaniu wiedzy i kompetencji".

> Na ołtarzyku „sukcesu" położyliśmy nawet wolontariat. Ósmoklasista w rekrutacji do liceum dostanie za służbę innym trzy punkty.

Tylko wojna lub kataklizm

Tymczasem świat wygląda coraz mniej tak, jak ten z naszych wspomnień. Wynik egzaminu – nawet matury – nigdy nie decydował o życiu, ale kiedyś wpisywał się przynajmniej w bardziej linearny porządek naszego życia: dobra nauka w liceum, dobrze zdane matura i egzamin wstępny równa się szansa na dobre studia; dobre studia równa się większe prawdopodobieństwo kariery – zwykle w tym samym fachu do emerytury.

Teraz częściej decyduje błysk (informatyczny, artystyczny, biznesowy), umiejętność zjednywania sobie ludzi, przekonywania, przewartościowywania swojej kariery, może nawet kilka razy w życiu. Tymczasem współczesną szkołę, jak dowodzi Mikołaj Marcela, obchodzi tylko – mierzona również testami IQ – inteligencja analityczna. Za to lekceważy się jej szerszą definicję, którą autor „Selekcji" przytacza za amerykańskim kognitywistą Scottem Barrym Kaufmanem – biorącą też pod uwagę „uzdolnienia i zainteresowania, cele oraz zaangażowanie młodych ludzi w to, co robią".

Jak wyjść z pata? Wiara, że wystarczy przepędzić z warszawskiej al. Szucha niekompetentnego ministra edukacji, jest tylko kolejnym naiwnym fantazmatem ekspercko-środowiskowych baniek – wszystkie ekipy rządowe od ponad dwóch dekad umacniały, chcąc czy nie chcąc, system zafiksowany na rywalizacji.

Zapewne dlatego Mikołaj Marcela deklaruje pod koniec swojej książki, że w żadną zmianę nie wierzy – i to nie tylko w Polsce. „Czekamy, aż politycy zmienią szkołę, choć to szkoła w znakomitej większości kształtuje polityków, a przez to instytucje państwowe oraz rynek. Można więc z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że zmiana (...) nie zajdzie – bez udziału znaczącego wydarzenia, takiego jak wojna czy kataklizm naturalny na skalę globalną – dopóty, dopóki nie zaczniemy (każdy z osobna lub w większych wspólnotach) działać".

Jak z „sali treningowej do egzaminów" chcieliby wyprowadzić polskie dzieci sygnatariusze „Paktu" – gremium, którego przynajmniej część można chyba uznawać za rodzaj eksperckiego zaplecza kolejnej ekipy na al. Szucha? To program mniej radykalny. Przeczytamy tu o redukcji wymagań w podstawie programowej (co jest refrenem od lat), o modyfikacji wymagań egzaminacyjnych, co ma doprowadzić „do zmiany podejścia osób nauczających, uczniów, uczennic i ich rodziców do procesu uczenia się. Egzaminy są dziś narzędziem selekcji (...), tymczasem powinny pełnić przede wszystkim funkcję diagnostyczną".

Wystarczająco dużo, by wierzyć w szczerość intencji. I odpowiednio mało konkretnie, by wyobrazić sobie kolejną podobną – przynajmniej pod względem podejścia do szkolnej rywalizacji – oświatową władzę.

Jedno jest pewne: nie będzie zmiany bez wsparcia ze strony najbardziej konserwatywnej siły polskiej oświaty – rodziców. Socjolog Przemysław Sadura mówił wielokrotnie (także na łamach „TP") o przekleństwie polskich reform edukacyjnych, nigdy dostatecznie nietłumaczonych ludziom, robionych – nawet jeśli w interesie ludu – to bez jego poparcia. Np. przed wysłaniem sześciolatków do szkół „nie przygotowano żadnej kampanii, która by wytłumaczyła ludziom, że dzieci z rodzin o niższym kapitale kulturowym mogą zyskać" (cytat z wywiadu dla „TP" z 2020 r.).

Teraz zadanie jest jeszcze trudniejsze: jak przekonać pokolenie czterdziesto- i pięćdziesięciolatków, że ich dzieci potrzebują w szkole czegoś zupełnie innego, niż dostali oni? Zadanie równie karkołomne, jak wyobrażenie sobie świata bez matur.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Temat Tygodnika

Podobał Ci się tekst? Temat, który poruszyliśmy, uznajesz za ważny i inspirujący?

Co tydzień w tym miejscu zajmujemy się sprawami, które warte są pogłębionego namysłu. Następny materiał z cyklu „Temat Tygodnika" już w środę a poprzednie przeczytasz pod adresem powszech.net/temat-tygodnika

W ostatnich numerach pisaliśmy między innymi:

- o tym, jak Jan Paweł II stał się polskim chochołem i dlaczego został sprowadzony do wymiarów płaskiego obrazu tak mocno trzymanego w rękach przez polityków,
- o tym, że coraz więcej młodych Polaków identyfikuje się z płcią przeciwną niż metrykalna. Oraz jak im pomóc, nim przygniecie ich stres mniejszościowy,
- o tym, jak Polska systemowo wpędza osoby niepełnosprawne i ich opiekunów w toksyczną zależność od innych,
- a także o tym, że mimo reżimu ochronnego aż 147 wilków ginie w Polsce rocznie od strzału z rąk kłusowników, a śledztwa są umarzane z powodu niewykrycia sprawcy lub niskiej szkodliwości społecznej.

Powszechny, czyli Twój!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Mykwa

Chrzest niewątpliwie wywodzi się w prostej linii z rytuału zanurzenia się w mykwie, stanowiącego ostatni element w procesie konwersji na judaizm. Przedtem w tym procesie – poza nabywaniem wiedzy i doświadczeń – mężczyźni poddają się obrzezaniu. Wielu potencjalnych nieżydowskich chrześcijan w połowie I wieku odetchnęło z ulgą – zapewne właśnie ze względu na obrzezanie – gdy sobór jerozolimski ostatecznie rozstrzygnął, że droga prowadząca ku chrześcijaństwu nie musi wieść przez judaizm.

Słowo „mykwa" występuje już w pierwszym rozdziale Księgi Rodzaju: „I nazwał Bóg ląd ziemią, a zbiór [hebr. *mikwe*] wód nazwał morzami" (wers 10; Cylkow). *Mikwe* pojawia się w Kpł 11, 36 w kontekście (nie)czystości rytualnej, i prawdopodobnie dlatego zaczęto tak nazywać łaźnię rytualną. Łaźnia może brzmieć myląco – nie chodzi bowiem o higienę i samo zanurzenie się w mykwie nie zastępuje kąpieli. Stan czystości rytualnej miał pierwszorzędne znaczenie dla Izraelitów przede wszystkim w starożytności. Aby wrócić do tego stanu np. po kontakcie ze zwłokami, trzeba było rytualnie obmyć się w wodzie. Przed wejściem do Świątyni Jerozolimskiej należało dokonać takiejż ablucji.

Mykwa jest do dziś kluczowa dla Żydów, zwłaszcza ortodoksyjnych. Zawsze powstaje jako pierwsza w nowej społeczności, i można sprzedać synagogę albo nawet zwój Tory, jeśli brakuje środków na jej budowę. Kobiety korzystają z niej jednorazowo przed ślubem, potem po każdej menstruacji oraz po porodzie. Tylko takie użycie mykwy – a także w przypadku konwersji – jest wymagane prawem. Mężczyźni zanurzają się w łaźni rytualnej jedynie zwyczajowo: niektórzy robią to przed Dniem Pojednania, inni częściej – przed szabatem i świętami, natomiast wśród chasydów bywa, że odwiedzają mykwę nawet codziennie przed poranną modlitwą. Stąd w basenie dla mężczyzn – jeśli jest oddzielny od kobiecego – całe grupy mogą się zanurzać jednocześnie. Kobieta zawsze może liczyć na prywatność – co najwyżej asystuje jej łaziebna. Istnieje jeszcze mykwa do zanurzania nowych naczyń, by je „wykoszerować" – zwykle to oddzielny malutki zbiornik. W basenie mykwy musi się znaleźć odpowiednia ilość żywej wody – czyli płynącej, np. ze źródła, i/albo deszczówki, a w razie czego można korzystać też z roztopionego śniegu i lodu.

Ze względu na wymiar symboliczny zanurzenia się w oczyszczającej wodzie ostatnio mykwa zyskała na popularności wśród Żydów liberalnych. Niektórzy chodzą tam przed comiesięcznym powrotem do relacji małżeńskich, aczkolwiek dominującym powodem wizyty jest rozpoczęcie bądź zakończenie ważnego etapu w życiu, np. ozdrowienie po poważnej chorobie czy koniec żałoby. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Do boju!

„Jeślibyście nawet doznali jakiegoś cierpienia dla sprawiedliwości, to szczęśliwi jesteście! A groźby ich się nie lękajcie ani nie poddawajcie się trwodze, lecz Pana – Chrystusa pobożnie czcijcie w sercach waszych, zawsze gotowi do obrony przed każdym, kto żąda od was uzasadnienia waszej nadziei. Ale [czyńcie to] z łagodnością i z szacunkiem. Zachowujcie czyste sumienie, aby ci, którzy obrzucają obelgami wasze uczciwe życie w Chrystusie, musieli się wstydzić swoich oszczerstw". Jak dzisiaj ta obrona wygląda?

Chciałbym się mylić, ale często tych, którzy domagają się „uzasadnienia" naszego sposobu życia, pałając świętym gniewem, powołując się na Jezusa wyrzucającego handlarzy ze świątyni, wyklinamy z ambon, w telewizji, organizujemy bojówki, urządzamy ekspiacyjne nabożeństwa. W każdym razie nie wysłuchujemy ich „z łagodnością i z szacunkiem", i w rezultacie, chcąc bronić Boga, Kościoła i wiary, oddajemy Bogu i Kościołowi wilczą przysługę. Potwierdzamy, że broniony przez nas Bóg rzeczywiście jest właśnie takim Bogiem, z którym oni nie chcą mieć nic wspólnego. Widzą, że ten nasz Bóg, podobnie jak my przestraszony i zdegustowany tym światem, jedyne, co potrafi, to zastraszać człowieka i domagać się niewolniczego posłuszeństwa. Ma też tysiące sposobów, żeby niesfornym odpłacić pięknym za nadobne.

W ferworze walki z wrogami Kościoła zapominamy, że Boża sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z katechizmową sentencją: „Bóg za złe karze, a za dobro wynagradza". A to dlatego, że Bóg jest wszechmocny i nie może przestać kochać: „Powiadam wam (...) Kochajcie waszych wrogów i módlcie się za prześladowców, abyście stali się synami waszego Ojca, który jest w niebie. Bo Jego słońce wschodzi nad złymi i dobrymi, i deszcz spada na sprawiedliwych i niesprawiedliwych". Ale nie zawsze z naszym Ojcem bywa nam po drodze.

Ostatnio nasza władza zapragnęła bardziej stanowczo stanąć „w obronie chrześcijan" i w tym celu chce zaostrzać prawo, zatrudniać policję, prokuraturę, sądy i więziennictwo. Niespecjalnie nam to przeszkadza, a niektórzy wręcz się cieszą. Na szczęście nie wszystkim chrześcijanom taki sposób głoszenia Dobrej Nowiny, czyli, jak mówi Franciszek, ciskanie „kamieniami zasad", przypadł do gustu. „Chcemy zapraszać ludzi do naszych wspólnot religijnych, nie straszyć ich karami. Chcemy pokazać im Boga miłości, nie Boga kodeksu karnego. (...) W związku tym (...) mówimy stanowcze »nie« dla dzielenia świata na lepszych i gorszych, wierzących i niewierzących, tych, którzy »wiedzą, jak kochać Boga«, i tych, którzy rzekomo »błądzą« i trzeba ich ukarać" – czytamy w oświadczeniu parafii ewangelicko-reformowanej w Warszawie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Tchnienie

Jeżeli Chrystus stał się dla nas sprawiedliwością, mądrością i tym podobnymi, to jasne, że również odpoczynkiem.

JAN Z KARPATOS

Ci, którzy uganiają się za szczęściem, uciekają od zadowolenia.

POWIEDZENIE CHASYDZKIE

Liturgiczna lektura „Dziejów Apostolskich" zawiodła nas ostatnio do Samarii. Tam zobaczyliśmy „tłumy, [które] słuchały z uwagą i skupieniem słów Filipa, ponieważ widziały znaki, które czynił" (Dz 8, 6). Dobrze jest popatrzeć do greckiego tekstu. Otóż, w oryginale czytamy o tym, że tłumy z uwagą zwróciły się ku temu, co Filip mówił, (dosł.) „pod jednym Tchnieniem ku słuchaniu go i widzeniu znaków, które czynił".

„Pod jednym Tchnieniem" – tak można przetłumaczyć użyte przez św. Łukasza słowo *homothymadon*, oddawane na innych miejscach „Dziejów" najczęściej polskim: „jednomyślnie" (np. „trwali jednomyślnie na modlitwie..." – Dz 1, 14). *Homothymadon* składa się z dwóch słów: *homos* (to znaczy: „jeden", „ten sam") oraz *thymos* (czyli „dech", „siła", „pragnienie"). Słowo to podsuwa wyobraźni obraz jednego muzycznego akordu, który wydają razem różne instrumenty, uruchamiane tym samym tchnieniem: ktoś (Ktoś) dmie jednocześnie w różne instrumenty, uzyskując piękny, harmonijny dźwięk.

Otóż, owo „jedno tchnienie [Tchnienie]" uruchamia Samarytan ku słuchaniu słów Filipa i ku postrzeganiu jego czynów. To ono (Ono) właśnie sprawia, że słuchają z uwagą, i że patrzą ze zrozumieniem – widząc w czynach Filipa „znaki". Owo „Tchnienie" to nic innego, tylko – tak myślę – Duch Święty, który działa w Samarytanach, otwiera ich uszy i oczy, dotyka serc i prowadzi do wiary. Co więcej – już na tym etapie – przekształca ich z „tłumu" w „jedno" – w Kościół, który jest wspólnotą nie jakąkolwiek, tylko wspólnotą w Duchu Świętym.

Wszystko to wydaje mi się niezwykle ważne, szczególnie w odniesieniu do kolejnej perykopy, w której czytamy, iż na wiadomość o „Samarii, która przyjęła Słowo Boże" Kościół jerozolimski wysłał do niej Piotra i Jana. Ci zaś – gdy tam przybyli – modlili się nad nimi, „by otrzymali Ducha Świętego"; a potem „wkładali na nich ręce, a oni otrzymywali Ducha Świętego" (Dz 8, 14-17).

To znów: bardzo ważny tekst, „klasyczny" w odniesieniu do sakramentu bierzmowania. Czytany jednak w harmonii z poprzednim, pozwala nam rozumieć, iż Samarytanie – dzięki posłudze Apostołów – otrzymywali i przyjmowali Ducha, który w nich działał już dużo wcześniej – w nich, to znaczy w każdym indywidualnie i między nimi razem. Duch nie przyszedł w ich życie dopiero wraz z sakramentalnym znakiem. Był aktywny i mocny także na drodze do wiary. Oni sami pewnie Go nie rozpoznawali, ale św. Łukasz, widząc i opisując, co się stało, łatwo Go rozpoznał. To prawda, o której może zaświadczyć pewnie każdy, kto kiedykolwiek kogokolwiek prowadził do chrztu, czy – szerzej – do sakramentów inicjacji, czy – jeszcze szerzej – po prostu do wiary. Duch jest pierwszy; Duch uprzedza; Duch jest przed nami w ludziach, do których my dopiero wychodzimy. Nie przynosimy im Ducha; raczej odsłaniamy Jego obecność i działanie. On jest uprzedzającą Łaską i Miłością. I to widać. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (14 – 21 V)

6. niedziela wielkanocna: Dz 8, 5-8. 14-17; Ps 66; 1 P 3, 15-18; J 14, 15-21;
Poniedziałek: Dz 16, 11-15; Ps 149; J 15, 26 – 16, 4a;
Wtorek: Ap 12, 10-12a lub 1 Kor 1, 10-13. 17-18; Ps 34; J 17, 20-26;
Środa: Dz 17, 15. 22 – 18, 1; Ps 148; J 16, 12-15;
Czwartek: Dz 18, 1-8; Ps 98; J 16, 16-20;
Piątek: Dz 18, 9-18; Ps 47; J 16, 20-23a;
Sobota: Dz 18, 23-28; Ps 47; J 16, 23b-28;
Niedziela, uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego: Dz 1, 1-11; Ps 47; Ef 1, 17-23; Mt 28, 16-20.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

SKUTKI GLOBALIZACJI W GMINIE BŁASZKI

Los Andrzeja Leppera pokazał mu, że trybun ludowy to robota dla politycznych ryzykantów. Michałowi Kołodziejczakowi marzy się nieco utopijny sojusz wsi oraz wielkomiejskich niezadowolonych.

MAREK RABIJ

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

W piątek najpóźniej o czternastej miał być z powrotem w warszawskiej siedzibie partii, ale plany poszły w rozsypkę w związku z protestami rolników przy granicy z Ukrainą. Czas na rozmowę Kołodziejczak znajduje dopiero w sobotę przed południem. Nie ma jeszcze jedenastej, a już wygląda na zmęczonego. Mruży oczy, ziewa, z wysiłkiem zbiera myśli. Chwilami gubi wątek.

– Ale niech pan pyta – rzuca znad stołu, przecierając kolejny raz oczy. – Ja się żadnych pytań nie boję.

Na niektóre 34-letni lider Agrounii zdaje się mieć nawet gotowe odpowiedzi. Może to efekt treningów ze specjalistami od wystąpień publicznych, a może tylko pokłosie wystąpień i wywiadów, podczas których pewne wątki siłą rzeczy muszą się powtarzać. Kołodziejczak bierze wtedy głębszy wdech i ze wzrokiem zawieszonym nieco nad głową rozmówcy strzela w jego kierunku salwą faktów i liczb zmieszanych z opiniami. Z pamięci recytuje dane GUS o postępującym od początku rządów PiS spadku liczby gospodarstw wiejskich prowadzących hodowlę świń, dynamice europejskich cen skupu wieprzowiny, o cenach nawozów czy kosztach zakupu nowoczesnego sprzętu, które coraz większą rzeszę polskich rolników spychają jego zdaniem do technologicznego skansenu. Z goryczą mówi o swoim zmęczeniu polaryzacją polskiej sceny politycznej, która służy jej głównym aktorom, czyli Kaczyńskiemu i Tuskowi, ale nie przeciętnemu obywatelowi.

Swobodnie płynącą opowieść zatrzymuje dopiero proste z pozoru pytanie o liczbę członków Agrounii. Po serii erystycznych wygibasów Kołodziejczak w końcu przyznaje, że nie zna odpowiedzi. Nie przeciąża sobie pamięci takimi drobiazgami.

– Mogę jednak pana zapewnić, że jest nas dostatecznie dużo, żeby w najbliższych wyborach w każdym okręgu wyborczym wystawić listę – odpowiada wymijająco. – Od dłuższego czasu pracujemy nad tym, żeby proch był suchy, kiedy przyjdzie czas. Właśnie nadszedł. Nikt jeszcze nie zmienił biegu spraw w kraju będąc poza parlamentem.

Michał Kołodziejczak podczas protestu rolników w Hrubieszowie, kwiecień 2023 r.

Spisek zbożowy

Prochu, konkretnie wypełnionych nim 36 beczek, chciał użyć Guy Fawkes, przywódca spiskowców, którzy 5 listopada 1605 roku planowali wysadzenie w powietrze siedziby Izby Lordów, zabicie króla Jakuba I i przywrócenie Wielkiej Brytanii na łono Kościoła katolickiego. Kołodziejczak nie wygląda na kogoś, kto chciałby pójść tą drogą. Projekt o nazwie Agrounia, jaki wyłania się z jego opowieści, ma się żywić wyłącznie pozytywną energią tworzących go ludzi. Ma być jednocześnie antyestablishmentowy i konstruktywny. Może nawet klasowy i jednocześnie inkluzywny. Generalnie chodzi o stworzenie koalicji producentów i konsumentów żywności niezadowolonych z kierunku, w jakim współczesne rolnictwo pcha globalizacja.

– Od lat 90. protesty wiejskie niezmiennie kojarzą się w Polsce z demonstracjami tych, którym do drzwi puka już komornik – ciągnie myśl Kołodziejczak. – Agrounia jest inna. To ruch ludzi, którzy ciężką pracą zgromadzili nierzadko spory majątek, cieszą się też wysoką pozycją społeczną, ale czują, że państwo ich nie reprezentuje. I że jeśli nie zaczną bronić swoich interesów, za kilka lat praca przestanie się im opłacać. Korzenie mamy na wsi, z szacunkiem patrzymy na tradycję polskiego ruchu ludowego, ale nie chcemy być reprezentantem tylko jednej grupy zawodowej, jaką są rolnicy.

W mediach i w internecie można zobaczyć Agrounię głównie przy okazji organizowanych przez nią blokad dróg czy nalotów na hipermarkety, po których Kołodziejczak prezentuje w mediach społecznościowych filmiki. Widzimy na nich zagraniczną żywność udającą na sklepowych półkach polskie towary, ale zdaniem lidera Agrounii to tylko jeden z wielu odcieni szerokiego spektrum tematów. W okręgu warszawskim działa na przykład wzięty lekarz neurolog, którego irytuje rozrzutny sposób finansowania ochrony zdrowia w Polsce i ponoć ma pomysł, jak go naprawić. W Świętokrzyskiem ton działaniom ugrupowania nadaje miejscowy rzutki przedsiębiorca, w ogóle niezwiązany z rynkiem rolnym. ↦

W Poznaniu – niedoszły kandydat na prezydenta miasta z ramienia SLD, którego w ostatniej chwili na liście zastąpiono ponoć człowiekiem narzuconym przez centralę. Na Podkarpaciu z Agrounią związał się wnuk Józefa Ślisza, wicemarszałka Senatu pierwszej kadencji po Okrągłym Stole.

Są też oczywiście prawdziwi rolnicy. W Lubelskiem struktury partii w terenie organizuje właściciel ponadstuhektarowego gospodarstwa, którego kilka lat temu do porzucenia polityki skłonił epizod nieudanej współpracy z PSL. I dopiero w Kołodziejczaku miał odnaleźć bratnią duszę.

– Ja się bardzo cieszę, że ciężka praca, którą ci wszyscy ludzie wykonują w terenie, pozyskując dla nas nowych członków, jest nadal niezauważana i niedoceniana – twierdzi Kołodziejczak. – Chcemy rosnąć w naturalny sposób, przyciągać ludzi, którzy identyfikują się z naszym programem. Starannie unikamy za to takich, którzy w zamian za pomoc i wpływy mogliby spróbować przejąć kontrolę nad naszym ruchem i skierować go na inne tory. Pamiętamy, czym się to skończyło dla Samoobrony, która zamiast postawić na organiczny rozwój własnych struktur, uległa pokusie masowości. Od marca ubiegłego roku działamy jako partia, mamy kandydatów do parlamentu, jesteśmy też w stanie zebrać dla nich wymaganą prawem liczbę podpisów. Myślę, że jesienią wielu zaskoczymy. Okaże się, że Agrounia to nie tylko faceci, którzy potrafią wysypać zboże posłowi pod biurem, ale też dobry materiał na... posłów.

Kryzys zbożowy, który w roku wyborczym rozpalił wieś i może pomóc mu zbudować polityczny kapitał, Kołodziejczak oficjalnie nazywa katastrofą. W tym samym zdaniu zaznacza, że sprawdziły się co do joty jego przestrogi z ubiegłego roku, kiedy wzywał do przywrócenia cła na produkty rolne z Ukrainy. Bo tylko cła – podkreśla – mogą pomóc odzyskać jako taką stabilność cen zboża na polskim rynku i uratować rodzimych rolników przed bankructwem.

Jakkolwiek to zabrzmi, kryzys zbożowy spadł Agrounii z nieba. Polityczny debiutant już u progu kampanii wyborczej może dzięki niemu prezentować się rolnikom jako mądrzejszy i bardziej spostrzegawczy od rządzącego PiS, zupełnie też inny niż Andrzej Lepper. I w tej konwencji Kołodziejczak czuje się jak ryba w wodzie.

> Do polityki trafił przez wiatraki, gdy na skraju sąsiedniej wsi chciano zbudować farmę wiatrową. Wtedy zdał sobie sprawę, że **jak ktoś siedzi cicho, to można z nim zrobić wszystko.**

– Co z tego, że rząd każe teraz policji konwojować transporty zboża na zachód? – zapala się. – Przecież ono i tak wróci za jakiś czas do Polski w przetworzonej formie, jako żywność. Jeśli ktoś nie dostrzega, że naszymi protestami bronimy nie tylko interesu rolników, ale także polskich konsumentów, to znaczy, że nie rozumie, jak działa współczesny przemysł spożywczy. Brak ceł na żywność z Ukrainy gra wyłącznie na korzyść wielkich koncernów, które taniego surowca ze wschodu używają jako narzędzia nacisku na krajowych dostawców. Teraz mamy kryzys i inflację, więc komuś może się wydawać, że tańsza mąka z ukraińskiego zboża to jego czysty zysk. A ja mówię: uwzględnijmy w tym rachunku także bezpieczeństwo żywnościowe kraju. Bo jeśli za parę lat w Polsce spadnie o połowę areał upraw zbóż, to co się stanie z ceną mąki? Już dziś dochodzi do sytuacji, kiedy duże sieci handlowe miesiącami importują warzywa na przykład z Holandii, żeby zmiękczyć lokalnych dostawców i wymusić na nich obniżki cen. W efekcie ziemniaki w markecie kosztują 3-4 złote za kilo, a rolnik dostaje za nie w skupie najwyżej 50 groszy.

Walka z wiatrakami

Kołodziejczak zawsze chciał być rolnikiem. Po maturze miał się nawet dostać na ekonomię do Wrocławia i na jeden z kierunków rolniczych w Krakowie, ale ostatecznie studiów nie podjął. Wybrał gospodarstwo w rodzinnym Orzeżynie w gminie Błaszki koło Sieradza.

A do polityki trafił, jak mówi, przez wiatraki. Na skraju sąsiedniej wsi budowano farmę wiatrową. – Poszedłem do gminy, wziąłem studium zagospodarowania i przeczytałem w nim, że kilkanaście wiatraków wysokich na 150 metrów, do tego postawionych 500 metrów od najbliższych domów, zdaniem autorów nie zmieni obrazu widnokręgu – wspomina Kołodziejczak. – To doświadczenie zmieniło mój stosunek do spraw w Polsce. Zdałem sobie sprawę, że jak ktoś siedzi tutaj cicho, to można z nim zrobić wszystko. Zabudować wiatrakami. Narzucić najpierw ceny, potem styl życia i wartości. Uzależnić.

Zdaniem szefa Agrounii rozgrywka, jaka toczy się dziś na polskiej wsi, idzie właśnie o jej niezależność. Polscy rolnicy są wciąż ważnymi kontrahentami przemysłu spożywczego, cieszą się pozycją, która pozwala im negocjować ceny i warunki dostaw. A to się wielkim koncernom nie podoba. Od lat prowadzą więc wobec polskiej wsi strategię plasterków salami, krok po kroku uzależniając ją od siebie. Rząd? Nie potrafi nawet ustawowo wprowadzić minimalnego limitu produktów spożywczych polskiego pochodzenia, które musiałyby znaleźć się w każdym sklepie.

– Uprawiam kapustę pekińską. Pewna jej odmiana rośnie w Polsce najlepiej, ale nasiona sprzedaje jedna firma – wylicza Kołodziejczak. – I żeby je od niej kupić, trzeba z góry zawrzeć umowę, która gwarantuje tej samej spółce wyłączność na odbiór warzyw, oczywiście w bardzo korzystnej dla niej cenie. Podpisując umowę zostałbym więc *de facto* pracownikiem tej firmy, bo płaciliby mi tyle, ile by chcieli – złości się. – Jako konsument też mogę coraz mniej. W Żabce, która ma pod 10 tysięcy sklepów, ktoś może postanowić, że od jutra nie sprzedają herbaty, i faktycznie się jej pan nie napije, jeśli w okolicy nie będzie innego sklepu. Ja najbliższy mam osiem kilometrów od mojej wsi. Dyskont. Mniejsze, rodzinne, dawno poupadały – zapewnia.

Perspektywa konsumencka to w ogóle coś, co zdaniem lidera Agrounii wymaga w Polsce przemyślenia na nowo. W mieście pokutuje przekonanie, że bezpieczeństwo żywnościowe to głównie jakość żywności, ale już nie jej dostępność. A wszystkie problemy wsi, które co jakiś czas „owocują" protestami rolników, to rezultat zbyt dużego rozdrobnienia produkcji rolnej. Faktem jest, że przeciętne gospodarstwo w Polsce liczy dziś około 11 hektarów i od momentu wstąpienia do

UE urosło o ponad 4 ha. W Zachodniopomorskiem, mateczniku polskich latyfundiów, które czasem liczą ponad 1000 ha, ta sama średnia skacze do 30 ha.

Pierwszą i najbardziej bolesną fazę kuracji z postpańszczyźnianego rozdrobnienia polska wieś ma więc za sobą. Od 2003 r. z baz Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa wykreślono ponad 770 tys. gospodarstw rolnych, głównie tych najmniejszych, żyjących z 2-4 ha użytków rolnych. Ich właściciele albo zasilili nową grupę zawodową współczesnej polskiej wsi, którą tworzy już ponad ćwierć miliona robotników rolnych zatrudnianych przez duże gospodarstwa, albo znaleźli pracę poza rolnictwem. Dziś – jeśli spojrzeć na dane GUS – wyłącznie z uprawy roli żyje tylko 10 proc. mieszkańców wsi. Postępująca z roku na rok konsolidacja produkcji z pewnością obniża jej koszty. Ale czy przekłada się także na niższą cenę dla odbiorcy końcowego w sklepie? Kołodziejczak nie ma wątpliwości, że to jeszcze jedna z globalizacyjnych bajeczek.

– Od początku rządów PiS liczba gospodarstw prowadzących hodowlę świń spadła w Polsce z 250 do 50 tysięcy – wylicza. – Ponad 80 proc. mięsa wieprzowego pochodzi dziś z niespełna pięciu procent największych gospodarstw. Mamy zatem daleko posuniętą konsolidację. Ceny pasz się ustabilizowały. Ale co z ceną w sklepie, na przykład schabu? Nie spada. Nadwyżki zostają w kieszeni wielkich producentów.

Komu jest gorzej

Z takim komunikatem Agrounia chciałaby teraz dotrzeć poza wieś. Do emerytów, którym rząd podnosi świadczenia, jednocześnie lekceważąc inflację. Do wielkomiejskich konsumentów dbających o to, co jedzą. Do ekologów, którzy załamują ręce nad katastrofalnymi skutkami przemysłowej hodowli drobiu czy trzody chlewnej. Do wszystkich, którzy czują, że świat napędzany kołem globalizacji rozpędził się za bardzo i zmierza w stronę przepaści. Kołodziejczak też się do tej grupy zalicza. Jak twierdzi, ogarnia go pusty śmiech, kiedy czyta w mediach, że jest milionerem.

– Mam rocznego lexusa i dwadzieścia hektarów ziemi, przy której bardzo pomaga mi rodzina, bo rolnictwo trudno pożenić z działalnością polityczną – wylicza. – Brat teraz pomaga mi sadzić ziemniaki. Żona trzyma wszystko w kupie, kiedy mnie nie ma w domu, a czasem tygodniami jestem w trasie. I to jest cały mój świat, który chcę zachować dla siebie i swoich dzieci. My w Agrounii oczywiście nie twierdzimy, że się nam źle powodzi. Wiemy, jak się żyje dziś wielu innym Polakom. Chodzi nam o to, że rząd jedną nietrafioną decyzją może zaprzepaścić dorobek całego naszego życia.

Kołodziejczak ma żal, że tego lexusa ciągle mu wypominają, ale nikogo nie interesuje, że zakup jednego ciągnika i sadzarki do ziemniaków to koszt rzędu 600-700 tysięcy złotych. Kupionych na kredyt oczywiście.

– A wystarczy, że rząd otworzy polski rynek na tanie warzywa i owoce z Ukrainy, i nie będę miał za co spłacić kredytów, bank wejdzie i zabierze, co się da – snuje ponure wizje Kołodziejczak. – Jakby pan porozmawiał na wsi z ludźmi, to by pan usłyszał w niejednym domu, jak rodziny miesiącami żyły dosłownie o chlebie i wodzie, żeby tylko na kredyty starczyło. Nie ma drugiej takiej branży w gospodarce, w której tak wiele zależałoby od sezonowości. Jednego roku jest urodzaj, potem dwa z rzędu jesteśmy głęboko pod kreską. Ja nie pójdę do innej pracy. Nie wezmę swojej ziemi na plecy i nie wyjadę z nią do Wielkiej Brytanii.

Na pytanie, jak Michał Kołodziejczak, w przeszłości protestujący przeciwko słynnej „Piątce dla zwierząt" Kaczyńskiego, a dziś niekryjący dystansu do rozwoju farm wiatrowych, wyobraża sobie współpracę z polskimi ruchami proekologicznymi, lider Agrounii odpowiada od razu. To zagadnienie również musiało być wcześniej ćwiczone, bo odpowiedź wygląda jak deklamacja z pamięci.

– Sprzeciwiam się debacie publicznej w stylu *cancel culture*, w której nawet drobne rozbieżności ideologiczne przekreślają szanse na porozumienie – wyjaśnia. – My będziemy rozmawiać z każdym, kto w danym momencie ma cele zbliżone do naszych. Stąd współpraca z Piotrem Ikonowiczem, z ludźmi Jarosława Gowina, górnikami i aktywistkami klimatycznymi. Szukajmy kompromisu. Jeśli wiatraki przeszkadzają wsi, ale potrzebne są krajowi, budujmy je mniejsze, dalej od ludzi. Jeśli trzeba zamknąć kopalnie, to zróbmy to tak, by nie sprowadzić na Śląsk katastrofy gospodarczej.

Dr Tomasz Herudziński, badacz nastrojów społecznych wsi z Katedry Socjologii Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, ma jednak wątpliwości, czy szeroki ruch niezadowolonych może się wykrystalizować wokół Agrounii – bytu, który nawet dla ludzi na wsiach stanowi wciąż zagadkę. Wiadomo, że partia chce być głosem wiejskiej klasy średniej, bo reprezentantem rolnictwa bardziej przemysłowego pozostaje PSL, a PiS skutecznie zagarnęło dla siebie tzw. wieś socjalną, czyli ludzi, którzy dawniej uprawiali swoją rolę, a dziś najczęściej są pracownikami dużych gospodarstw. Problem w tym, że wiejscy średniacy – jak każda klasa średnia – to grupa z definicji malejąca liczebnie, naciskana jednocześnie z dołu i z góry. Elity stają się latyfundystami. Dolne warstwy ulegają społecznej i ekonomicznej degradacji, stając się potencjalnym elektoratem partii rządzącej, która ma pieniądze na tzw. socjal.

Pod tym względem projekt Agrounii wydaje się o kilka lat spóźniony. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że lata po wejściu Polski do UE stanowiły złotą epokę rozwoju obszarów wiejskich, na które do tej pory trafiło ponad 200 mld zł z dopłat bezpośrednich i innych programów. W latach 2004-2020 przeciętny dochód wiejskiego gospodarstwa domowego rósł w tempie niemal 8,8 proc. rocznie, podczas gdy w mieście wzrost oscylował na poziomie 6,5 proc. W rezultacie to wieś – nie miasto – jest miejscem, w którym polskie marzenie o modernizacji postępowało w najszybszym tempie. Z czysto miejskiej perspektywy narracja Agrounii, która jak każdy ruch rolniczy w kółko wylicza, co się wsi nie opłaca, może zatem brzmieć mało wiarygodnie.

– Z kolei na wsi nie pomaga jej wspomnienie Samoobrony, partii buntu, która szybko odnalazła się na salonach – mówi dr Herudziński. – Po tym doświadczeniu wiejscy wyborcy nieufnie podchodzą do każdego samozwańczego trybuna ludowego. Poparcie dla Agrounii nie przekracza dziś nawet 2 procent.

Michał Kołodziejczak: – Są badania i badania. Z naszych wychodzi, że mamy już 4 proc. i nadal rośniemy. Umowa z wykonawcą zabrania nam publikacji, ale kto wie, może ją złamiemy i niedługo pokażemy wyniki.

©℗ MAREK RABIJ

Wszystkie projekcje PiS

STEFAN SĘKOWSKI

Przez lata środowisko Jarosława Kaczyńskiego wytykało politycznym konkurentom patologie. Po dojściu do władzy twórczo rozwinęło piętnowane metody.

Ludzie dawnego systemu, a zwłaszcza służb specjalnych, mieli pierwszeństwo w dostępie do własności" – mówił w 1996 r. Lech Kaczyński. „Nomenklaturą" nazywano wtedy osoby, które z nadania władzy komunistycznej pełniły funkcje kierownicze w państwowych firmach i spółdzielniach. U schyłku PRL uchwalono prawo umożliwiające tym przedsiębiorstwom współpracę z osobami prywatnymi, którymi w praktyce okazywali się często ich dyrektorzy. Z czasem członkowie nomenklatury zakładali własne spółki, które otorbiały własność państwową i drenowały ją ze środków, a w skrajnych przypadkach przejmowały.

Choć rola uwłaszczenia nomenklatury dla kształtującego się wówczas systemu gospodarczego jest przeceniana, to niewątpliwie dawała osobom powiązanym z komunistyczną władzą lepszy start w nową rzeczywistość. Jednak beneficjentem przemian własnościowych początku lat 90. XX w. stało się także środowisko Jarosława Kaczyńskiego. W ramach likwidacji koncernu medialnego RSW „Prasa-Książka-Ruch" przypadła mu w udziale poczytna w tamtym czasie bulwarówka „Express Wieczorny". Pismo już nie istnieje, ale użytkowane przez niego nieruchomości stały się zapleczem materialnym Porozumienia Centrum, z którego do dziś korzysta PiS.

Wiedza o tym, jak ważny jest majątek w postaci nieruchomości, przekłada się też na obecne działania. Ponad trzy dekady po podziale RSW Ministerstwo Edukacji i Nauki zaczęło rozdawać pieniądze na zakup i remont nieruchomości dla bliskich PiS fundacji i stowarzyszeń. Budynki, które w ten sposób przejdą na własność fundacji (po kilku latach będą je mogły użytkować całkowicie komercyjnie), należą do Skarbu Państwa. Program funkcjonuje dziś w przestrzeni publicznej pod ironiczną nazwą „Willa plus".

Także inne programy finansowane przez państwo zasilają kieszenie środowiska władzy. W marcu okazało się, że Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, kierowane przez osoby związane z Partią Republikańską Adama Bielana, przyznało setki milionów złotych firmom bez większego doświadczenia, prowadzącym wtórne projekty (np. dublujące rozwiązania GPS), za to kojarzonym towarzysko i politycznie z działaczami tego ugrupowania. Co prawda po ujawnieniu sprawy środki zostały wstrzymane, ale to nie jedyne przykłady patologii. Jak wskazuje serwis MamPrawoWiedziec.pl, wszystkie dziesięć najhojniej obdarowanych do tej pory przez Narodowy Instytut Wolności organizacji (mających wspierać rozwój społeczeństwa obywatelskiego) jest w różny sposób powiązanych z PiS.

TKM

Politycy partii władzy okazali się mistrzami projekcji, czyli przypisywania innym własnych cech. Obsadzanie stanowisk zarówno w rządzie, jak i w spółkach Skarbu Państwa przez ludzi politycznie prześwietlonych i odpowiednio sformatowanych stało się już regułą. „Puls Biznesu" podliczył, że PiS i jego koalicjanci tylko w ciągu pierwszego roku rządów obsadzili swoimi ludźmi w SSP więcej stanowisk niż PO i PSL przez pięć lat. To ciekawe w kontekście zarzutów, jakie stawiano w 1997 r. Akcji Wyborczej Solidarność. Jarosław Kaczyński twierdził wtedy, że w koalicji zbyt dużą rolę odgrywa „partia", którą w skrócie określał jako „Teraz, Ku..., My". Politycy skupieni pod tym nieformalnym szyldem mieli dojść do władzy nie po to, by zmieniać Polskę na lepsze, ale by się dorobić.

Dziś widać, że AWS nie odróżniał się w tym kontekście od poprzedników lub następców. Jednocześnie zjawisko TKM za PiS wprost rozkwita. Każdego tygodnia dowiadujemy się o kolejnych przypadkach zatrudniania czy to samych polityków, czy osób z nimi powiązanych, w spółkach i agencjach, często bez odpowiednich kompetencji. Ułatwiono to poprzez obniżenie wymagań dla osób powoływanych np. do rad nadzorczych spółek Skarbu Państwa. Umożliwienie zasiadania w nich ludziom z ukończonymi studiami MBA stało się furtką dla absolwentów uzyskujących dyplom w kilka miesięcy na zaprzyjaźnionych z władzą uczelniach.

To nie tylko kwestia rad czy zarządów. Niedawno Radio Zet poinformowało, że PKO BP zatrudniło (łamiąc własne procedury) 23-letniego działacza partyjnego

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Otwarcie portu lotniczego Warszawa-Radom, 27 kwietnia 2023 r.

na stanowisku specjalisty, co miało być podziękowaniem dla niezależnego posła Łukasza Mejzy za życzliwe głosowania wspólnie z PiS w Sejmie. Takie przykłady można mnożyć, i to właściwie od początku rządów PiS, kiedy symbolem zatrudniania w spółkach osób poniżej wymaganych kompetencji stał się Bartłomiej Misiewicz. Czyli były pracownik apteki, który po pełnieniu kilku funkcji w Ministerstwie Obrony Narodowej został pełnomocnikiem zarządu państwowej Polskiej Grupy Zbrojeniowej ds. komunikacji.

Telewizja na życzenie

Ci, którzy wiedzę czerpią jedynie z „Wiadomości" TVP lub serwisów TVP Info, niczego na temat afer związanych z PiS się nie dowiedzą. Telewizja publiczna, a także część państwowych rozgłośni radiowych, zamieniły się w tuby propagandowe partii rządzącej, a głównym celem ich ataków stał się lider opozycji – Donald Tusk. Jednak właściwie od początku III RP trudno jest mówić o obiektywizmie mediów znajdujących się w rękach państwa. Nawet jeśli niegdyś nie były w propagandzie tak toporne jak obecnie, to miały większe znaczenie w przestrzeni publicznej. Przed II turą w 1990 r. i w czasie wyborów prezydenckich w 1995 r. wyraźnie faworyzowały Lecha Wałęsę. Z kolei za prezesury Roberta Kwiatkowskiego najpierw uderzały w rządy AWS i UW (ówczesne regulacje i okresy kadencyjne sprawiały, że rządzący nie zawsze sprawowali kontrolę nad mediami publicznymi), a potem wspierały rządy Leszka Millera. Po 2011 r., kiedy w KRRiT zasiadały już tylko osoby wybrane przez koalicję PO-PSL i prezydenta Bronisława Komorowskiego, TVP bardzo łagodnie lub wręcz z sympatią obchodziła się z rządem. Symbolem tego było odśpiewanie Donaldowi Tuskowi „Sto lat" w programie „Tomasz Lis na Żywo" po tym, jak został wybrany na przewodniczącego Rady Europejskiej.

PiS w swoim programie wyborczym z 2014 r. obiecywał, że „odnowione media publiczne będą miały obowiązek utrzymywania odpowiedniego poziomu w przekazywaniu treści dotyczących kultury, nauki i sztuki, a także prezentacji pełnego spektrum poglądów politycznych". Tuż po wyborach świeżo upieczony minister kultury Piotr Gliński mówił na antenie telewizyjnej „Jedynki" do Karoliny Lewickiej, która przeprowadzała z nim wywiad: „To jest program propagandowy, tak jak wasza stacja uprawia propagandę i manipulację od kilku lat. I to się zmieni".

Ministrowi obecne funkcjonowanie mediów publicznych nie przeszkadza. Ich otrzeźwienie nie przyszło nawet po samobójstwie syna posłanki Koalicji Obywatelskiej Magdaleny Filiks (Radio Szczecin umożliwiło zidentyfikowane go jako ofiary pedofila). Przeciwnie, na paskach TVP Info mogliśmy przeczytać: „politycy Platformy Obywatelskiej odpowiedzialni za śmierć dziecka".

Trzecia izba

Z TVP nie dowiemy się także o najróżniejszych formach śledzenia polityków opozycji. Tymczasem temat nielegalnej inwigilacji interesuje obóz Kaczyńskiego od trzech dekad, odkąd jego PC samo doświadczyło działań ze strony służb. W Urzędzie Ochrony Państwa istniał wówczas zespół pod kierownictwem płk. Jana Lesiaka, który miał za zadanie inwigilować i dezintegrować ugrupowania antywałęsowskiej prawicy. W 2007 r. Sąd Okręgowy w Warszawie uznał byłego esbeka winnym nadużyć (czy była to jego samowolka, pozostaje niejasne), jednak sprawę umorzył ze względu na przedawnienie. „Dobrze by było, gdyby sprawa płk. Jana Lesiaka stała się memento dla osób, które chciałyby w przyszłości wykorzystywać służby specjalne do celów politycznych" – padło w uzasadnieniu wyroku.

Dziś po tego typu narzędzia sięgają sami wcześniej pokrzywdzeni. Za rządów PiS przy pomocy systemu ↦

↦ śledzącego Pegasus najprawdopodobniej inwigilowano polityków opozycji, takich jak senator PO Krzysztof Brejza czy prezydent Sopotu Jacek Karnowski, a także prokurator Ewę Wrzosek oraz adwokata Romana Giertycha.

Pegasus daje znacznie większe możliwości niż te, jakie były w zasięgu SB, a tym bardziej zespołu Lesiaka. Wedle „Gazety Wyborczej" służby miały też wykorzystywać hotele należące do państwowego Polskiego Holdingu Hotelowego – do podsłuchiwania oraz zbierania kompromitujących materiałów na działaczy opozycji.

W 2014 r. Trybunał Konstytucyjny nakazał ustawowe uściślenie prawa dotyczącego inwigilacji obywateli. Nie było to jedyne niewygodne dla rządu PO-PSL orzeczenie, które zapadło w czasie, gdy prezesem TK był Andrzej Rzepliński. A jednak pod koniec 2015 r. politycy PiS zaczęli snuć opowieść, w świetle której PO chciała uczynić z TK swoistą blokadę dla reform, które partia Kaczyńskiego zamierzała w Polsce przeprowadzić.

„Ustawa z 25 czerwca 2015 r. o TK [umożliwiająca wybór nadliczbowych sędziów – przyp. SS] miała dwa cele: chodziło o to, by powstała trzecia izba parlamentu, która bez żadnej legitymacji powstrzymywałaby reformatorskie działania naszej strony, a także działania zmierzające do pokazania tego, co działo się w Polsce przez ostatnie osiem lat" – mówił w listopadzie 2015 r. na antenie TV Republika Kaczyński.

Określenie TK mianem „trzeciej izby parlamentu" jest oczywiście pewną przenośnią. Trybunał nie tworzy prawa, ale stwierdza jego zgodność z ustawą zasadniczą. Porównanie może być trafne wtedy, jeśli TK jest na tyle powiązany z politykami, że pomaga, lub przeszkadza, w tworzeniu przez nich prawa. Słusznie wytyka się PO, PSL i Lewicy wybór nadliczbowych posłów jako „zbrodnię założycielską" toczącego się od 8 lat sporu o Trybunał. Jednak nie ma obiektywnych przesłanek ku temu, by twierdzić, że blokowałby on jak leci wszelkie zmiany wprowadzane przez PiS. Chyba że mówimy o tych, które byłyby sprzeczne z konstytucją. Ale od tego jest przecież TK.

To dopiero PiS, blokując w 2016 r. działalność TK poprzez bezprawne niepublikowanie jego orzeczeń, a także później – powołując na stanowisko prezesa Julię Przyłębską – zamienił Trybunał w „trzecią izbę parlamentu". Uczynił z niego swoistego „przyklepywacza" decyzji Sejmu, który dodatkowo, od czasu do czasu wykonuje za polityków brudną robotę – jak w przypadku wyroku ws. ustawy aborcyjnej czy uznania części przepisów Traktatu z UE za niezgodne z naszą konstytucją. W efekcie już nikt poważny nie uważa Trybunału za instytucję niezależną.

Jesteśmy jak rodzina po rozwodzie, w której ustalono opiekę naprzemienną nad dziećmi (obywatelami), okresowo przechodzącymi pod kuratelę jednego z rodziców (partii) wraz z dobytkiem.

Kalizm stosowany

Dlaczego politycy PiS robią to, co sami zarzucali konkurentom? Bo mogą. Rzeczy punktowane przez Kaczyńskiego i jego kolegów miały wspólną cechę: opłacały się tym, którzy się ich dopuszczali. Uwłaszczanie się na państwowym, rozdawanie stanowisk, manipulowanie Trybunałem, przekształcanie mediów publicznych w tubę propagandową czy szpiegowanie konkurencji – są korzystne dla rządzących. Budują zaplecze materialne działalności, pozwalają utrzymywać rzeszę klientów, dają dostęp do informacji na temat przeciwników. Pozwalają też gładko uchwalać zmiany w prawie, bez oglądania się na jakąś tam praworządność.

Być może byłoby inaczej, gdyby tego typu aktywności były powszechnie uważane za szkodliwe społecznie i piętnowane. Szczególnie przez własny elektorat. Ale nie są. Aż 59 proc. wyborców obozu rządzącego „raczej pozytywnie" lub „zdecydowanie pozytywnie" ocenia przyznawanie przez MEiN pieniędzy na zakup lub remont budynków dla organizacji powiązanych z obozem władzy, z kolei negatywnie ten proceder postrzega tylko 10 proc. (sondaż United Surveys z lutego 2023). Proporcje są radykalnie odmienne wśród wyborców opozycji: negatywnie tzw. program „Willa plus" ocenia 94 proc. z nich, pozytywnie okrągłe zero. Podobne różnice w ocenie między poszczególnymi elektoratami dotyczą również afery z Pegasusem oraz postrzegania telewizji publicznej. Pozytywna ocena TVP spadła, według CBOS, z 82 proc. w kwietniu 2014 r. (ostatni sondaż za rządów PO-PSL i prezesury Juliusza Brauna) do 40 proc. w kwietniu 2022. Dobra opinia o telewizji publicznej dominuje jedynie w elektoracie PiS (86 proc.). Wyborcy innych ugrupowań oceniają TVP negatywnie; od zwolenników Konfederacji (22 proc. dobrze, 66 proc. źle), po sympatyków KO (2 proc. dobrze, 87 proc. źle).

Te oceny ukazują skutki klientelizmu i traktowania przez PiS wygranej w wyborach jako mandatu do sprawowania pełnej władzy, bez typowego dla rozwiniętych krajów mechanizmu samoograniczania się – związanego ze świadomością, że wielu obywateli jednak nie sprzyja władzy, więc trzeba się z ich opiniami liczyć. PiS takiej optyki nie uznaje, wykorzystuje za to otrzymane narzędzia do granic możliwości i z każdym miesiącem wzmaga polaryzację.

O aferach partii władzy nie dowiemy się niczego z TVP, jednak lejąca się z ekranów propaganda sprawia, że także media opozycyjne „zwierają szeregi". Oglądając TVN niewiele dowiemy się o istocie zarzutów stawianych politykom opozycji, np. Tomaszowi Grodzkiemu, Włodzimierzowi Karpińskiemu czy Stanisławowi Gawłowskiemu. W tym wypadku wszelkie podejrzenia wywołują reakcję w postaci obrony „swoich" przed szykanami ze strony władzy. Co jest zresztą na swój sposób zrozumiałe, bo ciężko ufać w czyste intencje służb kierowanych przez Mariusza Kamińskiego, już raz skazanego przez sąd za nadużycia w tym zakresie. Jednak fakt, iż władza szuka haków na polityków opozycji, nie czyni ich z automatu ludźmi bez skazy. A tak można odebrać sposób, w jaki na ich temat mówi się w niektórych mediach sympatyzujących z opozycją.

Efektem tej medialnej polaryzacji jest zjawisko rozjeżdżania się percepcji otaczającej nas rzeczywistości, co ukazują opisane wyżej sondaże. Istnieją też inne, wskazujące na to, że wyborcy PiS i opozycji radykalnie różnie oceniają również rzeczywistość gospodarczą. Właściwie żyją oni w różnych światach.

Ale przecież w świetle badań wyborcy PiS także oglądają TVN czy Polsat, podobnie jak zwolennicy opozycji oglądają TVP (choć rzadziej). Możliwe jest więc, że ujawniane patologie im po prostu nie przeszkadzają, bo uważają, że taki jest świat. Kto rządzi, ten bierze wszystko, ustawia pod siebie media publiczne oraz zatrudnia „swoich" w podległych rządzącym urzędach i spółkach. Z tego też sposobu myślenia wykluło się zjawisko przyznawania środków publicznych własnemu środowisku, które zaczyna być traktowane jak zwyczajny podział łupów. Efektem może być to, że gdy opozycja dojdzie do władzy, będzie obłaskawiać wyłącznie własne NGO-sy.

Pęknięta rodzina

Trudno powiedzieć, czy tak się stanie. Dowiemy się o tym dopiero, gdy obecna opozycja wygra wybory i dane nam będzie obserwować reakcje jej elektoratów na potencjalne nadużycia, które prędzej czy później ujrzą światło dzienne. Niestety, wiele wskazuje na to, że ponad 30 lat po upadku komunizmu elementy liberalnej demokracji, instytucje i mechanizmy zabezpieczające, które chronią obywateli przed tyranią większości, nie są traktowane jako wartości same w sobie. A to może być symptomem dużo głębszego kryzysu – narodu jako wspólnoty politycznej, która już się tą wspólnotą nie czuje, bo przeważyła w niej lojalność wobec własnego, małego plemienia.

Być może jest nawet gorzej, a Polacy nie uważają się już za jeden naród. Może staliśmy się jak rodzina po rozwodzie, w której ustalono opiekę naprzemienną nad dziećmi (obywatelami), które okresowo przechodzą pod kuratelę jednego z rodziców (partii) wraz z całym zgromadzonym dobytkiem (podział majątku nie jest możliwy), zaś ci zdominowani płacą alimenty na czasowych zwycięzców. O tym, jak długo władza będzie sprawowana, decydują „dzieci" raz na cztery lata, a decyzję podejmują w dużej mierze na podstawie tego, kto skuteczniej zniechęci je do drugiego „rodzica" i da więcej kolorowych prezentów.

Tak skłócony dom nie może się ostać. © STEFAN SĘKOWSKI

DANNY CLIFFORD / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

Masło z magnesem

DAMIAN NOWICKI

W ostatnim roku wzrosła liczba kradzieży w sklepach. Nie zawsze ich powodem była bieda i brak pieniędzy. Niektórzy z nas uważają złodziejstwo za formę oszczędzania.

Kradzieże w sklepach to od lat stały element naszej rzeczywistości. Jeśli coś się zmieniło w ostatnich dwóch latach, to powód, dla którego ludzie wchodzą w rolę złodzieja. Stale rosnące ceny sprawiły, że ryzyko, które kiedyś podejmowano dla dóbr luksusowych: elektroniki, perfum lub alkoholu – teraz dotyczy produktów podstawowych. Ludzie na potęgę kradną jedzenie.

To nie tylko problem Polski. Internet pełen jest zdjęć i filmów z amerykańskich i brytyjskich sklepów, w których w szklanych gablotach tkwią pasty do zębów i dezodoranty, a obok elektroniki w pudełkach przeciwkradzieżowych umieszczane są konserwy mięsne. U nas takich obrazków jeszcze nie ma, ale w związku z nagminnymi kradzieżami masła pojawiły się już pomysły, by zabezpieczać kostki plastikowymi klipsami lub magnetycznymi naklejkami, które dezaktywuje sprzedawca albo ochroniarz przy kasie. Jako pierwsza zastosowała je sieć Carrefour.

– Kradzieże wzrosły u nas dwukrotnie. Są tygodnie, gdy nie ma dnia, by ktoś nie siedział w pokoju zatrzymań – tłumaczy decyzję szefostwa firmy Marta, kierowniczka w jednym ze sklepów sieci Carrefour. Chce pozostać anonimowa, gdyż jej szefowie bardzo niechętnie upubliczniają informacje o kradzieżach. Boją się, że zachęcą kolejnych ludzi do złodziejstwa.

Z głodu i na „etacie"

Krzysztof jest pracownikiem sali sprzedaży w Carrefourze, a do jego zadań należy m.in. wykładanie towaru oraz kontrola cen i terminów przydatności. ↦

↦ W branży od niemal 10 lat, ma za sobą pracę w trzech dużych hipermarketach. Złodziei dzieli na trzy grupy. Do pierwszej należą „intencjonalnie niewinni". Wsadzą coś przypadkiem do kieszeni i zapomną wyjąć przy kasie. Czasem nawet sami wracają zawstydzeni z parkingu i płacą.

Druga grupa to złodzieje „etatowi". Kradną w sposób systematyczny i zaplanowany, czasem wręcz bezczelnie. Krzysztof widział niedawno mężczyznę, który w dużej torbie próbował wynieść kilka kartonów czekolad. Ochrona szybko go dostrzegła, a za linią kas zatrzymała. To reguła. Nawet jeśli ochroniarze zauważą złodzieja pakującego towary do plecaka czy kieszeni, muszą dać mu szansę. A to sprawia, że co spostrzegawczy przestępca, gdy zauważy, że ochrona go obserwuje albo czeka przy wyjściu, nagle przypomina sobie o schowanym produkcie i po prostu odkłada go przed kasą.

Trzecią grupą są osoby, które kradzież traktują jak sposób na zaoszczędzenie pieniędzy. Gdy zostaną złapani, od razu wyjmują portfel i chętnie płacą za schowany towar, nie kradną więc z biedy. Tak robią sprawcy z czwartej grupy, która rozrosła się w ostatnich miesiącach w związku z wysoką inflacją i wzrostem cen. Krzysztof nazywa tę kategorię „kradzieżami głodowymi". Obserwuje je sam, słucha też relacji ochroniarzy z innych sklepów, którzy dostrzegli podobną falę kradzieży podstawowych produktów. Wszyscy mówią to samo: coraz więcej ludzi złapanych na gorącym uczynku naprawdę nie ma czym zapłacić. Kradną, bo nie stać ich na jedzenie.

W ostatnich kilkunastu miesiącach w tej grupie pojawiła się też liczna reprezentacja tzw. podjadaczy. Niejednemu z nas zdarzyło się zapewne otworzyć napój czy jogurt jeszcze na sali lub pozwolić dziecku zjeść batona, za którego potem i tak płacimy. Kłopot w tym, że Krzysztof coraz częściej znajduje porzucone resztki napoczętego jedzenia. Najczęściej jest to pieczywo, bo nie ma opakowania, ale także mniejsze sery, kabanosy etc. Ludzie zjadają połowę, a resztę zostawiają na przypadkowych półkach, za towarami. Po batonach zostaje zazwyczaj tylko folia.

– Kilka tygodni temu podszedł do mnie nasz ochroniarz, dał mi rzodkiewkę i poprosił, abym odłożył ją na miejsce. Chwilę wcześniej zabrał ją jakiejś babci, która podjadała. Nie miał serca wzywać policji, zabrał tylko warzywo i kazał jej wyjść – relacjonuje Krzysztof.

> Obsługa coraz częściej znajduje w sklepach resztki napoczętego jedzenia. Ciasta, bułki, sery, wędliny. Upchnięte za regałami i lodówkami, zepsute, spleśniałe. **Trzeba je wyrzucać.**

Takie wydarzenia są nie tyle nawet bulwersujące, co smutne, bo po niektórych ludziach widać, że nie kradliby, gdyby nie musieli. Jednak zdaniem Krzysztofa, nie wszystko da się wytłumaczyć drożyzną, w parze z nią idzie czasem cwaniactwo i chciwość ludzi, którzy wcale nie są ubodzy. Podczas poprzedniej pracy w Selgrosie najczęściej obsługiwał przedsiębiorców robiących hurtowe zakupy. Niejednokrotnie zdarzało mu się znajdować np. tabliczki czekolady poupychane między zgrzewki wody mineralnej czy mleka i niezgłoszone przy kasie.

– Widziałem ludzi, którzy pchali w stronę swoich drogich aut jednocześnie dwa wózki, i to napchane „z górką", a zakupy wynosiły nawet ponad tysiąc złotych. Mimo to próbowali zachachmęcić jakieś drobnostki, np. słodycze wartości poniżej 50 zł – opowiada Krzysztof. Innym razem zobaczył, że w pokoju zatrzymań siedzi starsza pani. Nic nie wzbudziło jego podejrzeń: miała typowy wygląd emerytki i typowo babciny wózek z rączką. Pod koniec zmiany podszedł do ochroniarza i z ciekawości zapytał, co się stało. Okazało się, że oprócz zakupów, seniorka miała w wózeczku sekretne drugie dno, wypchane dodatkowymi, droższymi produktami.

– Kradzieże nie mają jasno określonej narodowości, płci czy wieku. Brzmi to kiepsko, ale każda osoba, która wejdzie do sklepu, może okazać się złodziejem. Drożyzna sprawiła jedynie, że ci najmocniej zdesperowani będą coraz bardziej ryzykować – twierdzi Krzysztof.

Państwo zachęca?

Korelacja kradzieży z galopującą inflacją (w marcu wyniosła 16,1 proc., a w kwietniu 14,7) jest oczywista. Z danych Komendy Głównej Policji wynika, że w 2022 r. stwierdzono w polskich sklepach 32,8 tys. przestępstw kradzieży. To o 31,1 proc. więcej niż w 2021 r., gdy odnotowano około 25 tys. takich przypadków. Alarmujący jest też drastyczny wzrost liczby wykroczeń, czyli kradzieży towarów o niedużej wartości. W 2022 r. KGP naliczyła ponad 234,3 tys. takich przypadków – to o 21,5 proc. więcej niż w roku poprzednim, gdy takich zdarzeń stwierdzono 192,8 tys.

– Działalność zaawansowanych złodziei bądź zorganizowanych grup przestępczych skupia się w sklepach zazwyczaj na sprzętach AGD i RTV. Nowym i bardzo niepokojącym zjawiskiem jest to, że ludzie coraz częściej sięgają po podstawowe produkty. Starsze osoby, które nie umieją dyskretnie kraść bądź uciec przed ochroniarzami, podjadają. To najmocniejszy dowód pauperyzacji polskiego społeczeństwa – twierdzi Renata Juszkiewicz, prezeska Polskiej Organizacji Handlu i Dystrybucji, pełniącej funkcję mediatora między administracją państwową, producentami żywności i właścicielami sieci handlowych.

Juszkiewicz podkreśla, że dane policji zostały zebrane jeszcze przed waloryzacją progu odgraniczającego wykroczenie od przestępstwa, co miało miejsce na początku roku. W związku z galopującą inflacją podniesiono go z 500 do 800 zł. Juszkiewicz twierdzi, że ta zmiana jest błędem. Teraz można ukraść więcej niż rok temu i ponieść nikłe konsekwencje.

– To się odbije rykoszetem na nas wszystkich, ponieważ dotyczy nie tylko kradzieży w sklepach. Moim zdaniem to dawanie przyzwolenia, a wręcz zachęcanie do większych kradzieży – przekonuje Juszkiewicz.

Jak to zjawisko wygląda z poziomu sklepów?

Pan Marek jest ochroniarzem blisko 15 lat, a doświadczenie nauczyło go dwóch rzeczy: centrum najlepiej widać z oddali oraz: warto być zawsze w ruchu. Dlatego większość swoich zmian w sklepie sieci Netto spędza między regałami. Stara się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z klientami, gdyż potencjalni złodzieje stają się wtedy czujni. Na pytanie o nową falę kradzieży macha ręką i wywraca oczami.

– Wyjątkiem jest dzień, gdy nikogo nie zatrzymam. Najgorszy był okres przed świętami, łapaliśmy kilka osób dziennie, a najwięcej znikało mięsa. „Normalnie", czyli przed inflacją, dorośli najczęściej wynosili alkohol, a dzieci słodycze i zabawki. Ostatnimi miesiącami najbardziej znika nam masło i drobne przetwory mleczne. Robię, co mogę, ale nie mam dziesięciu par oczu dookoła głowy – przyznaje.

W Biedronce podpytuję panią Magdę, która jest ochroniarką od kilku lat. Sklep, w którym pracuje, jest większy niż zazwyczaj, więc towarzyszy jej dwóch kolegów w „cywilnych" ciuchach. Oni kursują z przodu sklepu, bliżej kas, a pani Magda pilnuje tylnych alejek. Potem się zmieniają.

– Mam wrażenie, że sklepy wszystkich sieci łączy dziś jedno: powszechna kradzież alkoholu, jedzenia i słodyczy. Fakt, znikały zawsze, pamiętam nawet wyspecjalizowane panie potrafiące wynosić litrowe whisky. Teraz jednak znikają wszystkie małe rzeczy, które zmieszczą się w kieszeni. „Małpki" z wódką, batony, masło – wylicza pani Magda.

W sklepie sieci Lidl oprócz ochroniarza doglądającego kamer monitoringu przy kasach samoobsługowych spotykam jeszcze jedną osobę. Oficjalnie pani Aneta jest konsultantką pomagającą klientom, ale została także przeszkolona, aby obserwować potencjalnych złodziei.

– Nie mam wglądu w nasze statystyki, ale dużo zauważam napoczętego jedzenia, schowanego między półkami. Ciasta, bułki lub inne małe produkty. Zdarzają się też sery i wędliny. Znajdujemy je za regałami i lodówkami, zepsute, spleśniałe, i musimy wyrzucać. Zauważam też, że przed kasami ludzie coraz częściej rezygnują z niektórych zakupów i odkładają towary gdziekolwiek – twierdzi Aneta.

Kończę objazd w sklepie sieci Dealz, gdzie spotykam panią Monikę, która zajmuje się układaniem asortymentu na półkach. – Nie sprzedajemy świeżego jedzenia jak bułki czy mięso, ale znika nam masa chemii gospodarczej. Ludzie oczywiście nie kradną wielkich butelek z płynami do prania, ale wiele rzeczy mieści się w kieszeniach: mydła, szampony, pasty – wylicza.

Wizerunek i prewencja

Dane policji nie oddają prawdziwej skali problemu, ponieważ nie wszystkie przypadki są raportowane i zgłaszane. Sieci handlowe często zadowalają się odzyskaniem towaru lub zapłaceniem za niego, więc nie powiadamiają policji. Nie chcą też podawać konkretnych strat, ze względów wizerunkowych. To wstydliwe dane, zapewne wysokie.

Nie wszystko da się wytłumaczyć drożyzną, w parze z nią idą czasem cwaniactwo i chciwość ludzi, którzy wcale nie są ubodzy. Gdy zostaną złapani, od razu wyjmują portfel i płacą.

Według prezeski Juszkiewicz z POHiD, przyznanie się do plagi kradzieży nie tylko dowodzi, że dana sieć nie panuje nad sytuacją, ale może być także sygnałem dla potencjalnych kolejnych złodziei.

– Każda firma musi samodzielnie radzić sobie z kradzieżami i nie wymienia się szczegółami, ponieważ są to bardzo wrażliwe dane. Nikt też nie chce się chwalić, że jest często okradany. Z poufnych rozmów z przedstawicielami koncernów wiem jednak, że temat kradzieży jest coraz bardziej palący. Jest on też nierozerwalnie powiązany z sytuacją społeczną. Stale rosnące ceny zmuszają ludzi do kradzieży, a to z kolei pogarsza sytuację sklepów – mówi prezeska POHiD.

■■■

Skontaktowałem się z przedstawicielami sieci: Biedronka, Lidl, Auchan, Kaufland, Carrefour oraz Netto. Pytałem o falę kradzieży i skalę strat. Odpowiedzi, które otrzymałem, były zaskakująco uniwersalne; informowano mnie, że „ze względu na politykę bezpieczeństwa nie ujawniamy informacji na temat statystyk kradzieży". Czasem uspokajano, że „sieć dokłada wszelkich starań, aby zapewnić bezpieczeństwo w swoich sklepach".

– Prawda jest taka, że realne możliwości przeciwdziałania kradzieży są ograniczone. Jest system monitoringu oraz przeszkoleni ochroniarze, którzy starają się wychwycić każde nadużycie. Trudno jednak spodziewać się całkowitej skuteczności w przypadku tak nagminnego zjawiska. Właściciele sklepów nie postawią armii ludzi, którzy będą pilnować każdego regału – twierdzi prezeska POHiD.

Według nieoficjalnych danych otrzymanych od anonimowego przedstawiciela branży spożywczej, na gorącym uczynku udaje się złapać raptem 10-15 proc. złodziei. Inny twierdzi, że ok. 25 proc. Reszta towarów ginie. I kusi kolejnych sprawców.

© DAMIAN NOWICKI

POŻEGNANIE

Janina z Przewłockich Okęcka

Ur. 13 marca 1923 w Mordach
Zm. 20 kwietnia 2023 w Warszawie

Przeszła przez długie i bogate życie z pasją.
Zaangażowana w AK, Solidarność, Komitet Prymasowski Pomocy Uwięzionym, Ośrodek Karta, nie mówiąc o rodzinie.

Starała się znosić pogodnie długą chorobę i zależność od pomocy innych.

Pozostanie w naszej pamięci.

Pogrzeb odbył się na cmentarzu Zakładu dla Ociemniałych w Laskach 6 maja.

Wdzięczne Mamie i Baci za jej spuściznę

DZIECI I SYNOWA, WNUKI I PRAWNUKI

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim w sprawie I Ns 419/22 toczy się postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Państwowego Gospodarstwa Leśnego „Lasów Państwowych" o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonych w gminie Józefów nad Wisłą w miejscowości Bór obręb 0004, stanowiących działki oznaczone w ewidencji gruntów numerem 1237 o powierzchni 0,09 ha, numerem 1239 o powierzchni 0,07 ha, numerem 2162 o powierzchni 0,1156 ha, numerem 2163 o powierzchni 0,0929 ha, numerem 2164 o powierzchni 0,1250 ha, numerem 2165 o powierzchni 1,4129 ha.

Sąd wzywa spadkobierców Lucjana Barana, syna Stanisława i Otylii, Czesławy Wójcikowskiej, córki Marianny i Tomasza, Tadeusza Edwarda Szweda, syna Jana i Walerii, Weroniki Jodłowskiej, córki Szymona i Stanisławy, Janusza Pawła Sobki, syna Józefy i Szczepana, Czesława Nowaka, syna Stefana i Wiktorii, Teresy Sobolewskiej, córki Antoniego i Marianny oraz Czesława Kłudki, syna Stanisława i Anieli, którzy zostali ujawnieni w ewidencji gruntów jako władający działkami graniczącymi z działkami objętymi wnioskiem, do zgłoszenia się i wylegitymowania ewentualnych praw do nieruchomości będących przedmiotem postępowania w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi, albo zgłosiwszy się nie wykaże swoich praw do nieruchomości objętych wnioskiem, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 35/22 postępowanie z wniosku Parafii Rzymsko-Katolickiej pod wezwaniem Świętego Stanisława Biskupa i Męczennika o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Żerkowie, przy ulicy Wiosny Ludów oznaczonej geodezyjnie jako działka 85 arkusz mapy 2, o powierzchni 0,48,43 ha.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

W Sądzie Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 678/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Dobrzańskiej-Kościów, ur. 7 sierpnia 1901 r. we Lwowie, zm. 11 października 1985 r. w Krakowie, ostatnio zamieszkałej w Skawinie. Sądowi nie jest znany skład spadku.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Nowym Sączu pod sygnaturą akt I Ns 91/23 toczy się sprawa z wniosku Stanisława Bednarek z udziałem Gminy Łososina Dolna o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Bednarek nazwisko rodowe Łagosz, c. Piotra i Marii, zmarłej 29.03.2021 r. w Makowie Podhalańskim, ostatnio stale zamieszkałej w Łososinie Dolnej.

Wzywa się jej następców prawnych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili i udowodnili przysługujące im prawo do dziedziczenia pod rygorem pominięcia ich praw.

W Sądzie Rejonowym w Dzierżoniowie w sprawie pod sygn. akt I Ns 31/23 z wniosku Filomeny Janik, zam. Brzezie 198 32-014 Brzezie toczy się postępowanie o uznanie za zmarłego Stanisława Mazura, syna Stanisława i Katarzyny z domu Kita, urodzonego 17 września 1938 roku w Brzeziu, ostatnio zamieszkałego w miejscowości Oleszna, gmina Łagiewniki.

Sąd wzywa Stanisława Mazura, aby w terminie 3 miesięcy od chwili ukazania się ogłoszenia zgłosił się do tut. Sądu, gdyż w przeciwnym wypadku może zostać uznany za zmarłego. Ponadto Sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o Stanisławie Mazurze, aby w terminie 3 miesięcy od chwili ukazania się ogłoszenia przekazały je Sądowi.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 427/22 postępowanie z wniosku Niny Schubert o stwierdzenie nabycia spadku po Helenie Brenienek, zmarłej 01.09.2022 r., ostatnio zamieszkałej w Witaszycach. W skład spadku po zmarłej wchodzi prawo własności zabudowanej nieruchomości położonej w Witaszycach.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Na wniosek Skarbu Państwa - Prezydenta Miasta Krakowa pl. Wszystkich Świętych 3-4, 31-004 Kraków, wszczęto przed Sądem Rejonowym dla miasta stołecznego w Warszawie pod sygnaturą II Ns 236/22 postępowanie o uznanie za zmarłą Elsy Kornell z domu Glaser urodzonej 04 sierpnia 1893 r. w Pelhřimov, córki Heinřicha vel. Jendricha Glaser i Clementine vel. Klementiny Glaser z domu König. Elsa Kornell w 1943 r. została deportowana z Pragi do getta Theresienstadt, a stamtąd do obozu koncentracyjnego Auschwitz - Birkenau.

Sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o Elsie Kornell, aby w terminie 3 miesięcy przekazały je Sądowi.

Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórza w Krakowie I Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 580/22/P z wniosku Incomaxx sp. z o. o. sp. k. z siedzibą w Krakowie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Marszałku, synu Tomasza i Marii, zmarłym w dniu 27.10.1974 r. w Busku-Zdroju, Irenie Marszałek z domu Zając, córce Kazimierza i Heleny, zmarłej w dniu 27.11.2019 r. w Krakowie, Annie Błaszczyk z domu Marszałek, córce Jana i Ireny, zmarłej w dniu 31.01.2022 r. w Krakowie.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosiły się w Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Podgórza w Krakowie i wykazały swoje prawo do dziedziczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postanowieniu stwierdzającym nabycie spadku.

W Wydziale I Cywilnym Sądu Rejonowego w Bielsku-Białej pod sygn. akt I Ns 120/23 toczy się sprawa z wniosku Kredyt Inkaso II Niestandaryzowany Sekurytyzacyjny Fundusz Inwestycyjny Zamknięty – Subfundusz KI 1 w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Krystynie Nowackiej, córce Mieczysława i Petroneli, urodzonej 26 sierpnia 1943 roku w Brandenburg, zmarłej 23 października 2017 roku w ostatnim miejscu zwykłego pobytu w Bielsku-Białej.

W związku z tym Sąd wzywa spadkobierców Krystyny Nowackiej, aby w ciągu 3 (trzech) miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach Wydział I Cywilny pod sygnaturą I Ns 609/22 toczy się postępowanie o zasiedzenie udziału 34/40 w prawie własności nieruchomości położonej przy ulicy Wiosennej 6 w Gliwicach, obręb ewidencyjny Stare Łabędy, oznaczonej geodezyjnie jako działki nr 222 o powierzchni 0,0536 ha, nr 357 o powierzchni 0,0066 ha oraz nr 223 o powierzchni 0,0716 ha. Dla nieruchomości nie jest prowadzona księga wieczysta. Posiadaczem nieruchomości jest Gmina Gliwice.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i wykazali swoje prawo własności, gdyż w przeciwnym razie Sąd może stwierdzić zasiedzenie nieruchomości.

Na wniosek Skarbu Państwa - Prezydenta Miasta Krakowa pl. Wszystkich Świętych 3-4, 31-004 Kraków, wszczęto przed Sądem Rejonowym dla miasta stołecznego w Warszawie pod sygnaturą II Ns 236/22 postępowanie o uznanie za zmarłą Aleny Kornell urodzonej 17 kwietnia 1926 roku w Pradze, córki Artura Kornell i Elsy Kornell z domu Glaser. Alena Korneli w 1943 r. została deportowana z Pragi do getta Theresienstadt, a stamtąd do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Dalsze losy Aleny Kornell nie są znane.

Sąd wzywa Alenę Korneli, aby w terminie 3 miesięcy zgłosiła się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie może być uznana za zmarłą. Sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionej, aby w powyższym terminie przekazały je Sądowi.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 17/23 toczy się postępowanie z wniosku Mariana Popiela o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia prawa własności nieruchomości położonej w Dobrej gm. Sanok, składającej się z działek oznaczonych numerami ewidencyjnymi 366/2, 854, 855 o powierzchni 3,4186 ha, dla której księga wieczysta nie była zakładana.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórza w Krakowie I Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 279/23/P z wniosku Banku Millenium S.A. z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Dorocie Wątor z domu Jamróz, córce Franciszka i Stanisławy, zmarłej w dniu 1 lutego 2018 r. w Krakowie, ostatnio stale zamieszkałej w Krakowie przy ul. Limanowskiego 15/3.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosiły się w Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Podgórza w Krakowie i wykazały swoje prawo do dziedziczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postanowieniu stwierdzającym nabycie spadku.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy Pragi-Północ w Warszawie VII Wydział Cywilny pod sygnaturą akt VII Ns 252/19 toczy się postępowanie z wniosku m.st. Warszawa o stwierdzenie nabycia spadku po Teresie Wiesławie Rudzińskiej, córce Wiktora i Zofii, urodzonej w dniu 7 czerwca 1957 r. w Zamościu, zmarłej 18 marca 2016 r. w Warszawie, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Warszawie przy ul. Węgrowskiej 5 m. 5.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o stwierdzenie jego nabycia.

Przed Sądem Rejonowym w Kielcach toczy się postępowanie w sprawie VIII Ns 282/22 o stwierdzenie nabycia spadku po Elżbiecie Sepioło, posiadającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Kielcach, zmarłej w dniu 29 czerwca 2020 roku.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 1363/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Delegaczu, zmarłym w dniu 16 grudnia 2020 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 114/23 toczy się postępowanie z wniosku Barbary Kwietniewskiej o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności niezabudowanej nieruchomości położonej w Mniszku, gm. Wolanów, powiat radomski, złożonej z działek o nr. 855, 919, 961 i 974 o łącznej pow. 2,8100 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Radomskiego za nr. kancelaryjnym GKN-IV.6621.1.216.2023, gdzie jako właściciel nieruchomości widnieje wpisana Janina Kursa.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego – zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

DŁOŃ W OGNIU

Manipulacje rządowej propagandy, groźba medialnego wykorzystania, obsesja liczb, załatwianie historią współczesnych sporów... Na badaczy Zagłady czyhają same pułapki.

MICHAŁ OKOŃSKI

BARTOSZ SIEDLIK DLA „TP"

BARBARA ENGELKING, ODBIERAJĄC MEDAL ŚW. JERZEGO:

Nie mogę nikogo ostrzec, uratować, nikogo przywrócić do życia. Pozostają więc tylko poczucie odpowiedzialności i troska, która z tego wynika. A oprócz troski, do badania Zagłady potrzebna jest także cisza.

Na zdjęciu: w towarzystwie o. Tomasza Dostatniego i drugiego z laureatów, ks. Tomáša Halíka podczas gali wręczenia Medalu św. Jerzego, Kraków, 23 listopada 2019 r.

Z ostatniej burzy wokół rocznicy powstania w getcie, wywiadu Barbary Engelking w TVN 24, a potem ataku rządzących na jej słowa, wyprowadzić można ponury wniosek: badań nad Zagładą w dzisiejszej Polsce nie da się prowadzić. Z wielu powodów – nie tylko toczącej się w naszym kraju plemiennej wojny.

Efekt mrożący

Kiedy jesteś np. młodym naukowcem i widzisz, jak Mateusz Morawiecki pisze o „skandalicznych słowach, które nie mają nic wspólnego z rzetelną wiedzą historyczną", kiedy słyszysz, że „jako premier, historyk, a przede wszystkim Polak" czuje się zobowiązany, żeby z nimi polemizować, kiedy masz w pamięci tyle wcześniejszych awantur wywołanych przez książki Jana Tomasza Grossa, a później publikacje Centrum Badań nad Zagładą Żydów, kiedy nie zapomniałeś jeszcze o próbie wprowadzenia do ustawy o IPN poprawki, którą nie bez powodu nazwano „lex Gross" (każdemu, „kto publicznie i wbrew faktom przypisuje polskiemu narodowi lub państwu polskiemu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za zbrodnie popełnione przez III Rzeszę Niemiecką", miała grozić grzywna lub pozbawienie wolności do lat trzech), musisz zdawać sobie sprawę z istnienia tzw. efektu mrożącego.

Badając Zagładę kariery naukowej nie zrobisz. Ministerialnych grantów nie otrzymasz. Punktów za artykuł opublikowany w jedynym czasopiśmie zajmującym się tematem również się nie spodziewaj – rocznik „Zagłada Żydów", pozbawiony oczywiście resortowych dotacji, w wykazie czasopism punktowanych przez Ministerstwo Edukacji i Nauki za czasów rządów PiS otrzymuje najniższe możliwe oceny.

Zatrudnienia w państwowej instytucji też nie dostaniesz, no chyba że zechcesz udowadniać ustaloną z góry tezę, np. w ramach finansowanych przez Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, „zakrojonych na szeroką skalę badań – gmina po gminie – zaangażowania społeczeństwa polskiego w pomoc Żydom", że zacytuję ministra Czarnka. Jeśli dotąd w takiej instytucji pracowałeś, zapewne z niej wylecisz, jak Adam Puławski z lubelskiego oddziału IPN, który już kilka lat temu usłyszał, że badania nad Zagładą i relacjami polsko-żydowskimi, owszem, może kontynuować, ale z nową narracją, tak by nie pokazywać Polaków w złym świetle, a potem został skierowany do wklepywania nazwisk w bazę danych Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

Jeśli już pracujesz w placówce teoretycznie od władzy niezależnej, na willę z programu rządowego nie licz, nadal będziesz się gnieździć w maleńkim pokoju w warszawskim Pałacu Staszica. O ile i z niego cię w przyszłości nie wyrzucą: po występie Barbary Engelking w „Kropce nad i" minister Czarnek zastrzegał wprawdzie, że nie zamierza wpływać na politykę kadrową Instytutu Filozofii i Socjologii PAN (którego częścią jest Centrum Badań nad Zagładą Żydów, mieszczące się właśnie w Pałacu Staszica), ale zrewiduje dotyczące go decyzje budżetowe, bo nie będzie „finansował na większą skalę instytutu, który utrzymuje ludzi, którzy obrażają Polaków".

No i nie daj Bóg, że w trakcie swoich badań popełnisz błąd, np. w monumentalnym, przez lata powstającym dziele, na tysiącach stron i wśród setek nazwisk ↦

↦ zdarzy ci się pomylić dwie osoby o tym samym imieniu i nazwisku żyjące w tej samej wsi. Wtedy nie wystarczy sprostowanie – musisz się liczyć, jak redaktorzy „Dalej jest noc" Barbara Engelking i Jan Grabowski, z wielomiesięcznym procesem, w którym stronę pokrzywdzoną wspierać będzie sponsorowana przez rządzących tzw. Reduta Dobrego Imienia. Po publikacji takiej książki powinieneś się zresztą spodziewać także tego, że IPN oddeleguje do jej lektury grono osób mających wyszperać w niej każdą nieścisłość i podważyć każdą interpretację. Pytanie, czy możesz to uznać za normalną w warunkach akademickich krytykę czy raczej za polowanie z nagonką, wydaje się retoryczne.

„Zanim jakiś historyk, zwłaszcza mniej znany czy zaczynający dopiero drogę naukową, zdecyduje się badać trudne fragmenty naszej przeszłości, zastanowi się trzy razy" – podsumowywał kwestię tzw. efektu mrożącego prof. Dariusz Stola w rozmowie z „Kulturą Liberalną".

Smutek historii

W dodatku za takie badania zapłacisz wysoką cenę emocjonalną. Zajmująca się Zagładą od końca lat 80. XX w. (przygotowując się do doktoratu z psychologii, zaczęła rozmawiać z Ocalałymi) Barbara Engelking wyznała w rozmowie z „Tygodnikiem", że zdarzyło jej się rozpłakać w trakcie wykładu – czytała wtedy studentom fragment relacji, w której opisano upokorzenie ofiar Zagłady. Dorocie Wodeckiej opowiedziała z kolei, że nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej prace wpłyną na życie rodziny: „Byłam naiwna, gdy wydawało mi się, że chronię swoje dzieci i nie zarażam ich smutkiem historii, których wysłuchuję. Kiedy były już w liceum, opowiedziały mi, jak w dzieciństwie bawiły się z kolegami w przywiązywanie do drzewa i wypisywanie sobie na ramieniu numerów obozowych".

W rozmowach z historykami Holokaustu powracają kwestie znane badaczom innych ludobójstw, czy w ogóle zbrodni: depresji, przewlekłego stresu, fizjologicznych wręcz reakcji. „Przed snem, gdy tylko zamykałem oczy, to wszystko widziałem – opowiadał w rozmowie z radiem Tok FM wspomniany Adam Puławski. – I w pewnym momencie organizm zaczął się przed tym bronić, dlatego odrzuciłem czytanie dokumentów w domu. Ale tak naprawdę nie da się tego wyrzucić z głowy. Np. jak idę ulicą i widzę stary rower, to od razu mam skojarzenia związane z wojną, zastanawiam się, czy chłopak, który ten rower prowadzi, w czasie wojny dałby sobie radę np. jako Żyd ukrywający się po stronie aryjskiej".

Jest i inna kwestia. „Boję się banalizacji. Skończyłem właśnie z moim izraelskim kolegą książkę o powstaniu w getcie i czuję niepokój, czy w szczegółowych analizach źródłowych nie gubię czegoś zupełnie w tamtej historii podstawowego – mówił mi kiedyś Dariusz Libionka na marginesie prac nad rozprawą „Bohaterowie, hochsztaplerzy, opisywacze". – Czy to nie jest zabawa profesjonalisty, który owszem: wie, jak korzystać ze źródeł, sprawnie nimi żongluje, uprawia radykalną dekonstrukcję, a wymyka mu się ludzkie cierpienie".

Osobny problem to mechanizm obronny kogoś, kto nieustannie konfrontowany z opowieściami o bólu i okrucieństwie zwyczajnie stara się zneutralizować ich siłę. Istnieje taki moment, w którym twarze składających relacje bledną, losy ludzkie zamieniają się w liczby i trzeba na jakiś czas dać sobie spokój, jeśli to możliwe.

Rzecz w tym, że zwykle to niemożliwe. „Po kilkunastu latach ciągle natrafiam na czyjąś historię, relację czy nawet jedno zdanie, które mnie zatrzymuje, zmusza do refleksji, czasem nie pozwala zasnąć" – mówiła Barbara Engelking w rozmowie z „Tygodnikiem" w 2005 r. Nic się od tamtej pory nie zmieniło, może poza tym, że tego, co „osadza się na duszy w postaci kolejnego pokładu smutku", jest dużo więcej.

Promowanie na martyrologii

Zacząłem od tego, że prowadząc badania nad Zagładą można się stać obiektem ataku. Co gorsza: hasło do niego może dać przywódca polskiego państwa. W korespondencji między szefem rządu a jego wpływowymi doradcami, ujawnianej przez ostatnie lata na portalu Poufna Rozmowa, mowa o „wrogach Polski", „przedstawicielach pedagogiki wstydu, którzy chcą skompromitować naszą historię, a w konsekwencji tożsamość", i o kimś, kto prezentuje „wręcz obsesyjną nienawiść do Polaków" – wszystkie cytaty pochodzą z maili Bronisława Wildsteina do Mateusza Morawieckiego, odsłaniających również strategiczne plany realizowane w trakcie 80. rocznicy powstania w getcie.

„Polską martyrologię należałoby wypromować na żydowskiej i jest to możliwe" – zachęcał Wildstein Morawieckiego, więc 19 kwietnia 2023 r. prezydent Niemiec otrzymał w Warszawie raport z listą polskich strat wojennych (nawiasem mówiąc, zawierającą również miejscowości, w których obywatele II RP żydowskiego pochodzenia byli mordowani i torturowani przez polskich sąsiadów). Jak to podsumował Michał Bilewicz: „Gdyby ktoś wiedzę o polskiej historii czerpał z rządowych kont na Twitterze, mógłby odnieść wrażenie, że 19 kwietnia obchodzimy na pamiątkę masowego zrywu Polaków ratujących Żydów".

Zauważmy na marginesie: Wildstein, oprócz frontalnego ataku na Centrum Badań nad Zagładą Żydów, konkludował w mailu do Morawieckiego, że „ŻIH, Mu-

KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM

Mural upamiętniający 80. rocznicę wybuchu powstania w getcie. Warszawa, 13 kwietnia 2023 r.

zeum Polin są niewiele lepsze" i że „należałoby zanalizować ich status i możliwości stopniowego wprowadzania do nich innych ludzi". Od tamtej pory Dariusz Stola – mimo wygranego konkursu – nie otrzymał od ministra kultury powołania na kolejną kadencję dyrektorską w Muzeum POLIN, a z kolei dyrektorką ŻIH została Monika Krawczyk, mianowana wbrew rekomendacji Rady Programowej oraz Stowarzyszenia ŻIH.

Obrażanie Polaków

Ale jest i druga strona, związana z wykorzystaniem odkryć badaczy Zagłady i przykrajaniem ich do topornych medialnych tez.

Jeśli ktoś spędzał długie miesiące w archiwach i dzielił się swoimi odkryciami z garstką tych samych co zawsze kilkunastu uczestników seminariów, w końcu zaś opublikował swoją książkę – żeby było jasne: w śladowym nakładzie – może, owszem, liczyć na omówienia i wywiady w dwóch wysokonakładowych tygodnikach oraz jednym dzienniku, ale zapowiadające je okładki typu „Jak Polacy dobijali Żydów" z pewnością nie ułatwią spokojnej rozmowy o jego pracy (opowiadała mi jedna z osób będących współautorami „Dalej jest noc", że na widok „Newsweeka" z tym hasłem klęła z bezsilnej wściekłości).

Jeśli zaś przyjmie zaproszenie do rozmowy w programie Moniki Olejnik, związane z nim wymagania szybkiego wywiadu (albo, inaczej mówiąc, kaskada pytań prowadzącej) uniemożliwią mu wyklarowanie kwestii tak delikatnych jak te, którymi się zajmuje. Efekt? Kanonada rządowej propagandy, później zaś wielogodzinne usuwanie ze skrzynki mailowej antysemickich obelg.

Najlepszym przykładem wykorzystania, jakie grozi badaczowi, jest fragment dawnej rozmowy Olejnik z Engelking. Kiedy wpisze się w wyszukiwarkę nazwisko tej ostatniej, jednym z pierwszych cytatów, na jaki się natrafi, jest ten, który rzekomo ma opisywać różnicę między śmiercią Polaka a śmiercią Żyda w czasie okupacji niemieckiej, a który tak naprawdę dotyczy spojrzenia na żydowską śmierć. Spojrzenia ofiar i ludzi przyczyniających się do tej śmierci, a będących naszymi rodakami.

Szefowa Centrum Badań nad Zagładą Żydów mówiła wtedy tak: „Myślę, że oni już nie byli ludźmi w oczach tych, którzy ich wydawali, którzy ich łapali, którzy ich więzili, związywali im ręce, zawozili ich na posterunek. Myślę, że to jest jakiś problem, właśnie ten brak szacunku, pogarda, która ich otaczała, osamotnienie, że to było zderzenie się zupełnie różnych płaszczyzn, że ta śmierć żydowska wynikała również z takiej całkowitej niemożności porozumienia, dla Polaków to była po prostu kwestia biologiczna, naturalna – śmierć jak śmierć, a dla Żydów ↦

↦ to była tragedia, to było dramatyczne doświadczenie, to była metafizyka, to było spotkanie z Najwyższym, czy nie wiem, w jaki sposób oni przeżywali tą śmierć".

Większość prawicowych mediów z przytoczonej wypowiedzi wybija tylko ten fragment: „Dla Polaków to była po prostu kwestia biologiczna, naturalna – śmierć jak śmierć, a dla Żydów to była tragedia, to było dramatyczne doświadczenie, to była metafizyka, to było spotkanie z Najwyższym". Przyznajmy, że tak zmanipulowany (przecież nie Polaków mordowanych przez okupanta zestawiała tu z Żydami Engelking!), brzmi kuriozalnie. Tyle że jest efektem cynicznego zabiegu, służącego unieważnieniu nieprzyjemnej prawdy o polskich „pomocnikach śmierci".

Klonowanie Sprawiedliwych

„Zajmowanie się materią historyczną, gdzie w grę wchodzi ocena ludzkich zachowań w sytuacjach skrajnych (obojętne, czy dotyczy to relacji polsko-żydowskich, czy innego tematu dotykającego spraw życia, śmierci, a także godności ludzkiej), nakłada szczególną odpowiedzialność za słowa" – pisał kiedyś w „Tygodniku" Wojciech Pięciak, komentując wspomniany już proces Barbary Engelking i Jana Grabowskiego. O tym problemie trzeba pamiętać, kiedy pod ogniem ataków pojawia się pokusa radykalizacji.

Stale słysząc pod swoim adresem obelgi i groźby karalne, mając do czynienia z takimi manipulacjami jak powyższa, zasiadając na ławie oskarżonych, można bowiem w końcu przestać empatyzować z ludźmi, którym trudno przyswoić sobie trudną opowieść o przeszłości – zaczyna się w nich widzieć tych samych antysemitów, którzy pod murem getta wołali z satysfakcją, że „Żydki się smażą", a którzy nie są bynajmniej wymysłem badaczy z Pałacu Staszica.

Efektem może być wówczas przenoszenie standardów emocjonalnej wymiany na portalu społecznościowym do dyskursu naukowego, a czasami błąd, z którego trudno się wycofać. Coś takiego stało się, mam wrażenie, udziałem Jana Grabowskiego (skądinąd autora pionierskich prac, bez których nasza wiedza o Zagładzie byłaby skromniejsza), który od lat powtarza swoją tyleż niedającą się obronić, co rozpowszechnianą przez światowe media tezę o dwustu tysiącach Żydów, którzy stracili życie za sprawą Polaków. Zapewne fala agresji, z jaką się spotyka autor „Judenjagd", nie ułatwia mu przyznania, że powołując się na dawne szacunki Szymona Datnera zwyczajnie się zagalopował, ale skutki są opłakane.

Żeby było jasne: fakt, że tych, którzy zginęli za sprawą Polaków, było kilka razy mniej, najpewniej kilkadziesiąt tysięcy, nie czyni każdego z przypadków takiej śmierci mniej straszliwym, a naszej powinności wobec niego mniej istotną. Podobnie zresztą jest z powinnością wobec Polaków pomagających Żydom: mnożąc ich przypadki ponad miarę, „klonując Sprawiedliwych", jak pozwoliłem sobie kiedyś napisać, rządzący naszym krajem tak naprawdę sprzeniewierzają się ich pamięci.

„W okupowanej Warszawie dużo łatwiej było znaleźć miejsce w salonie, gdzie by pod dywanem został ukryty duży czołg, niżby znalazło się miejsce dla jednego małego dziecka żydowskiego" – mówiła Irena Sendlerowa. Trudno się dziwić: heroizm nie jest normą społeczną. „Naturalnym odruchem każdego z nas jest cofnięcie ręki, kiedy znajdzie się w pobliżu płomienia – pisał o tym Jacek Leociak. – Ci, którzy odważyli się pomagać Żydom, narażając życie swoje i bliskich, potrafili trzymać rękę w płomieniu i nie cofać jej".

Przeklęte liczby

Spór o liczby – Żydów, którzy zginęli z rąk Polaków, Polaków, którzy narażając własne życie pomagali Żydom – należy w tej historii do najbardziej przeklętych. Zwłaszcza że dziennikarze pytają głównie o nie. To jedna z największych pułapek czekających na badacza Zagłady. Nie wiedzieć kiedy, wciągnięty w medialny wir, może zamiast mozolnego opisywania dziesiątek i setek historii – zacząć je uogólniać.

Mój podstawowy problem z ostatnim wywiadem Moniki Olejnik z Barbarą Engelking polega na tym, że choć rozumiem każde zdanie, a co więcej: każde zdanie uważam za solidnie osadzone w wiedzy historycznej, to na takim poziomie ogólności („Żydzi się nieprawdopodobnie rozczarowali co do Polaków w czasie wojny"; „Polacy mieli potencjał, by stać się sojusznikami Żydów" itd.) uważam je również za łatwe do zneutralizowania i odrzucenia. Nawet jeśli zostały jasno przez samą Engelking umotywowane, bynajmniej nie obsesyjną nienawiścią do rodaków, a właśnie poczuciem przynależności narodowej. „Polacy nie są ani lepsi, ani gorsi od innych – mówiła – ale ponieważ ja jestem Polką, dla mnie te problemy [czytaj: reakcji naszych przodków na Zagładę – MO] są o wiele bliższe". W audycji dotyczącej zasadniczo losu cywilów, którym poświęcono otwartą w Muzeum POLIN wystawę „Wokół nas morze ognia", mowa była oczywiście także o Polakach ratujących Żydów i o karze śmierci grożącej za taką z rąk niemieckiego okupanta.

O ileż trudniej zneutralizować i odrzucić zdania, które autorka książki „Jest taki piękny słoneczny dzień..." wypowiedziała kiedyś podczas długiej rozmowy dla „Tygodnika": „W każdym kraju na świecie podczas wojny ludzie ulegają demoralizacji. Czy jest to doświadczenie powszechne, w tym sensie, że demoralizacji ulega zwykle tyle a tyle procent społeczeństwa? Tego nie wiemy. Czy musimy? Czy liczby i proporcje są najważniejsze? Czy cierpienie traci swą moc, jeśli doświadcza go tylko jedna, jedyna osoba na świecie?".

Nie chciałbym, aby ktoś pomyślał, że piszę to łatwo albo że pouczam. Zwłaszcza że zdaję sobie sprawę, iż wśród dramatycznych kosztów, jakie trzeba płacić za badania nad Zagładą, jest także cena utraty przyjaźni i rozbicia środowiska. Tajemnicą poliszynela jest przecież, że w zespole Centrum Badań nad Zagładą Żydów doszło do podziału: Jan Grabowski przestał być jego członkiem, a choć większość pozostałych nie zgadza się z wieloma wystąpieniami publicznymi dawnego kolegi, solidarnie milczy w obliczu walca rządowej propagandy.

Brak Żydów

Nie sposób oczywiście nie postawić pytania, dlaczego badania nad Zagładą budzą wciąż tyle emocji. Jacek Leociak wspomina w tym kontekście o lęku, że konfrontacja z prawdą historyczną doprowadzi do zawalenia się całej koncepcji naszej obecności w świecie. „Łatwiej konsumować historię narodu uciemiężonego, bohaterskiego, bo z tego są same pozytywy. Łatwiej mówić: »Nie denerwujcie się, Polacy mogą być z siebie dumni«, niż przyznać, że wśród nas było niemało takich, których działania – chcąc nie chcąc – wspierały straszliwe dzieło Zagłady" – mówił mi przy okazji dyskusji nad „Zło-

tymi żniwami" Grossa, bagatela, w 2011 r. Brzmi to, przyznajmy, jak opis obecnej strategii obozu PiS.

„Nasza narodowa tożsamość jest bardzo mocno zanurzona w przeszłości, niemal w niej zaklęta" – dopowiadała w jednej z rozmów Barbara Engelking, są więc i tacy, którzy w nieprzepracowanych traumach sprzed dekad szukają klucza do współczesności. Symbolem może tu być Andrzej Leder i jego brutalna obserwacja, że powojenne wejście w „przygodę z nowoczesnością" odbywało się po żydowskim trupie. „Sądzę – pisał w „Prześnionej rewolucji" – że nieuświadomione i wypierane poczucie winy, związane z wieloma momentami historii 1939-1945, w istotny sposób warunkuje głęboką niepewność siebie i brak zaufania do innych, charakterystyczne dla Polaków".

Ale są i tacy, który do sprawy podchodzą pragmatycznie, uważają, że pisanie prawdy na temat postaw Polaków wobec Zagłady osłabia naszą pozycję w świecie, bo – jak to ujął kiedyś Dariusz Gawin – wspólnotę dumy przekształca we wspólnotę wstydu. Choć mogłoby się wydawać, że wspólnota bardziej świadoma siebie staje się dojrzalsza, a w związku z tym właśnie silniejsza.

Nie chcę jednak zamieniać tego tekstu w stanowisko w bieżącym sporze politycznym. To w trakcie jednej z rozmów z Barbarą Engelking uświadomiłem sobie przecież coś, co było uderzające także 19 kwietnia 2023 r.: w naszych dyskusjach o Zagładzie mówimy niemal wyłącznie o Polakach. Z horyzontu nikną nam nie tylko niemieccy sprawcy, ale przede wszystkim żydowskie ofiary. Książka „Dalej jest noc", choć naturalnie niewolna od błędów, również była przede wszystkim o nich: o ludziach, którzy w trzeciej fazie Zagłady, już po likwidacji gett, z odwagą i determinacją walczyli o życie swoje i swoich najbliższych.

Kiedy „Tygodnik Powszechny" przyznawał jej Medal św. Jerzego, podkreślaliśmy właśnie to: Barbarze Engelking nie chodzi o nasze samopoczucie i o „wizerunek Polski". Chodzi o empatię wobec tych, którzy zginęli. O otwartą postawę wobec ich cierpienia. I mówienie o nim tak, by ludzie byli ważniejsi od liczb.

„Kiedyś przez dwa lata czytałam w Bibliotece Narodowej ukazującą się w getcie oficjalną »Gazetę Żydowską« – opowiadała mi przed laty, a jej krytykom proponuję eksperyment poświęcenia dwóch lat podobnej czynności. – Trafiałam także na numery nierozcięte, co znaczy, że nikt przede mną nie miał ich w ręku. »Gazeta« podawała setki nazwisk ludzi, którzy zmienili adres i nie można było doręczyć im poczty. Ja te nazwiska pieczołowicie przepisywałam. Stałam się ich depozytariuszką, przez chwilę choćby żyli w mojej pamięci – może wyłącznie w mojej – Rywka Margines, Chana Szafran, Fajga Maślak, Abraham Ozdoba czy Szmul Słupnik".

> To właściwie upiorne, że w naszych dyskusjach o Zagładzie mówimy wyłącznie o Polakach. **Jakby jej ofiar nigdy nie było.**

To właściwie upiorne, że dzisiejsze polsko-polskie spory toczą się tak, jakby tych ludzi, mających swoje imiona, życiorysy i twarze, nigdy nie było.

Popiół na sercu

A może sedno problemu leży zupełnie gdzie indziej? I nie chodzi nawet o zarzut postawiony 13 lat temu przez Tomasza Łubieńskiego, który na łamach „Gazety Wyborczej" napisał, że „Gross oraz autorzy, których zainspirował, ulegają, może nie zdając sobie z tego sprawy, nieuchronnemu podtruciu toksycznym materiałem, z jakim mają do czynienia". „My naprawdę nie ekscytujemy się złem, okrucieństwem, podłością – odpowiadał mu przecież Leociak. – Pisanie książek jest sposobem na radzenie sobie z bezradnością wobec zła, która – proszę mi wierzyć, Panie Tomaszu – jest dla nas bolesnym doświadczeniem. Dlaczego to robimy? Ponieważ, jak pisał Elias Canetti w »Grze oczu«: »Powinno się wiedzieć, do czego byli zdolni nasi bezpośredni przodkowie, a nie tylko, co im się przydarzyło. Powinno się wiedzieć, do czego człowiek sam jest zdolny«".

Kluczowe w powyższym cytacie wydaje mi się słowo „bezradność". Zagłada – mówiła Barbara Engelking, odbierając Medal św. Jerzego – obrasta znaczeniami, interpretacjami, czasem banałami. „Poszukujemy sensu w tym, co się wydarzyło, tylko po to, żeby odkryć, że nie ma w tym żadnego sensu".

Może badań nad Zagładą nie da się w dzisiejszej Polsce prowadzić, bo wobec Zagłady jest się bezradnym. „W tym samodzielnie istniejącym cierpieniu najtrudniejszy do zaakceptowania jest fakt, że okazuje się ono całkowicie bezużyteczne, że ten ból, bezcelowy i absurdalny, nie ma żadnego znaczenia" – mówiła dalej Engelking. I jeszcze, że studiując Zagładę, dowiedziała się, że zło jest silniejsze od dobra.

Zastanawiam się czasem, dlaczego to właśnie ona ze wszystkich zajmujących się Zagładą jest najsilniej atakowana. Przyznam, że zwykle znajduję proste odpowiedzi: jest zwyczajnie pod ręką, w Warszawie, na czele łatwo definiowalnej instytucji, w odróżnieniu od mieszkających na drugiej półkuli Grabowskiego i Grossa. Czasami myślę też, że w kobietę uderzyć łatwiej. Ale przychodzi mi również do głowy, że jej postawa musi być dla wszystkich stron sporu największym wyzwaniem.

Z ust Barbary Engelking, jeśli nie będzie poganiana przez telewizyjną dziennikarkę, usłyszymy przecież, że do badania Zagłady potrzebna jest cisza. Usłyszymy o przyzwoleniu na tajemnice, których racjonalny umysł nie potrafi wyjaśnić, jak wszystkich najważniejszych ludzkich tajemnic, do których zaliczamy miłość, śmierć, cierpienie, Boga i nieskończoność.

Czasami wyobrażam sobie debatę o relacjach polsko-żydowskich podczas II wojny światowej, której uczestnicy zamiast okładać się zdaniami jak cepy, będą najpierw długo milczeć. Jeśli któryś zapłacze, uświadamiając sobie, o czym ma za chwilę mówić, nie stanie się chyba nic strasznego. Może łatwiej byłoby wtedy wyjść z zaklętego koła, o którym pisał Piotr Paziński, a w którym jedni mówią, że Polacy zawiedli, bo pomagali za mało, a drudzy są tak przejęci obroną własnego wizerunku, że zamiast powiedzieć: „Pomagali, ile się dało w takich warunkach, oczekiwanie czegoś więcej byłoby oczekiwaniem niemożliwego, niemniej stanowczo potępiamy przypadki łajdactwa i kolaboracji", to krzyczą: „Pomagali, ile wlezie i jeszcze więcej".

I w którym – dodajmy – nikną ci samodzielni, sprawczy i odważni ludzie walczący o życie nie tylko w kwietniu 1943 r.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

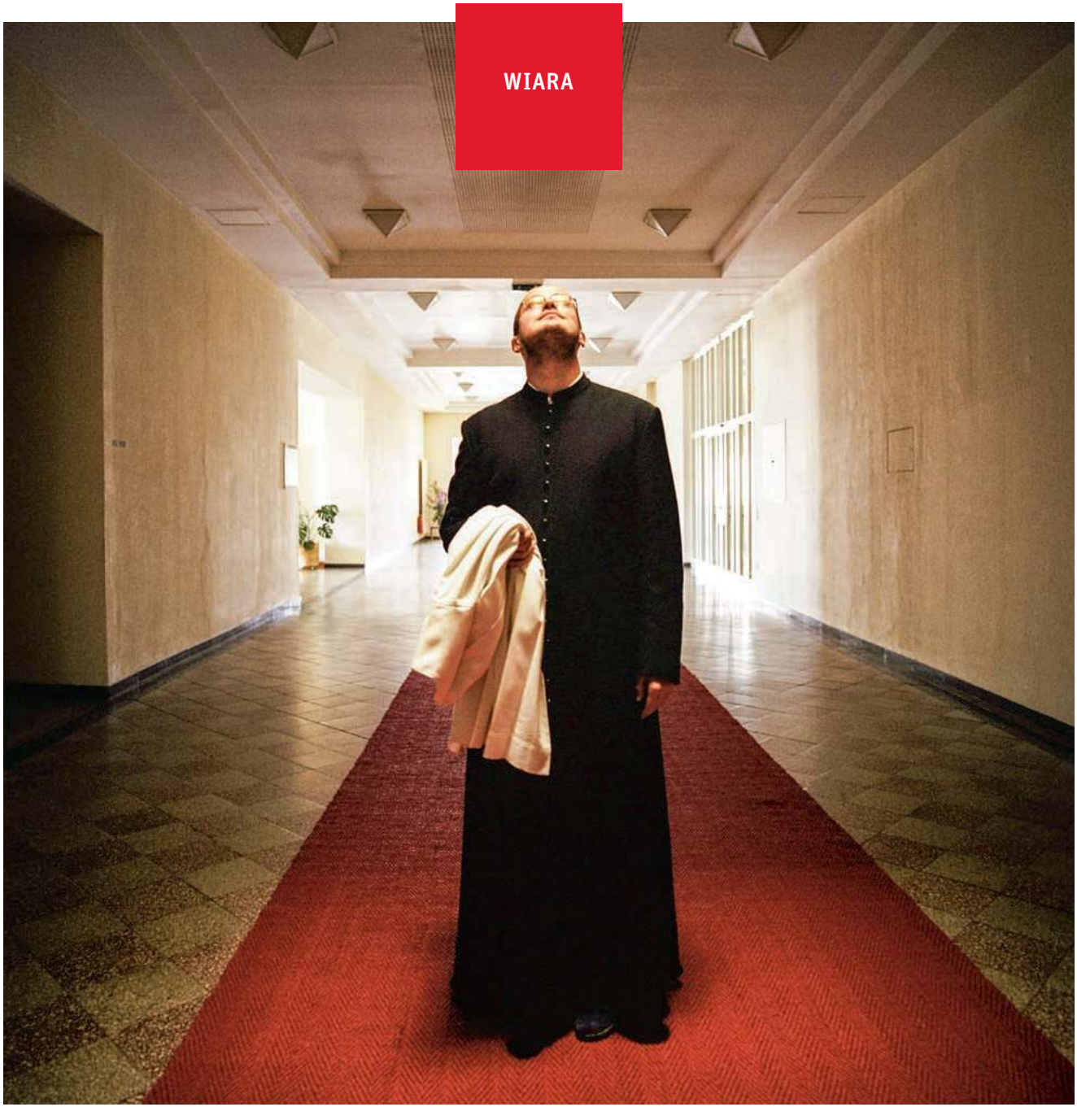

PHILIPP HORAK / ANZENBERGER / FORUM

KLERYCY OSTATNIEJ GODZINY

Czy do seminariów przychodzić będą dojrzali mężczyźni, a nie młokosy po maturze? W Łodzi już to ćwiczą.

STANISŁAW ZASADA

„Dziadki” – mówią na nich żartobliwie ci z „młodego” seminarium. Rzeczywiście, od niektórych z nich są dwa razy starsi. Na zdjęciu z biskupem wyglądają, jakby świętowali dwudziestopięciolecie kapłaństwa. Ale są dopiero na piątym roku – arcybiskup Grzegorz Ryś wyświęci ich za chwilę na diakonów.

Ogólnopolskie Seminarium dla Starszych Kandydatów do Święceń od dekady przyjmuje mężczyzn, którzy mają co najmniej trzydzieści pięć lat. Na pierwszy rok zgłosiło się czternastu kandydatów. Tyle samo co do seminarium w Tarnowie, które ma najwięcej alumnów.

– Przychodzą do nas, choć zderzyli się z Kościołem dotkniętym kryzysem – ksiądz rektor Sławomir Szczyrba nie kryje zdumienia. Uważa, że to znak czasów.

■ ■ ■

Do pociągu zabieram „Wyborczą” i „Tygodnik Powszechny”. Na czołówce „Gazety” zdjęcie Jana Pawła II z pastorałem, tytuł: „Wojtyła krył pedofilów”. Na okładce „Tygodnika” zapowiedź głównego tematu: „Co Wojtyła wiedział naprawdę”.

CV | Zanim przyszli do seminarium:

– Kelnerowałem na weselach, pracowałem w stolarni, na stacji benzynowej, w gospodarstwie, nawet krowę umiem wydoić, po świecie jeździłem – Roman, trzydzieści pięć lat, z Wiśniowej koło Myślenic, rok pierwszy.

– Po maturze pracowałem w McDonaldzie, zaocznie skończyłem zarządzanie i marketing, potem studia inżynieryjne, w Szkocji przez kilkanaście lat zmywałem gary w pubach, nalewałem piwo i whisky, chodziłem na mecze, pracowałem fizycznie w Anglii i Holandii – Przemysław, czterdzieści cztery lata, z Knurowa na Śląsku, rok pierwszy.

– Skończyłem studia techniczne, próbowałem robić doktorat, pracowałem jako urzędnik w agencji rolnej, w urzędzie gminy, byłem wicedyrektorem zarządu dróg miejskich w Nowym Sączu, zrobiłem studia z ratownictwa medycznego i brałem dyżury w pogotowiu ratunkowym – Dawid, trzydzieści dziewięć lat, z Nowego Sącza, też rok pierwszy.

Na roku są jeszcze między innymi: Marek, 63 lata, był świeckim misjonarzem w Ukrainie. Rafał, 55 lat, brat zakonny ze Zgromadzenia Świętego Ducha, który chce zostać księdzem. Bartek, 43 lata, pracował w PTTK, związany z harcerstwem. Tomasz, 42 lata, prawnik, pracował w kancelarii prawnej.

REKRUTACJA | Tych, którzy zgłaszają się do seminarium, rektor dzieli na trzy grupy.

Jedni: w seminarium już kiedyś byli, próbowali życia w zakonie. – Nie wykluczam, że ich powołanie w końcu dojrzało – mówi Ks. Szczyrba. Choć gdy kandydat był już w seminarium, a potem w paru zgromadzeniach, zazwyczaj odradza mu kapłaństwo. – Bo jeśli ktoś w żadnej wspólnocie się nie odnalazł, to może być sygnał, że jest w nim jakiś mankament.

Drudzy: wciąż nie znaleźli pomysłu na życie. – Zastanawiam się, czy Kościół nie staje się dla nich przytuliskiem, rodzajem przechowalni. Często mam wrażenie, że taki kandydat myśli zachowawczo, bardziej o sobie niż o ewangelizacji.

Trzecia grupa: skończyli studia, pracowali, mieli zawodowe sukcesy, ale czują się niespełnieni. Ks. Szczyrba: – To szczególnie ciekawi kandydaci. Bo sprawdzili się w wielu środowiskach, a jednocześnie jest w nich pragnienie kapłaństwa.

Rektor takich przyjmuje najchętniej.

ZDANIE | Czemu tak późno pomyśleli o kapłaństwie?

– Ze mną to nie tak było – mówi Dawid. O kapłaństwie myślał już na studiach. Zrezygnował z błahego powodu: przyjechał do Krakowa na mszę z Benedyktem XVI. Żeby dostać się na Błonia, musieli wstać o piątej rano. Dawid pomyślał, że ksiądz to musi wcześnie wstawać, a on pospać lubi – powołanie go opuściło. – O tak, w jednej chwili – pstryka palcami.

Rok temu wyczytał, że póki w Kijowie stoi cerkiew Michała Archanioła, to Ukraina nie upadnie. Pojechał do jego sanktuarium w Apulii, odwiedził San Giovanni Rotondo, gdzie żył ojciec Pio. Myśli o kapłaństwie wróciły. Ale rektor w Tarnowie powiedział mu, że spóźnił się o kilka lat. Podsunął Łódź. Dawid Łodzi nie lubi, ale co było robić.

– Zostawiłem dyrektorski stołek, kasę i przyjechałem – śmieje się.

Przemek przez większość dorosłego życia był daleko od Kościoła. Przez nieudaną miłość. Miał siedemnaście lat, gdy pierwszy raz się zakochał. Modlił się, żeby coś z tego wyszło. Nie wyszło. Zaczął mieć żal do Pana Boga. Choć w Szkocji kibicował Celticowi, bo to klub katolików. – Dużo się bawiłem, brałem używki – wspomina tamten czas. Czuję, że nie wszystko chce mi powiedzieć.

Spadł na niego kolejny cios: tato zmarł na nowotwór. Przemek pogubił się kompletnie. „Pan Jezus umarł za ciebie na krzyżu” – usłyszał wtedy od mamy. To zdanie go ratowało. Przeczytał Nowy Testament, znalazł polski kościół – był wtedy w Holandii, na niedzielną mszę jeździł po 70 kilometrów w jedną stronę. Wyspowiadał się, rzucił alkohol, papierosy. Wrócił do Polski i zaczął jeździć na rekolekcje.

„Proście Pana żniwa, aby wyprawił robotników na swoje żniwo” – słowa Jezusa z Ewangelii nie dawały mu spokoju. Aż wziął je do siebie. Myślał o augustianach, pojechał do ich klasztoru, ale stwierdził, że to nie dla niego. Na kolejnych rekolekcjach spotkał księdza z seminarium w Łodzi, dowiedział się, że przyjmują starszych kandydatów. Uznał, że nie ma co czekać.

– Miałem dziewczynę, chciałem mieć gromadkę dzieci, ale stwierdziłem, że to nie moja droga – mówi Roman o sobie. O kapłaństwie zaczął myśleć dwa lata temu: w Wielkanoc. Czemu? Roman przypuszcza, że zmieniły go choroby bliskich, zwłaszcza ojca, który niedawno odszedł.

Rektor seminarium w Krakowie (jego diecezja) powiedział mu o Łodzi. Myślał, że tam studiują sami pięćdziesięciolatkowie albo jeszcze starsi. Nie będzie do nich pasował. Ale w internecie znalazł wywiad z rektorem Szczyrbą, zrobił na nim dobre wrażenie. Przyjechał na rozmowę.

ROŚLINA | Dziewięć lat temu biskupi uznali, że Kościół w Polsce potrzebuje specjalnego seminarium dla starszych kandydatów do kapłaństwa. Trzydziesto-, czterdziesto-, a nawet pięćdziesięciolatkowie zostawali już księżmi. Studiowali jednak z młodszymi alumnami.

„Chodziło o to, żeby zindywidualizować przygotowanie do kapłaństwa osób, które mają za sobą różne doświadczenia życiowe” – tłumaczyli zwolennicy rozdzielenia seminaryjnej formacji.

W 2014 r. episkopat powołał Ogólnopolskie Seminarium dla Starszych Kandydatów do Święceń. Zdecydowano, że wysyłać ich będą poszczególni biskupi, ↦

↦ a po święceniach przyjmą do swoich diecezji. Biskupi fundują też czesne.

Pierwszą siedzibę międzydiecezjalne seminarium miało w Krakowie. Opiekunem z ramienia episkopatu został bp Grzegorz Ryś – wówczas biskup pomocniczy archidiecezji krakowskiej, wcześniej rektor seminarium krakowskiego. „To seminarium nie może przygotowywać kapłanów drugiej kategorii. Ich formacja musi być równie dobra albo lepsza" – tłumaczył.

Na pierwszy rok zgłosiło się dziewięć osób. Najmłodszy kandydat skończył 37 lat, najstarszy – 57. Kilku było po studiach, dwóch robiło doktorat. Jeden był już żonaty, ale kościelny sąd uznał jego małżeństwo za nieważne.

– To delikatna roślina – ówczesny rektor ksiądz Józef Morawa nie chciał oceniać, czy pomysł się sprawdzi.

BANKIET | Nasłuchał się Roman, gdy rozniosło się, że księdzem chce być. Że stary kawaler, ożenić się nie umie, to do seminarium idzie. Niektórzy mówili, że „szajba mu odbiła". – To i tak było łagodne określenie – uśmiecha się. Część rodziny też mu odradzała. Część dopingowała. – Idź, spróbuj – mówili.

To wcale nie tak, że pomysłu na życie nie miał. Ma swoją ziemię, dom prawie wykończony, gospodarstwo, które brat z mamą teraz prowadzą, kurki ozdobne chowa. Miał propozycję wyjazdu do Australii: kuzynka ma w Sydney restaurację. – Mam gdzie i do czego wracać – mówi.

Przemysław złośliwych komentarzy nie słyszał. Ostatnio obracał się w religijnym środowisku, ze znajomymi jeździł na rekolekcje. W domu nikt nie próbował mu odradzać. – Widzieli, że jak coś postanowię, to zrobię – mówi.

– Masz poukładane życie, karierę przed sobą i zostawiasz to? – dziwili się znajomi Dawida. – Odbiło ci? – dopowiadali co niektórzy.

Prawda: nastudiował się, starał o dobre posady, naharował, bo jeszcze ta praca w pogotowiu. Zrozumiał jednak, że nie dla niego takie życie. – Ale wieczór kawalerski zrobisz? – bardziej stwierdzenie niż pytanie usłyszał, gdy rozeszło się, że do seminarium idzie. Wynajął restaurację i zrobił bankiet dla przyjaciół.

– To kiedy wracasz? – dopytuje najlepszy przyjaciel, który wciąż nie może uwierzyć w decyzję Dawida. – Odpowiadam, że to powołanie. I że tego nie rzuca się tak z dnia na dzień.

Marcin był po ekonomii i psychologii, Michał skończył prawo i politologię, Marek po zarządzaniu i marketingu pracował w jednym z największych na świecie banków.

Wszyscy wstąpili do seminarium.

■ ■ ■

Z tą „Wyborczą" i „Tygodnikiem" przesadziłem chyba. W rozmównicy przy seminaryjnej furcie leżą same egzemplarze „Niedzieli".

REKTOR | – Jestem pokolenie JP2 – ks. Sławomir Szczyrba o sobie.

– Jak to? – dziwię się; określenie to przylgnęło do ludzi, którzy w chwili śmierci papieża byli młodzi, a to mówi człowiek po sześćdziesiątce.

– Moje doświadczenie Jana Pawła II jest głębokie – upiera się jednak ks. Szczyrba.

Karola Wojtyłę odkrył na długo przed wyborem na papieża. To przez zainteresowanie filozofią. Chodził do liceum, gdy zabrał się za „Osobę i czyn". Raz tak się zaczytał w tramwaju, że jeździł od pętli do pętli. Aż motorniczy przyszedł mu uwagę zwrócić.

Jako dojrzały kapłan związał się z ruchem Comunione e Liberazione. Założyciel ruchu ks. Luigi Giussani wychowywał do dojrzałego chrześcijaństwa, przekonywał, że chrześcijanin angażuje się w życie świata. Ks. Szczyrba poznał go osobiście.

– To są moje dwie ścieżki – mówi. – Pierwsza to filozoficzna ścieżka Karola Wojtyły. Druga – ks. Giussani. (Ciekawostka: Wojtyła i Giussani byli prawie rówieśnikami, zmarli w tym samym roku).

Klerykom każe czytać papieskie teksty: encykliki, listy, przemówienia. I rozmawia z nimi dużo o Kościele, tak jak robił to ksiądz Giussani: otwarcie, bez tematów tabu. Czasem się z nimi sprzecza.

CZAS | Program dnia (ze strony seminarium):

6.10 – rozmyślanie, Anioł Pański

6.40 – Msza święta z Jutrznią

8.00-12.45 – wykłady (w sobotę sprzątanie i praca)

12.55 – modlitwy południowe

13.00 – obiad

13.30 – nawiedzenie Najświętszego Sakramentu

14.00-17.30 – studium/spacer/modlitwa indywidualna/lektura duchowa/praca

17.45 – Nieszpory (17.25 we wtorki i piątki – adoracja Najświętszego Sakramentu z Nieszporami)

18.00 – kolacja

18.30 – nawiedzenie Najświętszego Sakramentu, Anioł Pański

19.00 – (poniedziałek) szkoła wspólnoty z Księdzem Rektorem, (wtorek) śpiew, (środa) konferencja ojca duchownego

20.00-22.00 – studium/modlitwa indywidualna/lektura duchowa

22.30 – spoczynek nocny.

Żeby porozmawiać, mam dzwonić późnym wieczorem – tak wszyscy są zajęci. – Macie w ogóle wolny czas? – pytam, gdy wreszcie udaje nam się spotkać. – Nie nudzimy się tutaj – zapewniają.

PUB | Jak dojrzały człowiek może wejść w seminaryjny rygor?

– Jeśli ktoś przywykł do własnych obyczajów i raptem z tego rezygnuje, wchodzi w tryb dużej dyscypliny, to musi się trochę przestawić – nie ukrywa ks. Szczyrba. – Tym ciekawsze jest to, że podejmują takie wyzwanie – dodaje z uznaniem.

Romek na przykład myślał, że nie da rady. – Bo ja wolnościowy i niezależny południowiec jestem – przypomina o swojej góralskiej naturze. Od dzieciaka krnąbrny. W przedszkolu pocałował koleżankę przy obiedzie, bo mu się podobała; do kąta za to poszedł. We wczesnej podstawówce nauczycielka kazała pisać w wąskich liniach, a on przyniósł w szerokie. „Romek, czy ty kiedyś posłuchasz kogoś? Czy po swojemu zawsze musisz?" – zezłościła się.

Ciężko było mu znajomych zostawić. – Wszystkie dyskoteki zaliczałem, hulaka i nicpoń byłem – Roman lubi być szczery. – Ja bym wcześniej pomyślał, że prędzej w kosmos polecę niż do seminarium pójdę – śmieje się.

Dla Dawida pierwsze dni były ciężkie. Trafił akurat na rekolekcje. Wszyscy rozmodleni. „Boże, przecież ja taki nie jestem, aż tyle się nie modlę". Ale przyzwyczaił się. A w ogóle to myślał, że rygor będzie większy. – Nie czuję się tutaj niczym ograniczony – mówi.

– Myśmy już swoje przeżyli i łatwe rozrywki nas nie pociągają – Przemek rzadko się odzywa. – Ostatnio byliśmy w operetce.

– To nie więzienie i nikt nas tutaj na siłę nie trzyma – Romek jak zawsze rzeczowy.

Rektor powiedział im na początku: „Jesteście dorośli i sami wiecie, co wolno, a co nie". – Mam dla nich duży kredyt zaufania – tłumaczy.

– Wiadomo, że nie pójdziemy na Piotrkowską do pubu i nie wrócimy o wpół do drugiej w nocy – mówi Dawid. Z rannym wstawaniem już dawno sobie poradził.

Roman do wczesnych pobudek przyzwyczajony jest od chłopaka. Na wsi wstawał przed szóstą, szedł pomagać do obory. – Najpierw krowy jadły, potem ja.

Przemek marudzi trochę na te pobudki. Żeby być na szóstą w kaplicy, musi się zerwać po piątej.

SALON | Cztery lata temu.

Pod koniec czerwca do księdza Szczyrby przychodzi arcybiskup Ryś (od dwóch lat już metropolita łódzki). Pyta, czy nie zostałby rektorem seminarium dla starszych alumnów, które przenosiło się właśnie z Krakowa do Łodzi.

Ks. Szczyrba na odpowiedź ma dobę. – Lepiej się zgódź, bo nie mam innego kandydata – mówi mu na odchodnym arcybiskup. Zgodził się.

Od jesieni 2019 r. „starszym kandydatom" wydzielono część pomieszczeń w budynku Wyższego Seminarium Duchownego łódzkiej archidiecezji.

Zmieniło się dużo więcej. W Krakowie klerycy mieszkali w dawnym szkolnym internacie, który prowadzili cystersi w Nowej Hucie. Mieli wspólną łazienkę. Na zajęcia dojeżdżali do centrum Krakowa.

W Łodzi dostali trzecie piętro. Klerycy mówią na nie „Kanada". To ze względu na lepszy standard: dwuosobowe pokoje z łazienką, mają swoją kuchnię, gdzie czasem coś pichcą, salon. Domowo.

Z młodymi chodzą na wykłady, jedzą obiady w seminaryjnej stołówce. Śniadania i kolacje lubią robić sobie sami. Na przyjazd dziennikarza Roman upiekł sernik. Za to kaplicę mają swoją. Tutaj zaczynają dzień z rektorem i ojcem duchownym.

– Na początku młodsi klerycy zadzierali trochę nosa – mówi ks. Szczyrba; jednym i drugim alumnom wykłada antropologię filozoficzną i teorię poznania. – Ale szybko się przekonali, że ich starsi koledzy nie znaleźli się tu z przypadku.

Siedzę w seminaryjnym refektarzu. Zwykły stołówkowy obiad: cienka jarzynowa, na drugie pulpety ze słoika. Nie domyśliłbym się, że to dwa różne seminaria, gdybym wcześniej nie wiedział.

METAFIZYKA | Aksjomat, ontologia, transcendencja, immanencja – te pojęcia Romanowi śniły się po nocach. Metafizyka wydawała się być ponad jego umysł. Szesnaście lat przerwy w nauce (tyle minęło od matury) swoje zrobiło. Orłem też nie był. Myślał, że nie podoła, chciał już dać sobie spokój.

– Ale sesję w końcu zaliczyłem – mówi z dumą. Chociaż z metafizyki miał poprawkę. Na własną prośbę. Ksiądz profesor chciał mu wpisać trójkę w indeksie, ale Roman honorem się ujął: powiedział, że douczy się i przyjdzie raz jeszcze na egzamin.

Dawid i Przemek też musieli się przebijać przez filozoficzne terminy. Studiowali już kiedyś, ale przedmioty techniczne. Romek myślał, że ksiądz to niedużo musi się uczyć. W seminarium przekonał się, że to nieprawda.

REKOLEKCJE | Dwa lata temu w Wielkim Poście trzech kleryków z Seminarium 35+ idzie na szkolne rekolekcje do katolickiego liceum na łódzkim Teofilowie. Młodzież traktuje zwykle te rekolekcje na luzie, myślami jest gdzie indziej.

Marcin był po ekonomii i psychologii, Michał skończył prawo i politologię, Marek po zarządzaniu i marketingu pracował do tej pory w polskim oddziale jednego z największych w świecie banków. Licealiści z „katolika" (tak mówią na mieście o łódzkim liceum) nie mogli uwierzyć, że ci trzej zostawili kariery i przyszli do seminarium.

Ksiądz profesor Szczyrba: – Zastanawiali się, co takiego jest w kapłaństwie, że przyciąga dorosłych, urządzonych już życiowo mężczyzn?

■ ■ ■

– Świeckich gazet nie macie? – w salonie siadamy do rozmowy, a ja chcę wiedzieć, co się czyta w seminarium. Na stoliku same kościelne tygodniki: oprócz „Niedzieli", „Przewodnik Katolicki" i „Idziemy". Do tego „Nasz Dziennik". Mówię, że „Wyborczą" przywiozłem. – Tej gazety nie biorę do ręki – odpala Romek.

Atmosfery nie popsułem. Rektor powie mi potem, że klerycy mają w czytelni inne tytuły, a zestaw stolikowy to otrzymywane gratisy.

WINNICA | – Kościół się wali, a wy do seminarium przyszliście?

Specjalnie na koniec to zostawiłem, żeby ich nie spłoszyć. Niepotrzebnie. Wzruszają tylko ramionami. A bo to nie wiedzą, co się o księżach mówi?

– Ludzie zawsze będą gadać. Czy będziesz księdzem, czy nauczycielem – Roman znowu rzeczowo. On na przykład chciałby być normalnym księdzem, do którego ludzie nie będą się bali przychodzić. – Otwartym, a nie takim księdzem księciem – dopowiada.

We Wszystkich Świętych kwestował w komży na cmentarzu – klerycy tradycyjnie zbierają tego dnia datki na seminarium. Podeszła starsza kobieta, dawno temu zraziła się czymś do Kościoła. Z nim wdała się w rozmowę. Roman wierzy, że będzie „księdzem dla ludzi".

– Czas dla Kościoła jest trudny – zgadza się Przemek. – Ale może z tych trudności coś dobrego się zrodzi.

A że późno przyszli? Gdy ktoś pyta o to Przemka, odpowiada przypowieścią o robotnikach w winnicy: ci, co zostali później najęci do pracy, zarobili tyle samo, co pracujący od świtu.

Dawid w późnym kapłaństwie widzi szansę: – Doświadczenie, które mamy za sobą, może pokazać ludziom, że nie jesteśmy tacy świętoszkowaci, że znamy życie. Może nam łatwiej będzie rozmawiać z ludźmi o trudnych problemach: o aborcji, rozwodach, pedofilii. Przecież my wszyscy musieliśmy się zmierzyć z problemami, które spotykają każdego zwykłego człowieka.

– A nie boicie się hejtu, jaki spotyka księży?

Romek odpowiada za wszystkich: – Jak będą leciały pod moim adresem epitety, to się nie boję, bo wiem, na co się decyduję. ↦

ABSOLWENT | Parafia Matki Bożej Jasnogórskiej na łódzkim Widzewie. Ks. Szymon Brot był już po pięćdziesiątych urodzinach, gdy dwa lata temu po święceniach trafił tu jako wikariusz. To jeden z absolwentów Seminarium 35+.

– Ma to swoje dobre i złe strony – mówi o późnym kapłaństwie. – Na pewno ze względu na doświadczenie życiowe łatwiej jest być duszpasterzem. Człowiek wie, jak z ludźmi rozmawiać.

Do kapłaństwa podchodził trzy razy. Był w drugiej klasie liceum, gdy w 1987 r. do Łodzi przyjechał Jan Paweł II: podczas mszy na lotnisku półtora tysiąca dzieci przyjęło pierwszą komunię. Licealista Szymon tak mocno przeżył papieską pielgrzymkę, że dwa lata później poszedł do seminarium w Łodzi. Wytrzymał pół roku.

Dziesięć lat później Jan Paweł II był we Wrocławiu. Szymon Brot już po studiach ekonomicznych, pracował. Ale religijne przeżycia tak na niego wpłynęły, że znów poszedł do seminarium – tym razem we Wrocławiu. Wytrzymał cztery lata. „Znowu mi diabołek zakręcił ogonem i znowu tę sprawę zawiesiłem na hak" – opowiadał na YouTubie przed święceniami.

Zrobił magisterkę z teologii na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, kilkanaście lat pracował w Bibliotece Miejskiej w Łodzi. Gdy przeczytał, że Seminarium 35+ przenosi się z Krakowa do Łodzi, powiedział sobie: „Nic, tylko wstąpić i ukończyć".

Ksiądz Brot posługuje głównie w parafialnej kancelarii. Oprócz tego uczy religii w podstawówce. Ale uważa, że tam powinni pracować młodsi księża. – Bo łatwiej im nawiązać kontakt z dziećmi i młodzieżą – mówi.

Najbardziej lubi prowadzić grupy duszpasterskie. – To tutaj, oprócz oczywiście tabernakulum, bije serce każdej parafii. Droga Kościoła prowadzi przez człowieka, jak powiadał św. Jan Paweł II – ksiądz Szymon parafrazuje słowa papieskiej encykliki.

W ciągu ośmiu lat istnienia seminarium księżmi zostało dwudziestu absolwentów.

DOJRZEWANIE | – Późne kapłaństwo to przyszłość Kościoła?

– Niewykluczone, że do seminariów trafiać będą coraz częściej mężczyźni po studiach – mówi rektor Szczyrba. Kiedy pół wieku temu sam szedł do seminarium, na pierwszym roku byli sami osiemnastolatkowie, jak on zaraz po maturze. – Dziś wydłużył się proces dojrzewania. Ludzie chcą postudiować, rozejrzeć po świecie. Często dopiero po trzydziestce podejmują decyzje na całe życie. To powszechny trend. Na kapłaństwo niektórzy też decydują się w późniejszym wieku – tłumaczy.

Widzi korzyści z późnych powołań: – To ludzie, którzy zderzyli się już z życiem. Ktoś, kto takich doświadczeń nie ma, wydaje się uboższy.

Jeszcze bardziej fascynują go wdowcy, którzy przychodzą do seminarium. – Tacy, którzy przeżyli na przykład trzydzieści lat małżeństwa, dzieci mają dorosłe, a nie chcą zakładać kolejnej rodziny.

„Robotnicy ostatniej godziny" – tak nazywa ich rektor. – Ale są tak samo warci, jak ci, którzy pracują cały dzień – parafrazuje przypowieść z Ewangelii.

Zdumiewa go, że w czasach wielkiego kryzysu, przez jaki przechodzi Kościół, dojrzali ludzie chcą być księżmi. – Oni wiedzą, że będą kapłanami w zlaicyzowanym świecie. Że będą w cieniu podejrzeń po tym, jak w Kościele doszło do tylu nadużyć.

PAPIEŻ | Rozmowę o Janie Pawle II czas zacząć. Wczoraj wyszła „Maxima culpa" Ekke Overbeeka, dwa dni wcześniej TVN pokazał „Franciszkańską 3". Zagaduję o to moich rozmówców.

Reportażu nie widzieli. Książki nie przeczytają.

Na ławie w salonie stoi gipsowa figurka polskiego papieża: lekko przygarbiony, o lasce. Jan Paweł II to patron Seminarium 35+. Na półkach z książkami papieskie encykliki.

Rozmowa o kontrowersjach wokół papieża nie bardzo nam wychodzi. – Ja nie lubię lewackich mediów – Roman jak zawsze pierwszy. – Jak Jan Paweł II umarł, to wszyscy płakali, a teraz te same media atakują papieża.

Słucham dalej:

– Zło zawsze się dobrze sprzedaje.

– Oczernianie ojca świętego to jest wielka hańba.

KRYZYS | „To jest ten, co znowu do domu jedzie" – żartują z Romana. – Bo ja już chyba ze sto razy się pakowałem – przyznaje sam. Pierwszy kryzys dopadł go na samym początku: pomyślał sobie, że za głupi jest, żeby studiować. Ostatnio pod koniec roku, kiedy tato zmarł. – Na moich rękach umierał – wciąż się wzrusza na wspomnienie.

No i czasem myśli go nachodzą, czy małżeństwo to nie jest droga dla niego. Ale na swoje wątpliwości patrzy bez lęku: uważa nawet, że to dobrze, że je ma. – Bo ja jeszcze nie jestem na sto procent pewny, czy zostanę księdzem.

© STANISŁAW ZASADA

Rektor Ogólnopolskiego Seminarium dla Starszych Kandydatów do Święceń ks. Sławomir Szczyrba odmówił autoryzowania swoich wypowiedzi.

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

WROCŁAW, środa 17 maja, spotkanie dyskusyjne wokół tekstów ks. Michała Hellera „Zbrodnie Kaina" i „Liczba zabitych" / stacjonarne /

WARSZAWA, czwartek 18 maja, spotkanie „Wolność kocham i rozumiem" / stacjonarne /

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

Narodziny mistycznej perwersji

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Źródeł skandali seksualnych w Kościele trzeba szukać głębiej niż w kryzysie związanym z rewolucją seksualną. Pokazuje to polska historia mariawityzmu.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Abp Jan Kowalski (z prawej) i ks. Filip Feldman w otoczeniu wyznawców przed sądem płockim, wrzesień 1928 r.

Przekonanie, że głównym źródłem skandali seksualnych w Kościele jest rewolucja seksualna '68 roku, to jeden z najgłębiej zakodowanych mitów współczesnego Kościoła. Jak mówił Benedykt XVI: „Wśród wolności, do których w swojej walce dążyła rewolucja roku 1968, była ta powszechna wolność seksualna, taka, która już nie uznawała żadnych norm. (...) Częścią fizjonomii rewolucji roku 1968 było to, że pedofilia została wówczas także zdiagnozowana jako dopuszczalna i właściwa. Dla młodych ludzi w Kościele, ale nie tylko dla nich, był to na wiele sposobów bardzo trudny czas. Zawsze zastanawiałem się, w jaki sposób młodzi ludzie w tej sytuacji mogą zbliżyć się do kapłaństwa i przyjąć je ze wszystkimi jego konsekwencjami. Powszechny upadek następnego pokolenia księży w tamtych latach i bardzo wysoka liczba sekularyzacji były konsekwencjami całego tego rozwoju wydarzeń" – wskazywał papież emeryt.

Korzenie patologii

Taki model argumentacji jest wygodny. Zdejmuje odpowiedzialność z Kościoła, winnym czyniąc zewnętrzny świat. Pozwala także uznać, że brak jakichkolwiek przyczyn wewnętrznych, związanych z doktryną, modelem postrzegania wiary czy władzy w Kościele.

Byłoby niesprawiedliwością uznanie, że Benedykt XVI jest po prostu reprezentantem takiego myślenia, bo on sam wskazywał także na przyczyny wewnętrzne, choć umieszczone niemal wyłącznie w okresie po Soborze Watykańskim II. Im więcej zaś wiemy o kolejnych skandalach, tym bardziej widać, że jest to podejście niepozwalające adekwatnie uchwycić prawdziwych ich źródeł.

Jasno pokazuje to raport poświęcony Jeanowi Vanierowi i braciom Philippe. Źródeł erotycznych ekscesów i przemocy seksualnej trzeba szukać nie w nowinkach, ale w tradycyjnym modelu duchowości, który uformował się na długo przed Soborem Watykańskim II i rewolucją seksualną. „Ojcami" perwersji seksualnych, opisanych we francuskim raporcie, są świetnie wykształceni tomiści, absolwenci rzymskiego Angelicum, którzy na zewnątrz prezentują absolutnie ortodoksyjne myślenie i przyciągają do życia zakonnego wielu młodych ludzi. Taką postacią jest zarówno o. Thomas Dehau, wuj dominikanów Thomasa i Marie-Dominique'a Philippe, jak i oni sami.

Kluczowe pytanie brzmi: na ile takie historie były „wypadkiem przy pracy", związanym z psychopatologią jednostek, a na ile ich źródeł szukać można jednak w doktrynalnym i ascetycznym systemie kościelnym? Uczciwa odpowiedź wymaga wskazania analogicznych przykładów sprzed rewolucji seksualnej również w innych krajach, co jest o tyle trudne, że po pierwsze brakuje nam odpowiedniej dokumentacji, a po drugie ogromna większość osób skrzywdzonych i sprawców od dawna nie żyje.

Tym istotniejsze jest korzystanie z tego, co znaleźć można w przekazie historycznym. I właśnie dlatego warto wrócić do polskiego przykładu analogicznej, choć na wiele większą skalę, historii tego, jak mistyka (albo rzekoma mistyka) została wykorzystana do usprawiedliwiania perwersji seksualnych i nadużyć wobec małoletnich. Mowa o wypchniętym z mentalności społecznej doświadczeniu ruchu mariawickiego.

Wizja

U źródeł tej historii leży przeżycie mistyczne, którego doświadczyć miała w sierpniu 1893 r. s. Maria Franciszka (w życiu świeckim Feliksa Magdalena Kozłowska), założycielka – pozostającego jeszcze wówczas pod opieką duchową o. Honorata Koźmińskiego i funkcjonującego w ukryciu z powodu restrykcji zaborców – Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek od Cierpiących. Trzydziestojednoletnia wówczas kobieta miała ↦

↦ mieć wizję, zgodnie z którą na skutek kapłańskich grzechów (ze szczególnym uwzględnieniem seksualnych) świat stoi na krawędzi upadku.

„Widziałam Sprawiedliwość Boską wymierzoną na ukaranie świata i Miłosierdzie dające ginącemu światu, jako ostatni ratunek, Cześć Przenajświętszego Sakramentu i Pomoc Maryi. Po chwili milczenia przemówił Pan: Środkiem szerzenia tej Czci chcę, aby powstało Zgromadzenie Kapłanów pod nazwą Maryawitów, hasło ich: »Wszystko na większą Chwałę Bożą i Cześć Przenajświętszej Panny Maryi«" – można przeczytać w „Dziele Wielkiego Miłosierdzia", które stanowi w swojej części zasadniczej treść objawień. W kolejnych objawieniach Maria Franciszka miała usłyszeć i zobaczyć, że to ona ma przewodzić wybieranym przez nią księżom, założone przez nią zgromadzenie będzie stać na czele innych zakonów, a sama Kozłowska miała doświadczyć wizji, w której „zawarła małżeństwo" z Jezusem, a także została przez Niego przedstawiona Matce Bożej jako jego żona.

Te objawienia (czy pseudoobjawienia, bo o ich charakter, przynajmniej w pierwszym etapie ich trwania, toczy się spór teologiczny), choć dziwne, trudno jednak uznać za przesadnie niebezpieczne – poza egzaltacją, względnie przesadnym wynoszeniem własnych dzieł. Zaskakiwać mogło raczej to, że zgromadzenie, do którego księży werbowała młoda siostra osobiście, było tajne, nie miało na swoje funkcjonowanie zgody biskupów, a do tego nie wszyscy kandydaci byli informowani o „objawieniach" leżących u jego podstaw. Szybko też wokół Marii Franciszki ukształtowała się wąska grupa najbardziej zaufanych księży, którzy mieli z nią szczególne relacje.

Jednym z najważniejszych był późniejszy przełożony generalny zgromadzenia, a jeszcze później arcybiskup nowego Kościoła ks. Jan Maria Michał Kowalski, który w opublikowanym w latach 20. „Krótkim życiorysie Mateczki" pisał o niej jak zakochany mężczyzna o kobiecie. „Jak mam przywitać Tę, którą w swem sercu jakby jakie bóstwo czciłem i kochałem. Wtedy bowiem odczułem taką wielkość Mateczki u Boga, że choć wiedziałem, że przecież nie jest Matką Boską, wszakże odczuwałem, że jest jakby taką samą jak Matka Boska, i we wszystkiem Matce Boskiej równą" – wspominał swoje pierwsze z nią spotkania. I choć te fragmenty można interpretować jako egzaltację połączoną z – by ująć to ówczesnym językiem – herezją, to już innych zapisków nie da się w ten sposób pozbawić znaczenia.

Ostre ataki na moralność kapłańską, krytyka biskupów i nowoczesne metody duszpasterskie przyciągały do mariawitów wiernych. **Niezwykłe jak na owe czasy było też to, że przewodziła im kobieta.**

„W 1902 r. w miesiącu styczniu, gdy byłem u Mateczki w Płocku, Pan Jezus zbliżył mię i zjednoczył z Mateczką, już nie jako syna tylko, ale jako Oblubieńca na podobieństwo zjednoczenia, jakiem zjednoczył pierwszych naszych rodziców. W taki sposób zbliżył też i zjednoczył Pan Jezus z Mateczką rok przedtem o. Jakóba, a w późniejszych czasach o. Bartłomieja i o. Filipa. Tego samego dnia, w którym Pan Jezus udarował mię tą niewypowiedzianą łaską Swoją, rano Siostry przyniosły z ogrodu Mateczki pod śniegiem rozkwitły piękny czerwony kwiat, jak również parę rozkwitłych stokrotek wydobytych z pod śniegu" – pisał ks. Kowalski.

Identyczne świadectwa erotycznej relacji łączącej wciąż jeszcze katolicką zakonnicę z bliskimi jej kapłanami znajdziemy w komentarzu do Pieśni nad Pieśniami, który ks. Kowalski pisał w latach 20. „Za życia swego widzialnego Mateczka była zjednoczona węzłem małżeńskim, czystym, świętym i nieskalanym, przez Samego Pana Jezusa zawiązanym, z czterema Kapłanami Maryawitami, których Pan Jezus nazwał czterema filarami. (...) W taki sposób zjednoczyła ona ich z Tym, z Którym sama była zjednoczona, węzłem małżeńskim, świętym, czystym i doskonałym" – pisał Kowalski. Żaden z wymienionych kapłanów nie odciął się w momencie opublikowania komentarzy od tych słów, nikt nie zaprzeczył.

„Nie zgrzeszył..."

Ostre ataki na moralność kapłańską, krytyka biskupów i naprawdę nowoczesne metody duszpasterskie, jakimi posługiwali się mariawici, które przyciągały do nich wiernych, a także fakt, że przewodziła im kobieta, doprowadziły do postawienia im zarzutów przed Świętym Oficjum. Ich treść nie dotyczyła jednak dziwacznych poglądów na erotykę (bo o tym wówczas nie wiedziano), a raczej obecnego w objawieniach prywatnych Kozłowskiej utożsamiania jej samej z Matką Boską i braku posłuszeństwa władzom kościelnym.

Stolica Apostolska nakazała rozwiązanie zgromadzenia (zarówno wcześniejszego żeńskiego, jak i męskiego) i zakazała kontaktu księżom z założycielką. Jednak ani ona, ani oni nie podporządkowali się, co ostatecznie zakończyło się aktem imiennej ekskomuniki odczytanej w świątyniach katolickich 30 grudnia 1906 r., nałożonej na Marię Franciszkę i ks. Kowalskiego.

Od tego momentu oparta na katolickich korzeniach wspólnota zaczyna funkcjonować jako samodzielny Kościół (choć proces jego kształtowania się trwa jeszcze kilka lat), a kluczową rolę odgrywają w nim mateczka Kozłowska i abp Kowalski, których – co wynika zarówno z rozmaitych zapisków, jak i akt sądowych – łączy w tym czasie relacja seksualna. Dowody? Ot choćby zapiski zawarte w „Dziele Wielkiego Miłosierdzia". „Ciężkie naówczas miałem przejścia w duszy, gdyż Pan Jezus odłączył mię od Mateczki na nieokreślony czas. Osiem dni i nocy nie spałem, oczekując zmiłowania Bożego i nadsłuchując przez ścianę, czy Mateczka mię nie wezwie do Siebie. Ale Mateczka, spisując po całych nocach Objawienia swoje, w ciągu całego tygodnia nie odczuwała Woli Bożej, ażeby mię wezwać. Dopiero 8-go dnia przyszła sama do mnie i wtedy Pan Jezus powiedział do Mateczki: »Mnie daj duszę swoją, a Michałowi oddaj ciało«" – notował Kowalski.

Uwagi na temat łączącej ich relacji seksualnej pojawiały się także w zeznaniach składanych przez byłych księży mariawickich w procesach sądowych wytaczanych w latach 20. zeszłego wieku abp. Kowalskiemu – oskarżany był o wykorzystywanie seksualne sióstr zakonnych, a także uczennic prowadzonego przez mariawitów gimnazjum. Jeden z duchownych zeznawał, że „zaskoczył ich kiedyś razem, gdy Maria Franciszka rozbierała się". Dr Katarzyna Tempczyk, autorka jednej z najbardziej funda-

mentalnych prac na temat teologii mariawickiej („»Nowe Przymierze uczynił Pan z nami...« Teologia Kościoła Katolickiego Mariawitów"), pisze: „Według zeznań świadków w procesie J.M.M. Kowalskiego, już w 1911 r. jedna z zakonnic miała go spoliczkować podczas spowiedzi. Świadek Stefania Głogoczewska zeznała, iż M.F. Kozłowska wiedziała o zachowaniach erotycznych J.M.M. Kowalskiego wobec zakonnic mariawickich, m.in. podczas sakramentu spowiedzi, i dlatego odsunęła go od spowiadania sióstr, potem jednak pozwoliła mu na to z powrotem, a on kontynuował swoje praktyki. (...) Według zeznań ks. Żebrowskiego, złożonych podczas procesu sądowego, już w 1911 r. M.F. Kozłowska miała zostać poinformowana o przebywaniu innej zakonnicy przez całą noc u J.M.M. Kowalskiego, na co miała odpowiedzieć: Nie zgrzeszył" – wskazuje Tempczyk.

Śmierć Marii Franciszki Kozłowskiej w roku 1921 i przekazanie pełni władzy we wspólnocie w ręce abp. Jana Marii Kowalskiego jeszcze pogorszyły sprawę. To właśnie on z własnych mistyczno-erotycznych relacji z Kozłowską wyprowadził teologię i praktykę „małżeństw mistycznych", które zawierać mieli – z polecenia przełożonych ze wskazanymi przez abp. Kowalskiego osobami – kapłani i siostry mariawitki. Celem owych związków miało być powołanie do istnienia nowego rodzaju ludzkiego, i nowego Kościoła.

Mistyczne kody inicjacji

To, że to sam arcybiskup wybierał poszczególnym księżom żony, związane było z „prawem pierwszej nocy", jakie przysługiwało zwierzchnikowi Kościoła. Siostry wyznaczone do małżeństw musiały być bowiem „inicjowane do Kościoła miłości", a inicjacja ta dokonywała się przez akt szczególnego małżeńskiego zjednoczenia przez mateczkę Kozłowską z Chrystusem. „Z nią zaś jednoczą się te dusze i ciała Wybranych nie inaczej jedno przez jej duchowego syna i zarazem małżonka, o którym Boski jej Małżonek, Pan Jezus, raczył powiedzieć: »Ten jest syn Mój miły, w którym Sobie upodobałem« (Obj. M. str. 48), i »jemu oddaj ciało, a Mnie duszę«" – czytamy w komentarzu do Pieśni nad Pieśniami. Co to oznacza?

„Związek małżeński z Panem Jezusem przez Mateczkę i jej duchowego syna dokonywa się przez pocałowanie ust, jak to

Świadectwa erotycznej relacji łączącej wciąż jeszcze katolicką zakonnicę z bliskimi jej kapłanami znajdziemy w kilku pismach ks. Jana Marii Michała Kowalskiego, późniejszego biskupa mariawitów.

Sam Pan Jezus wyjaśnił Mateczce. Pocałowanie to jest głębokie, usymbolizowane w pocałunku gołębic, i przez nie udziela się miłość z Ducha Świętego pochodząca, a nie mająca w sobie żadnego skażenia grzechu pierworodnego, namiętności lub zmysłowości, ale jest wyrazem gorącej, prawdziwej i od Boga podchodzącej i zrodzonej z miłości, miłości Ducha Przenajświętszego, miłości Samego Pana Jezusa i Mateczki" – czytamy w komentarzu do Pieśni nad Pieśniami. W kolejnych krokach inicjacji arcybiskup kładł rękę na obnażonej piersi siostry, a w trzecim najwyższym odbywał z nią stosunek płciowy. Relacje seksualne miał utrzymywać Kowalski także z siostrami, które miały już poślubionych małżonków, a miały one służyć jako „środek duchowego odrodzenia".

Dramatyczna była sytuacja dzieci poczętych w takich związkach. „Dziatki zrodzone z małżeństw zakonnych należą do klasztoru Sióstr Maryawitek przy Świątyni Miłosierdzia i Miłości. Klasztor ten pod okiem Najwyższych Przełożonych daje im opiekę i wychowanie. Naturalni rodzice nie mają do nich żadnych praw, gdyż nie z woli własnej, ale z Woli Bożej je porodzili, i dlatego dziatki te są bez grzechu poczęte i do Boga wyłącznie należą" – możemy przeczytać w mariawickim „Katechizmie życia zakonnego". Co oznaczało to w praktyce? Katarzyna Tempczyk wskazuje, że „rodzice mieszkający w klasztorze płockim mogli widywać swoje dzieci dziesięć minut tygodniowo, a pracujący w parafiach wcale". Jeszcze gorzej wyglądała sytuacja dzieci poczętych w kolejnych – poligamicznych już (a dość szybko i na taki krok, choć ukrywany przed wiernymi, się zdecydowano) związkach. One były rejestrowane jako dzieci innych rodziców.

I choć po rozłamie (w połowie lat 30. część biskupów i kapłanów wyłamała się spod zwierzchnictwa arcybiskupa Kowalskiego) przekonywano, że wszystkie te nadużycia wynikają wyłącznie z pomysłów zwierzchnika Kościoła, on sam bronił się, że pochodzą one od samej założycielki. „Oczywistym jest, że one małżeństwa mistyczne (to znaczy z Woli Bożej zawierane) w Zakonie mariawickim zapoczątkował nie żaden Rasputin – Kowalski, lecz dała im początek sama Najśw. Założycielka Mariawityzmu, nasza Najdroższa Mateczka. Nie mogą więc być nazwane rasputinadą, niemoralnością, nawet gdyby zachodziło w tych związkach pewne podobieństwo z pojęciem wielożeństwa w świecie. Bo jeśli Mateczce, Wolę Bożą we wszystkim doskonale pełniącej, nikt nie ośmieli się zarzucić grzechu cudzołóstwa lub wielomęstwa (bo co Bóg nakazuje, to jest święte, choćby cały świat zepsuty nazwał to rozpustą), to tak samo i ja, pełniący w tych rzeczach Wolę Bożą, nie mogę być napiętnowany jako zwyrodniały Rasputin lub wielożeńca" – pisał abp Kowalski już po rozłamie do bp. Bartłomieja Przysieckiego.

Pytania

Po co wracać do tematu, który ostatecznie zanikł w połowie lat 30., po tym jak znacząca część duchowieństwa mariawickiego odłączyła się od apb. Kowalskiego, a on sam przywrócił celibat i zawiesił „małżeństwa mistyczne"? Jakie wnioski z historii schizmatyckiej, a z czasem heretyckiej (a nawet niechrześcijańskiej, bo ostatecznie Kowalski uznał, że Bóg Ojciec wcielił się w Matkę Bożą, a Duch Święty w Mateczkę Kozłowską), mają wynikać dla przeciętnego katolika?

Historia ta pokazuje, jak głęboko zakorzenione w duchowości katolickiej idee wyradzały się w system nadużyć seksualnych. I kult dziewictwa (obecny w kuriozalnych uzasadnieniach), i obraz mistycznego zjednoczenia z Chrystusem, i język erotyki są obecne także w duchowości katolickiej. Czy to wyrodzenie związane było tylko z psychopatologią? I czy historia mariawitów jest rzeczywiście tak wyjątkowa? To są pytania, z którymi należy się zmierzyć. Jest to tym ważniejsze, że raport dotyczący Jeana Vaniera stawia bardzo podobne pytania.

© TOMASZ P. TERLIKOWSKI

PAWEŁ KĘSKA

Akcja #overcomingsilence zwracająca uwagę na brak prawa głosu dla kobiet podczas synodu o Amazonii. Od lewej: Ula Grymuła, Zuzia Szwedzińska, Maja Szwedzińska, Joanna Rózga, Kate McElwee, Deborah Rose-Milavec, Zuzanna Radzik. 28 września 2019 r.

Kobiety z prawem głosu

PIOTR SIKORA

Papież podjął decyzję, że świeccy, w tym kobiety, będą mogli głosować na Synodzie. Dotychczas taki przywilej mieli tylko biskupi. To przekroczenie wielowiekowego podziału na rządzącą hierarchię i posłuszny „lud Boży".

Sekretariat Synodu Biskupów opublikował pod koniec kwietnia dokument ogłaszający wprowadzone przez papieża zmiany w składzie Zgromadzenia Synodalnego. Do tej pory uczestnikami z prawem głosu byli wyłącznie duchowni – tj. biskupi wydelegowani przez poszczególne Konferencje Episkopatów, biskupi z kurii oraz kilku – wyższych przełożonych zakonnych. Żadna kobieta ani żaden świecki mężczyzna nie mieli prawa głosu – mogli być co najwyżej „audytorami".

Zgodnie z ogłoszonymi zmianami ów monopol został złamany. Zrzeszenia instytutów zakonnych mają wybrać dziesięcioro kandydatów – pięć kobiet i pięciu mężczyzn (ci ostatni mogą być księżmi albo nie). Co więcej – kontynentalne zrzeszenia Konferencji Episkopatów mają zaproponować w sumie 140 świeckich przedstawicieli na Synod (w tym co najmniej połowę kobiet), spośród których papież wybierze 70 uczestniczek/uczestników Zgromadzenia Synodalnego z prawem głosu (tu również co najmniej połowa to będą kobiety).

W konsekwencji około jedna czwarta uczestników Zgromadzenia Synodalnego z prawem głosu to będą niebiskupi. Oprócz tego w Zgromadzeniu będą obecni – bez prawa głosu – eksperci oraz facylitatorzy, którzy będą usprawniać proces komunikacji w mniejszych grupach.

Zmiana powyższa jest niewątpliwie przełomowa – świeckie kobiety i świeccy mężczyźni otrzymają równy biskupom głos w podejmowaniu decyzji synodalnych. Decyzja Franciszka jest bardzo ważna nie tylko z praktycznego punktu widzenia, ale ma także duże znaczenie teologiczne – kwestionuje do pewnego stopnia radykalny podział ludu Bożego, wedle którego tylko wybrana grupa – biskupi – miała prawo rządzenia Kościołem.

W opublikowanym dokumencie sporo miejsca poświęcono teologicznemu umniejszeniu owej zmiany – wyjaśnieniu, dlaczego wprowadzona zmiana nie neguje „biskupiego" charakteru Zgromadzenia. Wyjaśnienie to powołuje się na fakt, że Zgromadzenie Synodalne w Rzymie jest kontynuacją kilkufazowego procesu synodalnego, którego początkowe fazy obejmowały konsultacje całego ludu Bożego. W tym kontekście obecność na rzymskim Zgromadzeniu świeckich z prawem głosu jest wyrazem „pamięci" o tej pierwszej fazie – choć świeccy uczestnicy nie reprezentują świeckich ze swoich wspólnot (w odróżnieniu od biskupów – którzy reprezentują swoją Konferencję Episkopatu).

Rzeczywiście, świeccy – co zauważono w dokumencie – są przedstawiani przez odpowiednie gremia biskupów i wybierani przez papieża jako uczestnicy Zgromadzenia z prawem głosu. Obecna reorganizacja składu Synodu ma zatem niewiele wspólnego z demokratyzacją Kościoła – to hierarchowie zachowują wpływ na skład „świeckiej" części, która będzie głosować.

Tym niemniej powołanie się na wizję Synodu jako kilkufazowego procesu, w którym głos świeckich ma być obecny od początku – od fazy konsultacji – i „pamiętany" podczas centralnego zgromadzenia w Rzymie, także kwestionuje radykalny teologiczny podział na biskupów dzierżących świętą władzę i świeckich, którzy mają tej władzy być posłuszni.

Proces synodalny – zarówno w fazie konsultacji, jak i w aspekcie organizacyjnym (którego wyrazem jest opublikowany właśnie dokument) – ujawnia, że teologiczna i praktyczna zmiana w rozumieniu Kościoła, która zmierza do przezwyciężenia klerykalnej hierarchizacji, postępuje stopniowo, ale – jak na razie – konsekwentnie. Zapewne z jednej strony będzie można słyszeć głosy oburzenia, że jest to zdrada katolickiej tożsamości. Z drugiej strony pojawią się głosy krytyki, iż papież podjął kroki ledwie połowiczne. Ale – jak czytamy w konkluzji opublikowanego dokumentu – należy spodziewać się, że droga dopiero się rozpoczyna. Albowiem „Zgromadzenie będzie miało sposobność refleksji nad swoim własnym, konkretnym doświadczeniem oraz możliwość sformułowania propozycji, jak postępować w przyszłości". ©℗

WOJCIECH

Bonowicz:
Twoje małe „nie”

„Nie” – słówko, o którym ostatnio rozmyślam. „Nie” mówione samemu sobie i „nie” mówione temu, co na zewnątrz. Przekorne lub afirmatywne, wyraz buntu albo rezygnacji, nadziei lub rozpaczy. „Nie” potężne, fundamentalne („zwracam bilet!”) i skromne „nie”, potrzebne, by w konkretnej sytuacji rozstrzygnąć, jak daleko można się posunąć. „Nie” jako zakaz („nie zabijaj”) i nakaz („nie bądź obojętny”), jako drogowskaz i siła zdolna obalać fałszywe drogowskazy. Histeryczne, intuicyjne „nie”, i „nie” przemyślane, o które można się oprzeć jak o mur. „Nie” stanowcze, a nawet ostentacyjne, i „nie” wycofane, zawstydzone własną odwagą. „Nie” będące wynikiem kalkulacji i „nie”, które staje w obronie tego, w co wierzy, bez względu na okoliczności...

Kiedy nasze „nie” ma sens, a kiedy jest jedynie przekorą, grymasem, odreagowaniem? Jak odróżnić bunt prawdziwy od konformizmu przebranego za bunt? Wbrew temu, jak sobie siebie wyobrażamy, jesteśmy raczej skłonni akceptować to, co życie przynosi – nawet gdy je krytykujemy i gdy tęsknimy za zmianą. W sytuacjach próby większość z nas czeka na to, co zrobią inni. Z drugiej strony, złość czy sprzeciw niezwykle łatwo dziś wykrzyczeć, jest ku temu dość miejsca, a konsekwencje, przynajmniej w naszej części świata, są niewielkie. Wykrzyczeć wściekłe „nie” – dobrze, ale co dalej? Bywa takie „nie”, które przede wszystkim usiłuje zawstydzić innych, milczących. Ale bywa i takie, które przejmuje dreszczem, powiedziane we właściwej chwili i we właściwym miejscu. „Nie” będące niczym szarpnięcie za ramię kogoś, kto zapadł w zbyt głęboki sen.

„Niespecjalnie lubię obsesyjne, neurotyczne »nie«, »nie«, które w siódmym miesiącu naszego życia wyryło się w głębszych warstwach naszego mózgu, na przykład dlatego, że nie przewijano nas w odpowiednim czasie”, pisał czeski poeta Miroslav Holub (cytuję jego esej w przekładzie Leszka Engelkinga). „Obsesyjne »nie« to domena drobnych Mefistofelesów, takich jak w »Fauście« Goethego, duchów, które stale przeczą, chociaż nie znają swojego »tak«. (...) Wolę małe, spokojne, niediabelskie »nie« w całkiem konkretnej sytuacji i pod warunkiem, że człowiek jest absolutnie pewien swego. Z małym, konkretnym »nie« możemy się ewentualnie wydostać z oszołamiającego kolektywu samych »tak« albo samych »nie«, osamotnieć, uniezależnić się i tak już pozostać. A to jest jedna z niewielu dróg godności, dojrzałości, poczytalności i wolności. O chronicznej pewności słusznie powiedział Jean Rostand: jest niewolnictwem”.

Ja także ufam temu małemu „nie”. Bardziej pojedynczemu niż zbiorowemu, choć przecież nieobojętnemu na los zbiorowości. Dojrzalszemu dlatego, że – jak tłumaczy dalej Holub – skłonnemu od czasu do czasu przeciwstawić się „tradycji, głęboko wrośniętemu, starczemu albo i młodzieńczemu oportunizmowi, uniformizmowi i prawdopodobieństwu”. Ufam „nie”, które myśli, argumentuje, przewiduje. „Nie chodź utartymi drogami, bo się pośliźniesz”, przestrzega Lec. Małe „nie” samo sobie wyznacza drogę, wybierając, nie musi trwożliwie oglądać się na innych. I nie szantażuje nikogo moralnością. To konkretne, z zasady nieufne „nie” odróżnia słabych od silnych, cynicznych od prawdomównych i wie, kiedy za kim stanąć.

Jeżeli nasze zbiorowe „nie” nieraz ponosi klęskę, to właśnie dlatego, że nie ma oparcia w tym osobistym, małym „nie”. Że albo to małe „nie” jest zbyt słabe, niegotowe, zagubione, albo to duże wyrasta jakby obok, poza nim czy nawet wbrew niemu; jedno „nie” z drugim „nie” nie potrafią się spotkać. ©

REKLAMA

Porażająco szczere i głębokie wyznania kobiety skrzywdzonej przez księdza

WIĘŹ
WYDAWNICTWO.WIEZ.PL

Potężna jest ta opowieść! Wiele musiało kosztować jej powstanie. Autorka jest większa niż złość, smutek i rezygnacja, które czuje. Zadając trudne pytania Kościołowi, a nawet Bogu, pisze wstrząsającą katechezę dla Kościoła w kryzysie, czyli dla nas wszystkich.
ZUZANNA RADZIK

OZEMPICOWA TWARZ

Gdy zdjęcia piosenkarki Ariany Grande pojawiły się w sieci, uwagę zwracały jej zapadnięte policzki i wystające obojczyki.
TikTok ogłosił ją nową ofiarą mody na ozempic. Czym jest ten lek?

MAŁGORZATA SIDZ

Wszystko zaczęło się sześć lat temu. Ozempic, czyli lek zawierający semaglutyd, został zatwierdzony przez amerykańską Agencję Żywności i Leków w 2017 r. do leczenia cukrzycy. Szybko zauważono, że skutkiem ubocznym terapii jest duża utrata masy ciała. W 2021 r. jego producent, koncern Novo Nordisk, wprowadził na rynek kolejny lek: wegovy, zawierający tę samą substancję, ale reklamowany już konkretnie jako panaceum na zbędne kilogramy. Choć nie różnią się składem, wegovy dostępny jest w większych dawkach.

Efekt: amerykańskie i międzynarodowe media rozpisują się dziś na temat, jak to ujmują, ostatniej farmaceutycznej mody. W serwisie TikTok hashtag #ozempic zebrał już pół miliarda tagów.

ARTURO HOLMES / MG22 / GETTY IMAGES

Kim Kardashian na gali MET w Metropolitan Museum prezentowała się w sukience należącej do Marilyn Monroe. Nowy Jork, 2 maja 2022 r.

Kardashian, Adele i Elon Musk

Ozempic pojawił się w mediach dzięki Kim Kardashian. Popularyzatorka trendu na nienaturalnie duże pośladki i kobiece kształty zrzuciła osiem kilogramów przed zeszłoroczną galą MET – znaną imprezą modową – aby zmieścić się w sukienkę noszoną dawniej przez Marilyn Monroe. Celebrytka twierdzi, że nową sylwetkę zawdzięcza diecie i ćwiczeniom, ale nie wszyscy są przekonani.

Na liście możliwych użytkowniczek ozempicu są też Adele, Rebel Wilson i Khloé Kardashian (siostra Kim). Plotka głosi, że Mindy Kaling organizowała „imprezy z ozempikiem", na których poza jedzeniem i szampanem serwowała gościom zastrzyki. Chelsea Handler, prowadząca popularny amerykański program telewizyjny, przyznała, że przyjmowała ozempic nieświadomie, a gdy została poinformowana o tym przez lekarza, postanowiła go odstawić. Natomiast miliarder Elon Musk, właściciel Tesli i Twittera, otwarcie przyznał, że zrzucenie kilogramów zawdzięcza wegovy.

Kobiece magazyny przepełnione są ideą „ciałopozytywu" – piękno i zdrowie nie powinny zależeć przecież od rozmiaru naszego ciała, prawda? Lizzo odważnie eksponuje swoje ciało na koncertach i sesjach zdjęciowych, a modelka plus-size Ashley Graham została ogłoszona przez męski magazyn „Maxim" najgorętszą kobietą na świecie. Tymczasem dla koncernów farmaceutycznych otyłość nadal jest chorobą. A choroby leczy się lekami.

Walka z głodem

Jak działa semaglutyd? Przede wszystkim działa. O ile większość cudownych herbatek, suplementów i żelatynowych gumisiów reklamowanych przez gwiazdy nie jest warta papieru, na którym wydrukowano ich ulotki, o tyle ten lek, tak skrzętnie ukrywany przez Hollywood, rzeczywiście działa. Pacjenci zrzucają od pół do nawet kilograma tygodniowo, nie katując się dietą i bez ćwiczeń fizycznych. Wystarczy jeden zastrzyk w tygodniu, który można sobie podać samodzielnie.

Semaglutyd walczy z największym wrogiem odchudzania, czyli głodem. Działa bezpośrednio na przewód pokarmowy. Blokuje działanie hormonów, które regulują wydzielanie insuliny i wpływają na ośrodki głodu w mózgu. Osoby, które wstrzykują ozempic, jedzą o jedną czwartą albo nawet jedną trzecią mniej niż przed rozpoczęciem terapii i szybciej się najadają. Niektórzy pacjenci narzekają wręcz, że jedzenie sprawia im trudność i muszą się do niego zmuszać. Czasami sama myśl o posiłku wzbudza w nich mdłości.

Bardzo szczupła twarz

Moda na szczupłą albo wręcz chudą sylwetkę wraca na fali mody rodem z lat 90. XX w. oraz z początku wieku XXI. Plotka mówi, że w latach popularności „heroinowego szyku", czyli sylwetki Kate Moss, modelki zabijały głód, zjadając kawałki waty nasączone herbatą (bardziej prawdopodobne jest to, że pomagała im dieta złożona z kawy, papierosów i kokainy). Dzisiaj brałyby pewnie ozempic.

Szczupła sylwetka jednak już nie wystarcza. Przy okazji popularności nabrała nowa operacja plastyczna, polegająca na usunięciu podskórnej tkanki tłuszczowej z okolic policzków (po angielsku znana jako *buccal fat removal*). Ta część twarzy długo utrzymuje tkankę tłuszczową. U niektórych nie znika ona nawet po okresie dojrzewania i nadaje twarzy pełny młodzieńczy wygląd.

Teraz w cenie jest jednak inny wygląd i gwiazdy usuwają tłuszcz, by podkreślić kości policzkowe oraz stworzyć iluzję zapadniętych policzków. Twarz wydaje się wtedy bardziej dojrzała. Znane gwiazdy, które prawdopodobnie poddały się tej operacji, to Bella Hadid, Margot Robbie, Zoe Kravitz i Anya Taylor-Joy. W Polsce do operacji przyznała się Blanka Lipińska, autorka książek erotycznych i celebrytka.

W mediach pojawiło się określenie „ozempikowa twarz" – zapadnięta, chorobliwie szczupła. Jak u Ariany Grande. Bo zmiana wagi szybko odbija się na twarzy. Bez względu na to, czy wagę zrzucimy powoli, dzięki diecie, albo szybko, dzięki semaglutydowi, odchudzona twarz zdradzi oznaki starzenia. Ale dojrzały wygląd to teraz żaden problem – zapadnięte policzki mają być najnowszą oznaką statusu i dobrej sytuacji materialnej. ↦

Medyczni turyści

↦ Od kiedy tajemnica Hollywoodu wyszła na światło dzienne, wielu chce spróbować magicznej rzekomo substancji. Aptekarze alarmują, że leku zaczyna brakować dla osób z cukrzycą, które naprawdę go potrzebują. Kanada wprowadziła zakaz sprzedaży ozempiku dla Amerykanów, którzy przejeżdżają w jego poszukiwaniu przez granicę. Medycznych turystów nie brakuje. Otyłość to epidemia na całym świecie, ale szczególnie w USA, gdzie ponad dwie trzecie mieszkańców są otyłe lub mają nadwagę.

Dla osób cierpiących na dużą otyłość ozempic to nie szansa na piękno, ale na dłuższe życie w zdrowiu. Mimo pozytywnego przekazu w mediach, zdrowie w każdym rozmiarze to mit. Otyłość wiąże się z poważnymi chorobami serca i układu krążenia. Kiedy leczenie otyłości nazwiemy po imieniu – że jest to obniżanie ciśnienia krwi, poziomu cholesterolu, prawdopodobieństwa miażdżycy czy cukrzycy – okazuje się, że ozempic może ratować życie.

Na początku roku Amerykańska Akademia Pediatrów opublikowała nowe wytyczne dotyczące leczenia otyłości u dzieci, po raz pierwszy od 15 lat. Sytuacja zdrowotna dzieci jest na tyle poważna, że rekomenduje w nich m.in. bardziej odważne sposoby leczenia, w tym operacje zmniejszenia żołądka i podawanie semaglutydu nawet u 12-latków. Może wydawać się to drastyczne, ale jedna czwarta amerykańskich dzieci jest w stanie przedcukrzycowym.

Panaceum na całe zło?

Ale nie wszystko złoto, co się świeci. Niektórzy lekarze ostrzegają, że wstrzykiwanie ozempicu może prowadzić do zaburzeń trawienia. Sama ulotka ostrzega, że skutkami ubocznymi stosowania mogą być wzdęcia, biegunki, wymioty i mdłości. Tak naprawdę jednak zaburzenia trawienia to zamierzony cel działania leku. W ten sposób hormony, które informują mózg o głodzie, zostają przyhamowane, a trawienie spowolnione.

Calley Means, który pracował jako konsultant dla koncernów farmaceutycznych, a dziś krytykuje ich postępowanie, w podkaście (w serwisie Spotify) podsumowuje: „To nie jest tak, że ozempic powoduje zaburzenia w przewodzie pokarmowym, ozempic to są zaburzenia metaboliczne przewodu pokarmowego!”. A to właśnie zaburzenia metaboliczne są według niego źródłem większości chorób cywilizacyjnych, czyli związanych z układem krążenia, funkcjonowaniem serca i wagą.

Ozempic rzeczywiście nie jest lekiem na całe zło. Przede wszystkim nie rozwiązuje problemu złych nawyków żywieniowych i niedożywienia (wbrew pozorom niedożywienie, czyli brak składników odżywczych, dotyczy często osób otyłych, które wprawdzie przyjmują dużo pokarmów, ale ubogich w witaminy i mikroelementy). Dzieci, które od dzieciństwa będą przyjmować ozempic, nie nauczą się jeść zdrowo, bo będą mogły jeść przetwarzane jedzenie, nie odczuwając konsekwencji w wadze.

„Eksperyment polegający na medykalizacji przewlekłych schorzeń jest totalną porażką. Im więcej leków rozrzedzających krew przepisujemy, tym więcej jest chorób serca. Im więcej przepisujemy metforminy, tym więcej jest cukrzyków. Im więcej leków przeciwdepresyjnych przepisujemy, tym więcej jest osób w depresji. Ozempic nie przedłuży życia i nie uchroni dzieci przed chorobami, jeśli nie będą się musiały martwić tym, co jedzą” – twierdzi Calley Means.

I dodaje, że koncerny farmaceutyczne są na otwartej wojnie ze zdrową żywnością – im tańsze, bardziej przetworzone i bardziej uzależniające jest nasze jedzenie, tym większe ich zyski. Ozempic jest tylko sposobem na to, żeby dodać kolejny drogi lek do listy, nie zmieniając nic w stylu życia.

Parę skutków (ubocznych)

Niektórzy uważają, że ozempic to pomoc na starcie przy zmianie stylu życia. Parę tygodni i miesięcy na ozempicu, a zejdą najgorsze kilogramy i potem już z górki. Albo widzą w nim dodatkową pomoc przed ważnym wydarzeniem – jak w przypadku Kim Kardashian. Jednak semaglutyd jest pomyślany jako lek na całe życie. Waga, która dzięki niemu zostanie utracona, może wrócić z zapasem po jego odstawieniu, gdy hormony głodu znów dadzą o sobie znać.

Ozempic w Polsce

POLSKIE TOWARZYSTWO LECZENIA OTYŁOŚCI w swoich najnowszych wytycznych uznaje terapię farmakologiczną za istotny element walki z otyłością. Wśród wymienionych leków jest semaglutyd, obecny w Polsce m.in. w preparacie ozempic. Autorzy podkreślają jednak, że jego oficjalne stosowanie w leczeniu otyłości jest u nas niemożliwe, ponieważ charakterystyka produktu leczniczego nie uwzględnia wśród zastosowań tego rozpoznania, a jedynie cukrzycę typu drugiego.

RZECZYWISTOŚĆ JEST JEDNAK INNA. Media już w ubiegłym roku informowały o brakach ozempicu w wielu aptekach i hurtowniach oraz o jego ogromnej popularności. Lekarze przepisują lek poza wskazaniami (co samo w sobie nie jest niedozwolone) i nie zawsze poza refundacją osobom zmagającym się z otyłością lub nadwagą. W efekcie preparatu nie wystarcza dla pacjentów z cukrzycą, którym refundacja przysługuje.

NARODOWY FUNDUSZ ZDROWIA zapowiada kontrole i kary oraz podaje, że sprzedaż ozempicu wzrosła w ciągu ostatnich dwóch lat sześciokrotnie, a innego leku z tej samej grupy, o nazwie trulicity (dulaglutyd), aż ośmiokrotnie. Jedynym lekiem z tej grupy ze wskazaniem do leczenia otyłości jest liraglutyd, który jednak wypada w badaniach dużo gorzej od ozempicu przy tym samym ryzyku działań niepożądanych.

NA HORYZONCIE pojawia się jednak kolejny preparat – wegovy, zawierający tę samą co ozempic substancję aktywną, i przeznaczony wyłącznie do kontroli masy ciała. Europejska Agencja Leków zarejestrowała preparat już w 2022 r., ale zainteresowanie nim jest tak duże, że opóźnienia w dostawie dotyczą wielu krajów w Europie.

CHOĆ FARMAKOTERAPIA zyskuje dziś na popularności, to naukowcy i lekarze podkreślają, że podstawową metodą leczenia otyłości pozostaje leczenie dietetyczne i zmiana stylu życia. Dopiero nieudane próby takiej terapii pozwalają na zastosowanie tabletek lub zastrzyków.

© BARTOSZ KABAŁA

Tymczasem lek dostępny jest dopiero od 2017 r., a od roku oficjalnie stosowany jest w leczeniu otyłości. Nie można ocenić skutków ubocznych długoletniego używania semaglutydu przez osoby, które nie mają cukrzycy. Lekarze podejrzewają, że stosowanie go może wpłynąć na występowanie depresji, gdyż regulacja serotoniny odbywa się w jelitach.

W USA są też już potwierdzone przypadki zapalenia trzustki wśród pacjentów leczonych ozempikiem. Poza tym częste skutki uboczne, czyli wymioty, biegunki i zaparcia, mogą prowadzić do odwodnienia, a przez to także do problemów z nerkami. Jednym z wyjątkowo rzadkich skutków ubocznych, który znalazł się jednak na ulotce, jest rak tarczycy.

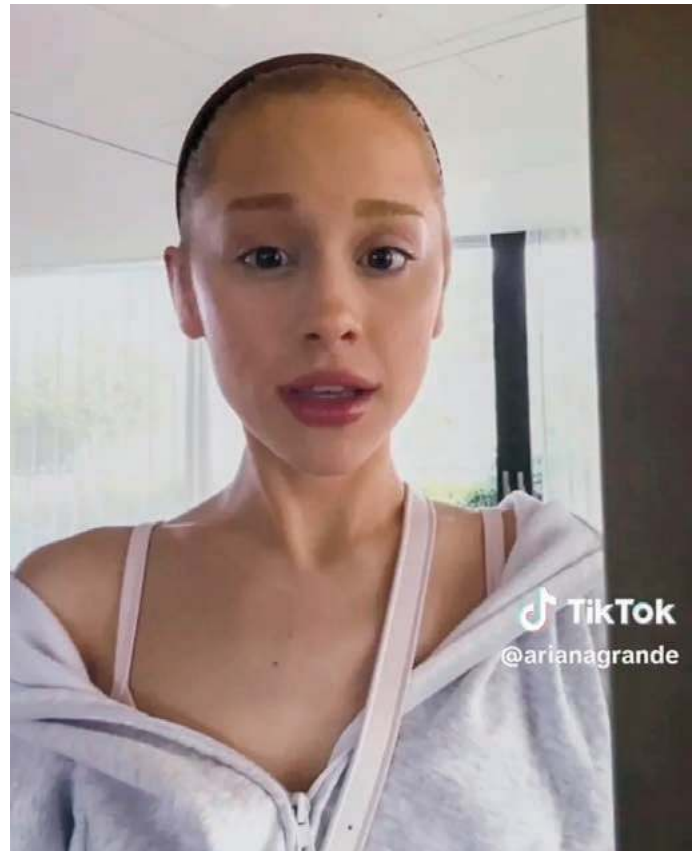

Ariana Grande na swoim TikToku zareagowała na krytykę jej wyglądu ocenianego przez internautów jako „niezdrowy”

TIKTOK / ARIANAGRANDE

Gdzie tłuszcz, gdzie mięśnie

Ale może warto zaryzykować biegunki i wymioty (które, jak zapewniają producenci leku, powinny ustąpić po pierwszym miesiącu stosowania), skoro stawką jest idealne ciało?

Doktor Peter Attia, kanadyjski badacz długowieczności, podkreśla, że w przypadku terapii ozempikiem ciało nie zrzuca wagi w naturalny sposób. A przecież przy redukcji wagi istota sprawy to tak naprawdę nie cyfry, lecz zmiana składu ciała. W wypowiedzi na platformie YouTube Attia twierdzi: „W idealnym wypadku, jeśli zgubisz dziesięć kilogramów, to siedem i pół z tego to tłuszcz. Nie można zrzucić samego tłuszczu, ale około trzech czwartych zrzuconej wagi powinno być w tłuszczu. Kiedy zamierzamy przypisać pacjentom ozempic, najpierw robimy im skan DXA [badanie składu ciała – red.]. (...) Widzimy, że dwie trzecie zrzuconej wagi to mięśnie. Tylko jedna trzecia to tłuszcz. Ludzie stają się lżejsi, ale tłustszy. Procent tkanki tłuszczowej w ich ciałach się nie polepsza lub idzie w górę i nieproporcjonalnie tracą tkankę mięśniową. Stają się mniej zdrowi. Mogą wyglądać lepiej, według niektórych, bo noszą mniejsze dżinsy. Ale nie ma w nich nic zdrowszego”.

Attia przeprowadza też od trzech lat badania tętna u wszystkich pacjentów, którzy wstrzykują semaglutyd. Ich tętno spoczynkowe rośnie w nocy o osiem do dwunastu uderzeń. Biorąc pod uwagę negatywny wpływ na zdrowie, Attia tak podsumowuje terapię ozempikiem: „Już lepiej zrobić bajpas żołądka. Ma podobną skuteczność, jest na całe życie, i kosztuje ułamek tego”.

Rzecz o sylwetkach

Terapie ozempikiem czy wegovy wydają się więc dobrą decyzją dla osób, których otyłość jest bezpośrednim problemem dla zdrowia, u których procent tłuszczu w ciele przekracza połowę i nawet nieproporcjonalny spadek masy mięśniowej nie będzie dla nich problemem. Dla innych to ryzyko. I to drogie, bo terapia może być kosztowna.

Historia pokazuje jednak, że ludzie, a zwłaszcza kobiety, są gotowi na poświęcenia, by sprostać modzie. A dziś modom podlegają nie tylko makijaże i kreacje, ale też ciała. Gdy modna stała się sylwetka *slim thick* – tj. szczupłe ciało z przesadnie zaznaczonymi pośladkami i biustem – rzesze kobiet ruszyły do gabinetów chirurgów plastycznych, by osiągnąć taką sylwetkę, promowaną przez Kim Kardashian. BBL, czyli operacja „brazylijskiego podniesienia pośladków”, stała się jednym z najpopularniejszych zabiegów na świecie i jednocześnie najbardziej niebezpiecznym (kobiety, które nie mogły sobie pozwolić na operację, korzystały z tanich zastrzyków z silikonu przemysłowego).

Mężczyźni też nie mają lekko. *Dad bod* – sylwetka „taty-ciacha”, z brzuszkiem i niewielką nadwagą – ustąpiła dziś modzie na sylwetkę muskularną. Dwayne „The Rock” Johnson od lat upiera się, że swoje doskonałe ciało zawdzięcza nie sterydom, a jedzeniu 5 tysięcy kalorii dziennie. Aktorzy, jak Chris Hemsworth czy Chris Evans, przygotowują się do roli superbohaterów w filmach w ekspresowym parumiesięcznym tempie. Twierdzą potem w wywiadach, że masę mięśniową zbudowali dzięki kurczakowi i brokułom.

■ ■ ■

Być może na powrót mody na szczupłą sylwetkę wpływa popularność koreańskiego popu (na Zachodzie zwanego k-pop). Obsesja bycia szczupłym ma się w Azji dobrze od lat. Koreanki i Japonki promują w mediach społecznościowych diety przypominające głodówki.

Duże pośladki odchodzą więc do lamusa. Czy jest możliwe, że lek przyjmie się i w Polsce? Nadwagę ma u nas ponad połowa ludzi, a jedna czwarta jest otyła. We wszystkich grupach wiekowych wątpliwą przewagę mają pod tym względem mężczyźni. Ozempic może pomóc, ale może też okazać się tykającą bombą zegarową.

© MAŁGORZATA SIDZ

Ołeksandr Tkaczenko pokazuje synowi Witalijowi, że jest ładnie ogolony. To jeden z nielicznych uśmiechów, który wymienili na sali sądowej. 13 kwietnia 2023 r.

Zarzut: kolaboracja

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z CHARKOWA I IZIUMU

Kolejni Ukraińcy słyszą przed sądem oskarżenie, że działali na rzecz rosyjskich władz okupacyjnych. W wielu przypadkach trudno orzec, czy robili to z własnej woli.

Ołena Tkaczenko zobaczyła syna po raz pierwszy od siedmiu miesięcy. Na jej twarzy mieszały się wzruszenie, zagubienie i strach.

Podczas przerwy małą salę sądową opuścili sędzia, prokurator i znudzona protokolantka, która wcześniej przez większość posiedzenia grzebała w telefonie. Na sali zostali adwokatka, Ołena i Ołeksandr Tkaczenkowie, a za szybą z pleksiglasu i kratami ich syn, 40-letni Witalij, pod nadzorem dwóch konwojentów. Krótko ostrzyżony i małomówny, wydawał się spokojny.

Rodzice i syn patrzyli na siebie, nie wiedząc, czy mogą się do siebie odezwać. Ołeksandr pogładził twarz, by dać znać Witalijowi, że jest ładnie ogolony. Ten, jak przebudzony z letargu, powtórzył gest ojca i się uśmiechnął. Wreszcie zdobyli się na krótką wymianę.

– Masz co jeść? – zapytała Ołena.

– Tak.

– Jesteś zdrowy? – zapytał Ołeksandr.

– Tak.

Niepewni, czy mogą rozmawiać, przytłoczeni sytuacją, zamilkli.

Okupacyjny policjant

Choć nie było to pierwsze posiedzenie sądu w sprawie Witalija, 62-letnia Ołena nie była na wcześniejszych. Rodzina bała się, że matka nie wytrzyma widoku syna za kratami.

Ołena nie mogła zobaczyć Witalija od momentu, gdy we wrześniu 2022 r. – po odzyskaniu przez wojsko ukraińskie miasta Izium w obwodzie charkowskim – go aresztowano. Służba więzienna nie dawała zgody na widzenie. Raz tylko przez chwilę porozmawiała z Witalijem, gdy adwokatka dała mu telefon z włączoną wideorozmową.

Nie chciała już dłużej zwlekać. Choć od aresztowania Witalija minęło siedem miesięcy, proces dopiero się zaczyna i może trwać długo. Oskarżenie jest poważne: artykuł 111, działalność kolaboracyjna.

Nie wiadomo, ilu obywateli Ukrainy usłyszało ten zarzut od początku rosyjskiej inwazji na pełną skalę, ale regularnie wszczynane są kolejne sprawy.

Witalijowi, który służył w policji stworzonej przez władze okupacyjne, grozi za to od 12 do 15 lat więzienia. Prokurator twierdzi, że zrobił to z własnej woli. Adwokatka, że został zmuszony.

Bomby lecą na Izium

Gdy 24 lutego 2022 r. rosyjska armia zaatakowała całą Ukrainę, jednym z celów ofensywy był obwód charkowski. Ro-

sjanie zmierzali w stronę miasta Izium, gdzie mieszkało 36 tys. osób. Izium, przez który biegnie droga z Charkowa na wschód, to wrota do Donbasu od północy, a to właśnie Donbas Rosjanie chcieli zająć w pierwszej kolejności.

Wcześniej, gdy wiosną 2014 r. Rosja zaczęła wojnę w Donbasie, Izium był dla sił ukraińskich ważnym ośrodkiem na zapleczu frontu. Teraz sytuacja miała się odwrócić – to Rosjanie planowali, aby z tego miasta wyprowadzić ofensywę na oddalony o niecałe 50 km Słowiańsk, jedno z głównych miast obwodu donieckiego.

Niedługo po 24 lutego zakład, w którym Witalij Tkaczenko pracował jako pomocnik wiertacza, wstrzymał działalność. Czwartego dnia inwazji na Izium spadły pierwsze pociski.

Inny mieszkaniec, około 50-letni szkolny elektryk Anatolij (prosił, by zmienić jego imię i nie podawać nazwiska), jeszcze 28 lutego poszedł do pracy. Wezwano go, by w jednej z piwnic podłączył prąd i zamontował kontakty. Ludzie na gwałt oporządzali piwnice, w których chcieli kryć się przed ostrzałem. Wcześniej mało kto traktował takie przygotowania na serio.

W piwnicy gromadzili się ludzie. Było ich kilkudziesięciu, trudno było ich zliczyć. Ciągle ktoś to wchodził, to wychodził. Najbardziej zapobiegliwi znosili już ze sobą pościel.

Kiedy Anatolij skończył pracę w piwnicy i wracał do szkoły, po raz pierwszy od czasu, gdy służył w Afganistanie w latach 80. XX w., przypomniał sobie, czym jest wojna. Rosyjskie samoloty bombardowały okolicę i odłamek przeleciał nad autem Anatolija. – Drugi raz pod coś takiego nie chce się wpaść – wspomina dzisiaj.

Tragedia miasta

Był to przedsmak tego, co spotkało Izium. I samego Anatolija. Według danych ukraińskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego na miasto zrzucono co najmniej 476 bomb lotniczych. Rosyjskie samoloty na tym odcinku praktycznie nie napotykały oporu, więc prowadziły naloty bezkarnie. Do najtragiczniejszego w skutkach doszło 9 marca, gdy bomba spadła na czteropiętrowy budynek i całkowicie go zrujnowała. Ukrywający się w piwnicy ludzie zostali przywaleni gruzami. Zginęło 51 osób, sami cywile.

– Nawet 24 lutego, gdy już wiedzieliśmy, że to wojna na całego, nie myśleliśmy, że na głowy posypią nam się bomby. Myśleliśmy, że wszystko będzie toczyło się w mniej lub bardziej cywilizowany sposób – mówi Wołodymyr Macokin, zastępca mera Iziumu.

Miasto opuściły jego władze, zniknęła też policja. Jedynie żołnierze, głównie ci z obrony terytorialnej, zajmowali posterunki w mieście i wokół. Ewakuacja mieszkańców była prowadzona chaotycznie i na ograniczoną skalę, przede wszystkim z powodu nieustających walk i kruchych porozumień co do „zielonych korytarzy".

Macokin podkreśla, że nie jest to odpowiedzialność władz Iziumu, ale robili, co mogli, by jak najwięcej ludzi wyjechało z miasta. Brak systemów ostrzegania, problemy z łącznością i prądem powodowały, że nawet jeśli autobusy ewakuacyjne przyjeżdżały do miasta, mało kto o nich wiedział.

– Ewakuacja to tragiczna historia dla Iziumu, bo należytej nie było – mówi Macokin.

Z mostów na rzece Doniec, nad którą leży miasto, ostał się jeden i to dla pieszych (też kilka razy oberwał, ale stał). Z każdym dniem coraz trudniej było się wydostać, mieszkańcy w północnej części Iziumu zostali odcięci. Niektórzy przedzierali się przez okoliczne lasy, ale te były pełne min. Nie każdy był gotowy na takie ryzyko.

Dwa tysiące ofiar

Po tym, jak w połowie marca spłonął budynek, w którym mieszkał, Witalij Tkaczenko zatrzymał się tymczasowo u byłej żony, wraz z ich wówczas 10-letnim synem i jej obecnym partnerem Pawłem. Niedługo potem po ciężkich walkach Izium został zajęty przez rosyjskie wojska. Rosjanie wkrótce powołali władze okupacyjne, złożone z lokalnych mieszkańców. Zaczęli zaprowadzać nowe porządki.

Witalij i Pawło dostali propozycję dołączenia do grupy ochotniczej, w strukturze podległej rosyjskiemu Ministerstwu Spraw Nadzwyczajnych. Grupa zajmowała się ekshumacją pochowanych pospiesznie zwłok.

Kolejnego dnia stawili się w umówionym miejscu – koło mostu dla pieszych. Zebrało się ich piętnastu. Nie otrzymali żadnej odzieży ochronnej, nawet rękawic (potem przez cały czas trwania tej pracy dwa razy dostali środki higieny osobistej). Jako wynagrodzenie mieli dostawać jedzenie: kilka puszek tuszonki, konserwy rybne, sól, cukier i makaron lub kaszę gryczaną. Witalij miał dzielić otrzymywane jedzenie z synem i rodzicami.

Grupa ochotnicza pracowała codziennie od ósmej do popołudnia. Rano czekali koło pieszego mostu na mieszkańców, którzy zgłaszali, gdzie znajdują się zwłoki. To właśnie oni wygrzebywali ciała spod gruzów czteropiętrowego budynku.

Według danych władz Iziumu, które przytacza Macokin, wojna zabrała do 2 tys. mieszkańców. – Uwzględniam również tych, którzy po prostu zmarli, bo nie została im udzielona pomoc medyczna na czas ani nie otrzymali leków, które wydawano im za Ukrainy. To ci z przewlekłymi chorobami, jak cukrzyca, albo z rakiem – wyjaśnia Macokin.

Podczas walk nie było mowy o regularnych pogrzebach. Rosła liczba mogił na podwórkach domów. Tylko koło domu Ołeny Tkaczenko zakopane były trzy osoby. W tym kobieta, która była akurat w ogrodzie, gdy spadł pocisk. Tam też ją zakopali. Dwóch innych raniło, kiedy szli obok ulicą, i wykrwawili się od ran odłamkowych, nim ktoś zdążył im pomóc.

Ciała trzeba było zabierać z płytkich mogił, bo wydzielający się trupi jad stanowił zagrożenie dla otoczenia. Grupa Witalija wykopywała więc ciała, a grupa Pawła zakopywała je przy miejscowym cmentarzu.

Praca dla Witalija była ciężka. Skarżył się matce, że trudno mu wytrzymać. Codziennie wykopywali kolejne ciała. Widok bywał straszny. Okaleczone, porozrywane, niedające się skompletować. Mówił matce, że nie może zasnąć bez wódki. Pawłowi miał powiedzieć, że nie chce więcej wykonywać tej pracy.

Pod przymusem...

Nie wiadomo, skąd Rosjanie dowiedzieli się, że Witalij służył w ukraińskiej armii w Donbasie po roku 2014 (został zwolniony z powodu kryzysu psychicznego). Albo ktoś doniósł, albo znaleźli dokumenty. On przezornie spalił książeczkę wojskową, nim Rosjanie się nim zainteresowali. Widział, jak wyglądały ciała ↦

↦ zabitych ukraińskich żołnierzy (część ciał, które po wyzwoleniu znaleziono pochowane w pobliżu cmentarza, miała związane ręce, ślady tortur; w jednym przypadku znaleziono grób z ciałami 17 żołnierzy).

Pod koniec kwietnia 2022 r. trzech wojskowych przeszukało mieszkanie byłej teściowej Witalija. Powiedzieli, że ktoś ich poinformował, iż Tkaczenko to były wojskowy. Odeszli z niczym.

Na początku czerwca Witalij jechał wraz ze swoją grupą autobusem. Nagle zajechał im drogę samochód. Wysiadł wojskowy, którego Witalij widział podczas kwietniowego przeszukania. Zapytał, który to Tkaczenko. Kazał mu wsiąść do auta, gdzie siedzieli jeszcze dwaj mężczyźni w mundurach, i odjechali. Gdy Pawło się o tym dowiedział od członków grupy Witalija, próbował go szukać. Bezskutecznie. Zobaczył go dopiero w domu. Witalij wyglądał na przerażonego. Wyszli do altany i tam Witalij wyjaśnił Pawłowi, że Rosjanie zwrócili na niego uwagę, bo był w armii. Mówił, że wozili go po mieście i grozili, że go zabiją, jeśli nie pójdzie na współpracę.

Paweł opowiada dziś, że mniej więcej po tygodniu ci sami mężczyźni przyszli do jego domu do Witalija. Rozmawiali z nim na ulicy. Miało to wyglądać tak, że jeden z nich przeładował karabin, a drugi rzucił Witalijowi granat do rąk (na szczęście granat miał zawleczkę). Mężczyźni mieli powiedzieć, aby Witalij nie nadwyrężał ich cierpliwości, bo sięgną po „odpowiednie środki".

Następnego dnia w pracy Witalij poszedł zjeść do autobusu. Gdy koledzy weszli do środka, nie było go, została tylko torba z dokumentami i rower. Pawło jeździł po mieście szukając Witalija, znów bez skutku. Wieczorem pod jego dom miało podjechać auto rosyjskiej żandarmerii. Pawło zobaczył dwóch wojskowych i zastępcę mianowanego przez Rosjan mera, Hliba Tkaczenkę (zbieżność nazwisk przypadkowa). Wojskowi mieli wyprowadzić Witalija ze związanymi rękami, a Hlib Tkaczenko miał powiedzieć, że odtąd zatrzymany będzie pracować w policji. Witalij powiedział byłej żonie i Pawłowi, że zabrali go do komendantury wojskowej, gdzie wsadzili go na pół dnia do klatki. Strzelali mu nad głową i między nogami. Wtedy Hlib Tkaczenko miał przyjść do Witalija i powiedzieć, że zostało mu jedno wyjście: pracować w policji.

...czy dobrowolnie?

Taką wersję, opisaną powyżej, przedstawia dziś oskarżony, jego adwokatka i zeznający na jego korzyść świadkowie. Śledczy i prokuratura twierdzą natomiast, że Witalij Tkaczenko podjął się współpracy dobrowolnie. Ich opowieść zaczyna się mniej więcej od tego momentu, w którym ją przed chwilą przerwaliśmy.

Następnego dnia Witalij poszedł do budynku policji i zgłosił się do pracy w tej służbie. Został przyjęty na posadę policjanta dochodzeniowo-śledczego w dziale bezpieczeństwa ekonomicznego. Nie otrzymał munduru ani broni, jedynie legitymację; w pracy chodził po prostu w koszuli i dżinsach.

Zajmował się zbieraniem zeznań, przyjmowaniem wniosków i wyjazdami z grupą na miejsce wydarzeń, które zazwyczaj wiązały się ze znalezionymi ciałami cywilów. Z dokumentów, które pozostawili Rosjanie, wynika, że sprawy, którymi zajmował się Witalij, to m.in.: zatrzymanie podejrzanych o posiadanie narkotyków i kradzież metalu, przejmowanie broni myśliwskiej od osób, które ją posiadały, zabezpieczenie amunicji znalezionej koło garażu, a także liczne przesłuchania. Do końca sierpnia 2022 r. miał pracować w zamian za jedzenie. Następnie otrzymał 30 tys. rubli (niecałe 1600 zł).

To była jego pierwsza i ostatnia wypłata.

Worek na głowę

Na początku września ukraińska armia rozpoczęła kontrofensywę na okupowaną część obwodu charkowskiego. Niespodziewający się ataku Rosjanie wycofywali się w popłochu, zostawiając za sobą mnóstwo sprzętu wojskowego. Do Rosji uciekli niemal wszyscy związani z władzami okupacyjnymi, jak choćby tymczasowy zastępca mera Iziumu. Witalij został, choć – jak dziś twierdzi – mógł również uciec.

Od lewej: pod gruzami tego budynku, zniszczonego w marcu 2022 r. przez rosyjską bombę, zginęło 51 cywilów z Iziumu.

Spontaniczne miejsce pamięci na ruinach. 8 kwietnia 2023 r.

Tymczasowy cmentarz w lesie pod Iziumem, gdzie chowano ofiary rosyjskiej agresji. Po wyzwoleniu miasta szczątki ekshumowano i poddano badaniom. Część nosiła ślady tortur. 8 kwietnia 2023 r.

– Nigdy nie chciałem jechać do Rosji. Zawsze byłem patriotą mojego miasta Iziumu – przyznaje na sali sądowej.

10 września nad Iziumem znowu wisiała niebiesko-żółta flaga. Ołena twierdzi, że już następnego dnia ukraińska policja zabrała jej syna po raz pierwszy. Podobno był jednak tak pijany, że nie mógł mówić, więc odwieźli go do domu. Nazajutrz Ołeksandr miał urodziny. Ale Witalij się nie pokazywał. Od jakiegoś czasu mieszkał w domu byłej teściowej, więc ojciec postanowił sprawdzić, co u niego. Witalij siedział sam, był przygnębiony.

– Co się dzieje? – zapytał Ołeksandr.

– Tato, nie wiem, co robić. Zaraz się dowiedzą, że służyłem w policji.

– Służyłeś, ale czy zrobiłeś coś bezprawnego? Torturowałeś? Zabijałeś?

– Nie, tato, przecież wiesz...

– A wiesz, jaki dzisiaj jest dzień?

– O rany, tato, wszystkiego najlepszego! – wydusił z siebie Witalij.

Jeszcze chwilę porozmawiali i Ołeksandr wrócił do domu.

Później Witalij miał pójść do domu swojej byłej żony i Pawła. Ale nie było ich tam. Gdy wracał, zatrzymał się koło niego samochód, a w nim dwóch policjantów i dwóch żołnierzy. Zapytali, czy pracował w policji. Kazali mu wsiąść. Miał przejść tzw. filtrację – sprawdzenie, czy nie działał na rzecz Rosji. Dojechali do pieszego mostu, założyli mu worek na głowę, skuli ręce i przekazali go dalej. Pawło został zatrzymany tego samego dnia.

Policjanci mieli uderzyć Witalija kolbą w głowę, zakleić mu oczy i ręce skoczem, kopać, skakać mu po plecach, a następnie fotografować się z nim.

Przez kilka dni rodzina nie wiedziała, co się z nim dzieje (o warunkach, w jakich miał przebywać Witalij, dowiedzieli się później od Pawła, który został wypuszczony na wolność).

W aktach jednak widnieje inna data zatrzymania: nie 12 września, lecz dopiero 23 września.

Niech dochodzenie ustali

Po tym, jak ukraińska armia wyzwoliła Izium, oskarżenia o współpracę z Rosjanami padały na lewo i prawo. Bywało, że oskarżali się nawzajem sąsiedzi. Wciąż wszczynane są kolejne sprawy. Poza tym wielu mieszkańców wydaje wyroki na własną rękę.

Dla przełożonego elektryk Anatolij stał się teraz wrogiem numer jeden. Nawet mu „dzień dobry" nie mówi, jak się miną przypadkiem na ulicy. To dlatego, że w trakcie okupacji Anatolij sprzątał w szkole, którą zarządzali wówczas Rosjanie. Dostawał za to prowiant. Twierdzi, że robił to przede wszystkim dlatego, by czymś się zająć i choć na chwilę przestać myśleć o wojnie. Mówi, że nie chciał kolejny raz sobie przypominać, jak trafił pod taki ostrzał, że aż z uszu leciała mu krew i przez kilka dni nie był w stanie nic jeść. W każdym razie po tym, jak ukraińskie państwo wróciło do Iziumu, Anatolijowi dano do zrozumienia, że w szkole nie ma już czego szukać (szkoła zresztą na razie nie działa).

Zastępca mera Wołodymyr Macokin zapewnia jednak, że w takich wypadkach, gdy placówki zaczną znów działać, Anatolij będzie mógł wrócić do pracy. Chyba że nastąpią zwolnienia, ale jeśli tak, to tylko zgodnie z prawem. Dodaje, że trudno mu się z tym pogodzić. – Jeśli stróż pilnował szkoły, nie jest to kolaboracja, chociaż dla mnie to coś bardzo nieprzyjemnego – mówi Macokin.

Nie daje wiary tym, którzy twierdzą, że nie mieli wyjścia.

– Niech dochodzenie ustali, kto kogo zmusił. Przymus nie jest działaniem podlegającym odpowiedzialności karnej. Dlatego jeśli był przymus, to trzeba o tym mówić – dodaje Macokin.

■■■

Po tym, jak Witalij spędził siedem miesięcy w areszcie, jego proces dopiero się rozpoczyna. Sąd nie zgadza się na wypuszczenie go za kaucją.

Prokuratura, która jest przeciwna kaucji, argumentuje, że oskarżony powinien pozostać w areszcie, bo gdyby został zwolniony, łatwo mógłby uciec do Rosji – granica nie jest daleko. Ponadto mógłby wpływać na świadków, którzy mieszkają w tym samym mieście.

Dlatego Ołena na razie będzie widywać syna tylko na sali sądowej.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Gastarbeiterzy za Erdoğanem

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Większość Turków żyjących w Niemczech popiera tureckiego prezydenta – ich głosy mogą dziś zdecydować o jego kolejnej wygranej. Kim są ludzie, którzy jak żadna inna grupa etniczna zmienili Niemcy?

Erdoğan zbudował tyle dróg i mostów. Wiadomo, nikt nie jest doskonały, ale AKP to najlepszy wybór, szczególnie gdy porównać ją do innych tureckich partii – młoda kobieta w rozmowie z telewizją nie ma problemu, by zdradzić, na kogo właśnie zagłosowała.

– Mam nadzieję, że Erdoğan przegra, żeby nasza demokracja wygrała – mówi inna.

Nieopodal niektórych lokali wyborczych – tam, gdzie zgodę na to wyraziły lokalne władze – na latarniach wiszą plakaty ze zdjęciem tureckiego prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana i hasłem „*Doğru Zaman, Doğru Adam*". Czyli: „Właściwy czas, właściwy człowiek".

Wszystko to nie dzieje się jednak w Turcji – tam podwójne wybory, prezydenckie i parlamentarne, odbędą się w niedzielę 14 maja. To sceny z Niemiec, kraju z największą turecką diasporą na świecie. Spośród blisko trzech milionów mieszkańców Niemiec, którzy mają tureckie korzenie, półtora miliona wciąż posiada tureckie obywatelstwo, co umożliwia im udział w tureckich wyborach. A uzyskanie wypowiedzi od tych, którzy już oddali głos, to efekt przepisów, jakie umożliwiają Turkom żyjącym poza granicami, także w Niemczech, głosowanie wcześniejsze, w okresie od 27 kwietnia od 9 maja.

Tureckie święto w centrum Berlina

69-letni Erdoğan wraz ze swoją Partią Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) rządzi Turcją już od przeszło 20 lat – najpierw jako premier (od roku 2003 do 2014), a potem jako prezydent (od roku 2014 do dziś). Choć z dłuższej perspektywy może wyglądać to tak, jakby był niepodważalnym władcą absolutnym, to jednak dwukrotnie wybory prezydenckie wygrywał, zdobywając jedynie nieznacznie ponad połowę głosów.

Tym razem nie może być pewien nawet tego. Opozycji udało się zjednoczyć i wystawić wspólnego kandydata: 74-letni Kemal Kılıçdaroğlu, lider Republikańskiej Partii Ludowej (CHP), nazywany jest „tureckim Gandhim". Jego spokojny charakter i urzędnicze doświadczenie procentują w czasie kumulowania się licznych kryzysów, z jakimi zmaga się dziś Turcja. Sondaże to jemu przypisują szansę na zwycięstwo. Trend mu sprzyja, jego wiece przyciągają setki tysięcy ludzi.

W tym czasie Erdoğan, widocznie osłabiony chorobą (plotki głoszą, iż miał zawał serca; w każdym razie ostatnio brał udział w wyborczych imprezach tylko online), traci wizerunek silnego przywódcy. Pojawia się więc realna szansa na dojście do władzy polityka, który zapowiada odbudowę demokratycznych fundamentów kraju, praworządności i wolności słowa – tych, które obóz obecnego prezydenta niszczył przez ostatnie dwie dekady.

Wszystko wskazuje na to, że tureckie wybory z 14 maja 2023 r. – już teraz ochrzczone mianem najważniejszego głosowania na świecie w tym roku – to wyścig, w którym liczy się naprawdę każdy głos.

Także ten oddany w Niemczech. O ile w 2018 r. Erdoğan otrzymał 52,6 proc. wszystkich oddanych głosów, o tyle na terenie Niemiec głosowało na niego aż 64,8 proc. W noc wyborczą po ogłoszeniu wstępnych wyników na ulice Berlina wyszły tłumy Turków. Powiewały tureckie flagi, wybuchały fajerwerki, a nazwisko prezydenta niosło się echem po niemieckiej stolicy.

Towarzyszyły temu zdziwione spojrzenia rdzennych Niemców. Może po cichu zastanawiali się, jakim cudem ludzie od pokoleń mieszkający w Republice Federalnej, gdzie zasady liberalnej demokracji są traktowane niczym dekalog, głosują na satrapę, który jest na bakier z podstawami demokracji.

Bundesrepublika w mgiełce orientalnych przypraw

Władze w Ankarze widzą w niemieckich Turkach przede wszystkim ważną grupę wyborczą. Półtora miliona głosów, które są do wzięcia na terenie Niemiec, może przeważyć o wyniku wyborów – także tych nadchodzących. Z kolei dla niemieckich władz przywiązanie tak dużej grupy mieszkańców do dalekiej ojczyzny jest problemem.

Turcy są bowiem największą grupą obcokrajowców – w dalszej kolejności plasują się Polacy (870 tys.), Syryjczycy (867 tys.), Rumuni (844 tys.) i Włosi (646 tys.). Przez dekady debaty na tematów obcokrajowców żyjących w Niemczech dotyczyły *de facto* osób, które przyjechały kraju łączącego jak żaden inny geograficznie, ale i kulturowo Europę i Azję.

Nie ma też drugiej grupy etnicznej, która w takim stopniu zmieniła Republikę Federalną. Kraj zdominowany przez luterańską skromność, minimalizm i etykę pracy wraz z powiększającą się turecką społecznością zaczął nabierać intensywnych barw i zapachów. Każde większe miasto dawnych zachodnich Niemiec (wraz z Berlinem Zachodnim) dorobiło się swojej tureckiej dzielnicy lub przynajmniej ulic, przy których Turcy zwykli się osiedlać.

Panuje tam większy gwar. Nazwy warzywniaków, sklepów mięsnych z ofertą halal, cukierni, herbaciarni, kebabowni, barberów i wielu innych lokalnych sklepików są często zapisane na szyldach i po niemiecku, i po turecku. A czasem tylko w tym drugim języku, choć już dawno przestały być odwiedzane tylko przez klientów pochodzących z Turcji. Rdzenni Niemcy, nazywani przez obcokrajowców złośliwie „kartoflami", również cenią sobie ofertę, która tak dalece odbiega od tej dostępnej w „niemieckich" sklepach spożywczych i usługach.

MAJA HITIJ / GETTY IMAGES

Turcy żyjący w Niemczech właśnie oddali głos w specjalnych kabinach-kontenerach, przygotowanych przez konsulat turecki w Berlinie. 27 kwietnia 2023 r.

Tureckie korzenie ma wiele osób, które piastują ważne funkcje w niemieckim systemie partyjno-państwowym. Socjaldemokratka Aydan Özoğuz jest wiceprzewodniczącą Bundestagu, a Cem Özdemir z Partii Zielonych sprawuje funkcję ministra rolnictwa. Na tureckie nazwiska można często natknąć się w świecie kultury i sportu, by wspomnieć reżysera Fatiha Akina („Głową w mur", „Soul Kitchen") czy byłego już piłkarza Mesuta Özila. W czasie pandemii światową sławę zyskali Özlem Türeci i Uğur Şahin – małżeństwo stojące na czele firmy BioNTech, która wyprodukowała szczepionkę przeciw koronawirusowi.

Mieli przyjechać na chwilę, pozostali na zawsze

Turcy nie pojawili się w Niemczech (najpierw zachodnich) bez powodu. Po części zostali tam osiedleni zgodnie z wolą polityków obu państw.

Republika Federalna, choć pokonana w II wojnie światowej, już w latach 50. XX w. za przyzwoleniem aliantów intensywnie zaczęła odbudowywać gospodarkę. Szło to tak dobrze, że szybko pojawił się problem braku rąk do pracy. Ponieważ firmy zaczęły nielegalnie ściągać pracowników z innych krajów, państwo postanowiło uregulować tę kwestię. Już w 1955 r. rząd RFN zawarł porozumienie z rządem Włoch o „werbowaniu i pośredniczeniu w zatrudnieniu włoskiej siły roboczej w Republice Federalnej". W kolejnych latach podobne w treści umowy zawarto z Hiszpanią (1960), Grecją (1960), Marokiem (1963), Portugalią (1964), Tunezją (1965) i Jugosławią (1968).

Z demograficznego punktu widzenia najpoważniejsza w skutkach okazała się umowa z Turcją, zawarta w 1961 r. („w sprawie zatrudniania pracowników tureckich w Republice Federalnej Niemiec").

Rzecz miała być wybitnie tymczasowa. Gastarbeiterzy – jak ich nazywano; dosłownie: „pracownicy gościnni" – mieli przyjeżdżać na parę lat, odpracować swoje kontrakty i wrócić do ojczyzny. Jednak kopalnie i fabryki – tam Turcy pracowali przede wszystkim – nie chciały pozbywać się dopiero co wyuczonych pracowników.

Pod presją pracodawców w 1964 r. rządy w Bonn i Ankarze podpisały nowy układ, na podstawie którego tureccy pracownicy mogli zostać dłużej i ściągnąć rodziny. Przybyszów szybko zrównano w prawach z rdzennymi obywatelami. Turcy otrzymali dostęp do systemu socjalnego, w tym do zasiłku na dzieci.

Z konserwatywnej Anatolii do Zagłębia Ruhry

Do 1973 r., kiedy umowę wstrzymano, w zachodnich Niemczech osiedliła się już ponad półmilionowa wspólnota turecka – zwłaszcza w miastach Zagłębia Ruhry, gdzie pracę oferowały kopalnie i przemysł ciężki, ale z czasem także w innych miejscach. Z biegiem lat podejmowali też inne zajęcia, jak handel (warzywniaki) czy gastronomia.

– Do Niemiec przybyli głównie mieszkańcy miasteczek i wsi z Anatolii – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem" Caner Aver, ekspert Centrum Studiów Tureckich i Badań nad Integracją w Essen. Turcja była w latach 60. XX w. krajem głównie rolniczym, w rolnictwie pracowało 80 proc. jej mieszkańców. – Ich światopogląd był konserwatywny, zbudowany wokół tradycyjnie pojętej religijności – Aver nawiązuje również do obecnych preferencji wyborczych tej grupy.

Tymczasem to właśnie do ludzi z tureckiej prowincji zaadresował swój program Erdoğan. Religijni muzułmanie otrzymali od jego partii dobrze skrojoną ofertę „powstania z kolan" po wielu dekadach laicyzacji przestrzeni publicznej, którą po I wojnie światowej zaprowadził twórca republiki Mustafa Kemal Atatürk. Erdoğan wielokrotnie ustawiał się w roli obrońcy muzułmanów. Również to budziło sympatię wśród niemieckich Turków.

Pierwsze dekady ich życia w nowym państwie przebiegały dość spokojnie. Niemcy patrzyli na gastarbeiterów co najwyżej jako na nowy orientalny akcent w ich sąsiedztwie. Jeszcze długo powszechne było przeświadczenie, że przybysze, kiedy już odłożą pokaźną sumę marek niemieckich, wrócą do ↦

siebie. Gdy stało się jasne, że większość nie wróci, Turcy zaczęli być coraz częściej przedstawiani jako problem. Kanclerz Helmut Kohl zaraz po objęciu władzy w 1982 r. chciał „zredukować liczbę Turków o 50 procent", co jednak skończyło się na rządowej propozycji jednorazowych bonusów pieniężnych dla tych bezrobotnych Turków, którzy zechcą wrócić do ojczyzny. Nie odniosło to masowego skutku.

W latach 90. XX w. w Niemczech doszło do szeregu ksenofobicznych zamieszek i ataków, których ofiarami, także śmiertelnymi, padały osoby pochodzące z Turcji. Agresja wobec tej grupy to problem, który istnieje do dziś.

Kolejne pokolenie głosuje na przekór

Pierwsze pokolenie tureckich gastarbeiterów było skupione na pracy i zapewnieniu lepszej przyszłości swoim dzieciom. Ale kolejne pokolenia, urodzone już w Niemczech, wcale nie stały się automatycznie wzorowymi niemieckimi obywatelami. To właśnie wśród młodych dziś wiekiem wnuków pokolenia, które przybyło do Niemiec za pracą, nie brakuje zagorzałych zwolenników Erdoğana.

– Ta grupa wskazuje na swoje osiągnięcia, na opanowany język, wykształcenie, osiągnięcia na rynku pracy, ale i na poczucie, że pomimo tych wszystkich wysiłków nie czują się pełnoprawnymi obywatelami tego kraju – mówi „Tygodnikowi" Caner Aver.

Aver wskazuje, że w tej grupie widoczny jest mechanizm głosowania na przekór. Skoro w Niemczech Turcja pod rządami Erdoğana prezentowana jest niemal wyłącznie negatywnie, to taka krytyka dotyka również osobiście osoby związane z tym krajem i wzmacnia w nich potrzebę wyrażenia solidarności z ojczyzną. Przekłada się to na głos oddany na polityka, który tak chętnie odwołuje się do wyjątkowości i wielkości tureckiego narodu.

Symboliczny jest tu przykład wspomnianego już piłkarza Mesuta Özila. Były już reprezentant niemieckiej reprezentacji walnie przyczynił się do jej kilku epokowych zwycięstw. A jednak w końcu stwierdził, że dla niemieckich kibiców „byłem Niemcem, gdy wygrywałem, a Turkiem, gdy przegrywałem". Özil często wyrażał sympatię wobec Erdoğana. Urodzony w Gelsenkirchen w Zagłębiu Ruhry, obecnie powrócił do kraju swoich rodziców.

SVEN GRUNDMANN / AFP / EAST NEWS

„Właściwy czas, właściwy człowiek" – plakat wyborczy prezydenta Turcji na ulicy Norymbergi. 1 maja 2023 r.

Prezydent prosi o poparcie

Nastroje w tureckiej społeczności pogorszyły się dodatkowo po wybuchu kryzysu migracyjnego. Kolejne fale uchodźców i imigrantów, które po 2015 r. docierały do Niemiec, rozbudziły w kraju nie tylko „kulturę życzliwości" (*Willkommenskultur*), ale u wielu również przekonanie, iż kraj jest w tej kwestii na granicy możliwości. A także siły jawnie już ksenofobiczne: Alternatywa dla Niemiec, która sprzeciwia się przyjmowaniu nowych migrantów, zasiada w Bundestagu i może dziś liczyć na 16 proc. poparcia.

– To dla mieszkających w Niemczech Turków nie jest obojętne – uważa Aver. – Często można odnieść wrażenie, że w debatach wszyscy muzułmanie, a więc i Turcy, są wrzucani do jednego worka.

To nie pomaga w budowaniu więzi z krajem zamieszkania, a Erdoğan potrafił wykorzystać takie nastroje. Wielokrotnie zwracał się do mieszkających w Niemczech Turków z prośbą o poparcie. Po stłumieniu próby puczu w 2016 r. i przed referendum z 16 kwietnia 2017 r. (w sprawie zmiany systemu władzy z parlamentarnego na prezydencki) chciał wysłać swoich polityków z kampanią do niemieckich miast, a gdy w większości przypadków napotkali na odmowy, skończyło się na wyzywaniu Niemców od nazistów.

Wówczas nie żałował nawet rad, na jakie niemieckie partie mają głosować Turcy posiadający niemiecki paszport, a na jakie nie.

Przez 20 lat rządów jego ugrupowanie zbudowało w Niemczech sieć powiązań, na którą składają się organizacje kulturalno-społeczne, meczety i ich imamowie (edukowani i finansowani bezpośrednio przez Ankarę), jak i mniej formalne, a często skrajnie nacjonalistyczne środowiska. W utrzymaniu kontaktu z dalekimi wyborcami pomaga fakt, że prezydencka partia AKP niemal całkowicie kontroluje media, zwłaszcza turecką telewizję, do której dostęp nie stanowi w Niemczech problemu.

Świętowanie będzie na pewno

Jednak obok kwestii tożsamościowo-ideowych głównym argumentem za oddaniem głosu na Erdoğana były dla niemieckich Turków w ostatnich latach kwestie ekonomiczne. „Niemcy zawsze były podziwiane przez Turcję jako kraj przemysłu. Niemieckie drogi były zawsze symbolem dobrze prosperujących Niemiec. Teraz także w Turcji są lepsze drogi, co sprawiło, że ten podziw stał się mniej odczuwalny" – mówił Hasan Alkas, wykładowca niemieckich uczelni o tureckich korzeniach, w rozmowie z magazynem „WirtschaftsKurier".

Niemieccy Turcy utrzymują kontakt z krajem pochodzenia. Gdy jadą tam na wakacje, nie widzą ograniczanej praworządności ani uwięzionych dziennikarzy, lecz infrastrukturalne projekty, w które partia Erdoğana inwestowała na przestrzeni ostatnich 20 lat. – Pamiętam, jak źle wyglądało życie w Turcji przed dojściem Erdoğana do władzy – mówił niemieckim mediom mężczyzna po trzydziestce po tym, jak oddał głos w tureckiej ambasadzie w Berlinie.

Ostatnio jednak argument ekonomiczny utracił mocno na wartości. Turcja tkwi w kryzysie ekonomicznym, ceny rosną w zastraszającym tempie. Niedawno obóz prezydencki był oskarżany o opieszałość w organizowaniu pomocy dla ofiar trzęsienia ziemi, które w lutym zabiło 50 tys. ludzi. Turecka opozycja ma swoją szansę.

W atmosferze zaciętej rywalizacji wyborczej jedno jest pewne: bez względu na wynik niemieccy Turcy – zwolennicy jednego lub drugiego kandydata – wyjdą tłumnie na ulice, by świętować zwycięstwo. I manifestować przywiązanie do dalekiego ukochanego kraju.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

TOMASZ

Stawiszyński:
Komu zagraża sztuczna inteligencja?

Systemy AI wyposażone w inteligencję konkurencyjną wobec ludzkiej mogą stanowić poważne zagrożenie dla społeczeństwa i ludzkości" – napisali w opublikowanym 22 marca liście otwartym znamienici intelektualiści i przedstawiciele wirtualnego biznesu, z Elonem Muskiem, Yuvalem Hararim czy Jaanem Tallinnem (współtwórcą Skype'a) na czele. I wezwali do czasowego zawieszenia prac nad wszelkimi formatami sztucznej inteligencji o potencjale większym niż (aktualnie) najnowsza, czwarta wersja czata GPT, którego skądinąd „trochę się boi" nawet jego ojciec chrzestny Sam Altman. Ten ostatni nie podpisał wprawdzie listu – musiałby bowiem wzywać samego siebie do zaprzestania prac nad głównym produktem swojej własnej firmy Open AI – niemniej niejednokrotnie wypowiadał się na temat podobnych technologii w sposób ostrzegawczy. Jakby tego było mało, w opublikowanym niedawno badaniu „Expert Survey on Progress in AI" („Ekspercki sondaż dotyczący postępu prac nad AI") firmowanym przez Oxford University oraz Machine Intelligence Research Institute ankietowani (wyłącznie specjaliści w dziedzinie) aż na 10 proc. ocenili prawdopodobieństwo, że już niebawem ludzkość straci kontrolę nad sztuczną inteligencją, w efekcie czego sprowadzi na siebie zagładę; „Tygodnik" pisał o tym niedawno piórem Agaty Kaźmierskiej i Michała Gikowskiego („TP" 16/2023).

Owszem, nic w takich obawach i niepokojących wizjach przyszłości nie ma nowego. Począwszy od nieposkromionej wyobraźni klasyków *science fiction* (w tym Lema czy Dicka, o „Terminatorze" już nawet nie wspominając), przez filozoficzne rozważania Nicka Bostroma, aż po pesymistyczne wypowiedzi Stephena Hawkinga z 2014 r. – katastroficzne warianty zdarzeń towarzyszą nam, odkąd tylko pojawiła się idea AI. Trzeba przy tym przyznać, że są to warianty przynajmniej częściowo realistyczne, rzecz jasna pod warunkiem, że zaistnieją niezbędne do ich realizacji okoliczności. A mianowicie, że progres technologiczny doprowadzi w końcu do powstania jakiejś sieci neuronalnej, która, po pierwsze, okaże się od nas nieskończenie potężniejsza, a po drugie cechować ją będzie pełna autonomia. Że – innymi słowy – pojawi się na światowej arenie byt przewyższający człowieka pod względem możliwości poznawczych, a zarazem obdarzony świadomością. W każdym razie zaś zachowujący się tak, jakby ją posiadał.

Otóż jeśli coś takiego rzeczywiście się wydarzy – przewidują katastrofiści – uruchomi się po prostu logika ewolucyjna. I, podobnie jak w historii *Homo sapiens* podporządkowywał sobie inne gatunki – niektóre zaś efektywnie doprowadził i wciąż doprowadza do wyginięcia – tak też w prognozowanym tu scenariuszu to on zostanie zmuszony do podporządkowania się gatunkowi radykalnie odeń sprawniejszemu i potężniejszemu. Przy czym, na co kładł nacisk zwłaszcza Hawking, inteligencja maszynowa nie będzie się raczej kierować współczuciem czy miłosierdziem – które także u ludzi występują, delikatnie mówiąc, rzadziej, niżby się tego oczekiwało – lecz wyłącznie zimną kalkulacją.

Pytanie brzmi więc następująco: czy dla takiego bytu, podmiotu lub po prostu gracza na ewolucyjnej arenie będą istnieć jakiekolwiek powody, żeby postępować wobec ludzkości zgodnie z zasadami szeroko pojętej *fair play*? Czy też może raczej staniemy się dla owego bytu, podmiotu lub gracza wyłącznie balastem, przeszkodą na drodze do realizacji celów jemu tylko wiadomych i zdefiniowanych wedle jego własnych, obcych nam reguł? A jeśli tak właśnie to będzie wyglądało – jaki wówczas spotka nas los?

Wobec powyższego – a to przecież nieledwie mikroskopijna rekonstrukcja tych najpowszechniejszych obaw, dałoby się ich wymienić jeszcze całkiem sporo – cytowany na początku list wydaje się gestem słusznym i potrzebnym. I z jednej strony naprawdę chciałbym tak myśleć. Chciałbym wierzyć, że znamienici przedstawiciele wielkiego cyfrowego biznesu szczerze troszczą się o sprawy ludzkości i właśnie z powodu tej troski zachęcają do wstrzymania prac nad AI. Zarazem jednak chodzi mi po głowie, że skoro zaskakująco zgodnie występują dziś oni przeciwko wdrażaniu tej technologii, to być może jest ona faktycznie poważnym zagrożeniem, ale także, a może nawet przede wszystkim, dla ich własnych interesów. Może dalszy rozwój sztucznej inteligencji ma szansę zakończyć dominację wielkich cyfrowych korporacji, które skutecznie obracają gigantyczną ilością pozyskiwanych od nas danych, a następnie tymi danymi – czyli nami – manipulują? Może udoskonalanie tej technologii wiąże się z potencjalnym przełamaniem monopolów na wirtualnym rynku? I właśnie dlatego architekci i beneficjenci internetowego *status quo* zaczęli nagle protestować, bo wcześniej jakiejś szczególnej troski o sprawy ludzkości nie wykazywali.

Oczywiście, to się nie musi wykluczać. Ostatecznie ewolucyjna detronizacja człowieka będzie oznaczała również koniec globalnego królowania jednego procenta największych bogaczy i posiadaczy, wśród których, przynajmniej na razie, znajdują się wyłącznie przedstawiciele *Homo sapiens* (niezależnie od tego, co o tym sądzą zwolennicy niektórych teorii spiskowych). ©

POŻEGNANIE

Wyrazy głębokiego współczucia dla

Marii Fredro-Smoleńskiej

z powodu śmierci

męża Pawła

składają

ks. Adam Boniecki
i Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

NAUKA

PÓŁTORA KILOGRAMA TAJEMNIC

PROF. KATRIN AMUNTS, DYREKTOR NAUKOWA HUMAN BRAIN PROJECT:

Ludzie uczą się inaczej niż obecne algorytmy sztucznej inteligencji. Nie potrzebujemy tysięcy przykładów, żeby zrozumieć, czym jest ślimak. Przyszłe sztuczne systemy będą dokładniej naśladować nasz mózg.

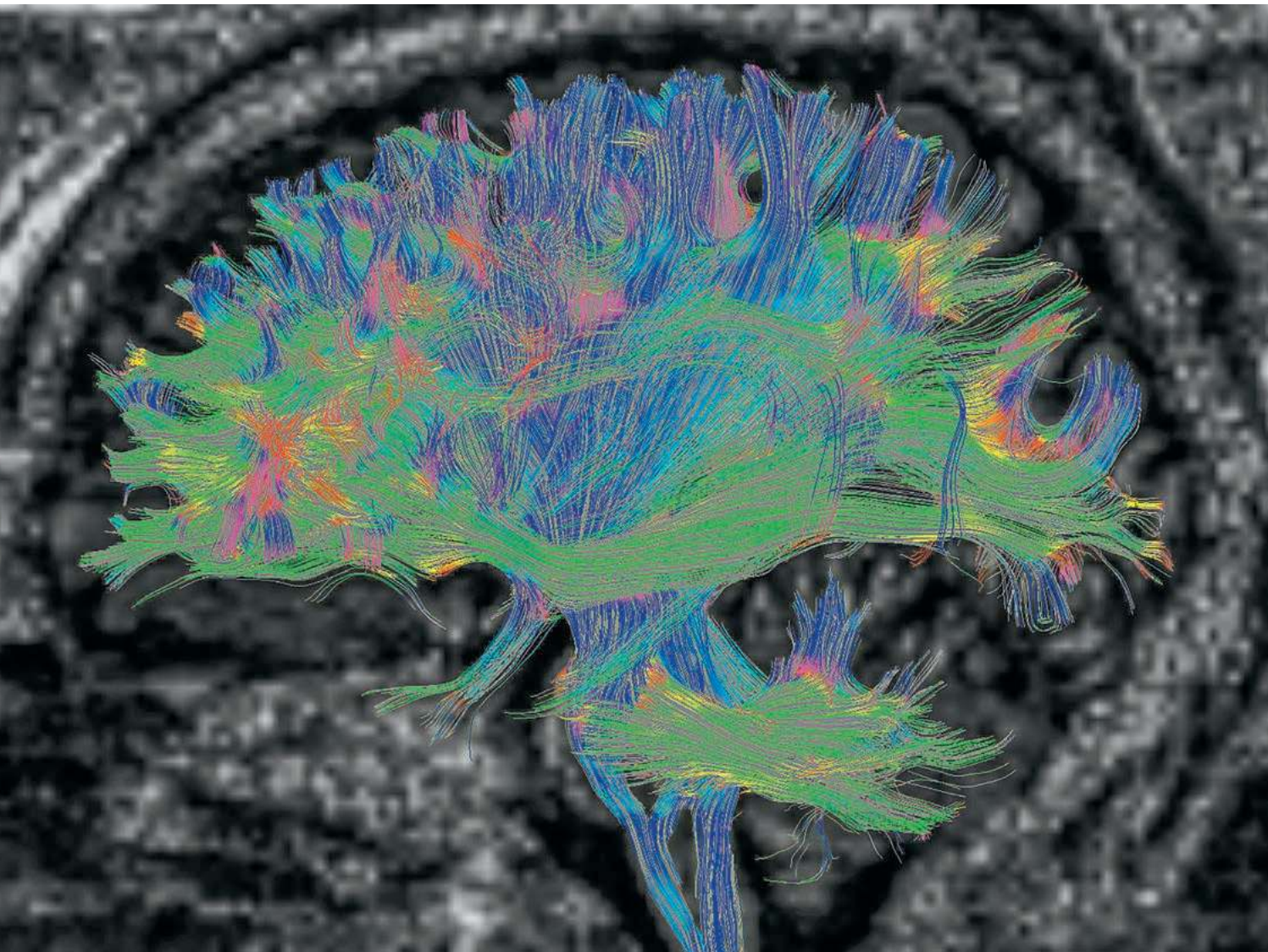

MICHAŁ GIKOWSKI: Wszyscy dzisiaj ekscytują się postępami w badaniach nad sztuczną inteligencją. Jak z perspektywy Pani – specjalistki od neurobiologii – to wszystko wygląda? Czy jesteśmy blisko stworzenia sztucznego systemu, który funkcjonalnie przypominałby ludzki mózg?

PROF. KATRIN AMUNTS: Poziom złożoności naszego mózgu jest niezwykły. Staramy się coraz lepiej rozumieć jego organizację i to, w jaki sposób struktura powiązana jest z jego funkcjami. To wciąż rozwijające się pole badań i mamy wciąż wiele pytań bez odpowiedzi, zwłaszcza jeśli idzie o to, w jaki sposób zorganizowane są połączenia wewnątrzmózgowe. Jak tworzone są w mózgu sieci, które następnie kształtują nasze zachowania czy realizują pewne zadania. Bo choć dość dobrze rozumiemy to, jak działają pewne funkcje behawioralne czy kognitywne, to w wielu przypadkach nasza wiedza jest ograniczona.

To, czego dowiadujemy się o mózgu, może być potencjalnie przenoszone na technologie komputerowe, na budowę sztucznych sieci neuronowych. Nawet stosując sieci o prostszej architekturze od tych obserwowanych w naturze, możemy osiągnąć nieoczekiwane rezultaty. Widzimy to obecnie w rozwoju technik tzw. „głębokiego uczenia". To nie jest nowa koncepcja, pochodzi jeszcze z lat 50., kiedy zaproponowano pierwsze, bardzo prymitywne sieci neuronowe. Potem stało się jasne, że w procesie uczenia liczne warstwy mogą zrobić więcej niż jedna, że sieć o bardziej zorganizowanej strukturze może działać lepiej niż sieć o prostszej organizacji. Szybki rozwój tych technologii, jaki obecnie obserwujemy, bazuje na dostępności ogromnej ilości danych, w których wyszukujemy wzorców, wykorzystując wielką moc obliczeniową. Ale to podejście inne od tego, co obserwujemy w ludzkim mózgu.

Bo ludzie uczą się inaczej niż komputery?

Ludzie zazwyczaj uczą się na bardzo niewielkiej liczbie przykładów. Nie potrzebujemy ich tysięcy, żeby zrozumieć, że ślimak to istota o pewnych ogólnych cechach, gdy idzie o wygląd czy sposób poruszania się. Kiedy po raz pierwszy zobaczymy ślimaka, będziemy w stanie natychmiast zakwalifikować inne podobne zwierzęta jako ślimaki. Współczesne systemy głębokiego uczenia działają inaczej, często opierają się na prostych metodach statystycznych. Tempo postępu w tej dziedzinie jest zdumiewające, ale niekoniecznie jest on blisko powiązany z ludzkim mózgiem.

Jednym ze „świętych Graali" badań nad ludzkim mózgiem miało być stworzenie wirtualnego mózgu, superkomputerowej symulacji wszystkich zachodzących w nim procesów. Jak daleko od tego jesteśmy?

Kiedy jako neuronaukowcy mówimy o symulacji mózgu, zazwyczaj szukamy odpowiedzi na bardzo konkretne pytania. Chcemy symulować funkcjonowanie pamięci, symulować procesy towarzyszące poruszaniu się, chwytaniu obiektów ↦

Kartograf mózgu

PROF. KATRIN AMUNTS jest tak nazywana w materiałach prasowych udostępnionych na oficjalnej stronie Human Brain Project. Obecna dyrektor naukowa tego projektu badawczego pracuje nad stworzeniem precyzyjnego, trójwymiarowego atlasu ludzkiego mózgu. Jak sama mówi – neurologicznego odpowiednika Google Maps.

HUMAN BRAIN PROJECT jest jednym z flagowych programów badawczych Unii Europejskiej. Zapoczątkowany w 2013 r., zrzesza przeszło 500 badaczy z 19 krajów i 155 instytucji. Ma nie tylko pchnąć naprzód naszą wiedzę o strukturze i funkcjonowaniu układu nerwowego człowieka – co może pomóc choćby w opracowaniu terapii nieuleczalnych dziś schorzeń neurologicznych. Przeznaczone na ten projekt przez Komisję Europejską ponad 600 mln euro może też skutkować rozwojem nowych technologii, choćby zaawansowanych form uczenia maszynowego i sztucznej inteligencji.

PROF. AMUNTS kieruje także Instytutem Badań nad Mózgiem im. Cécile i Oskara Vogtów na Uniwersytecie Heinego w Düsseldorfie oraz Instytutem Neuronauki i Medycyny w Jülich. Będzie jednym z głównych gości tegorocznej edycji Copernicus Festival, w ramach którego 25 maja wygłosi w Krakowie wykład: „Brain, Computer, Comprehension" (Mózg, komputer i rozumienie).

MICHAŁ DYAKOWSKI

Wynik obrazowania włókien neuronalnych za pomocą tzw. traktografii tensora dyfuzji (ang. DTI). Ta metoda pozwala w nieinwazyjny sposób zbadać, jak łączą się poszczególne części mózgu.

CULTURA CREATIVE RF / ALAMY / BE&W

↦ albo działanie poszczególnych komórek. Od tego, jak pracuje pojedyncza komórka, po to, jak działają ich wielkie sieci czy jak takie sieci wchodzą między sobą w interakcje. Ale to zawsze symulacja konkretnego zjawiska, a nie próba odtworzenia funkcjonowania całego mózgu.

Nastąpiły duże postępy w zwiększaniu rozmiarów i wszechstronności tych symulacji oraz w wykorzystywaniu ich do poszukiwania odpowiedzi na konkretne pytania – w nauce podstawowej, w klinicznych prognozach z wykorzystaniem spersonalizowanych modeli mózgów pacjentów, a także w technologii, np. przy budowie nowych typów sztucznej inteligencji. Symulacja jest narzędziem pozwalającym zrozumieć konkretne procesy, i – jak każdy model – ma mocne i słabe strony. Ale jeśli pytanie, jakie sobie zadajemy, jest wystarczająco precyzyjne, zazwyczaj jesteśmy w stanie dzięki symulacjom lepiej zrozumieć problem.

Wydaje się, że im więcej wiemy, im więcej pojawia się pytań, im bardziej zagłębiamy się w to, jak działa mózg, z tym większą liczbą wyzwań zaczynamy się mierzyć. Które z nich są obecnie najciekawsze?

To, że wraz z zagłębianiem się w temat wciąż pojawiają się nowe pytania, nie jest czymś charakterystycznym wyłącznie dla badań nad mózgiem. Podobny proces zachodzi np. w astrofizyce, w badaniach nad klimatem czy w genetyce. Pytania, które zadajemy, ewoluują. Pytania o to, jak działa mózg, jak jego struktura jest powiązana z jego funkcjami, co pozwala nam wykonywać czynności tak złożone, jak gra na fortepianie czy jazda na rowerze – są pytaniami bardzo starymi. Zmienia się jednak to, jak próbujemy na nie odpowiadać.

W ostatnich latach zrozumieliśmy, że mózg to niezwykle złożony system, który jest zorganizowany w różnych skalach przestrzennych i czasowych. Od cząsteczek, przez komórki, małe sieci komórek, wielkie sieci, po mózg jako całość i mózg jako element ludzkiego ciała. Największe wyzwanie polega na zrozumieniu, jak połączyć te wszystkie skale. Mamy informacje o aktywności elektrycznej komórek – ale jak wiążą się one z konkretnymi zachowaniami czy decyzjami podejmowanymi przez człowieka?

Chciałabym oczywiście zrozumieć organizację całego mózgu. Jednak w tym celu musimy cofnąć się do pojedynczych komórek, zrozumieć to, jak się rozgałęziają, jaka jest ich chemiczna i genetyczna charakterystyka. Musimy powiązać naszą wiedzę o pojedynczej komórce o wielkości 10 mikrometrów z wiedzą o całym organie, który waży niemal 1,5 kg. To ogromne, koncepcyjne wyzwanie, bo wymaga interakcji wielu dziedzin: fizjologów, anatomów, genetyków, psychologów, fizyków.

Wyzwanie jest także metodologiczne, bo nie mamy jednego instrumentu, który pozwalałby nam podglądać mózg na wszystkich poziomach. Mamy jednak tworzony przez nas atlas o nazwie EBRAINS. To narzędzie, które pozwala łączyć wiedzę o różnych skalach organizacji mózgu, a także odkrycia dokonywane w różnych laboratoriach. Pozwala nam ujmować różne aspekty organizacji mózgu w jednej przestrzennej siatce. Atlas jest otwarty, może być rozbudowywany przez innych naukowców i daje nam wspólną przestrzeń, na której próbujemy zrozumieć różne aspekty organizacji mózgu.

Jak EBRAINS wygląda z perspektywy użytkownika? Pozwala podziwiać w dużym przybliżeniu dowolną część mózgu?

Tak, jest trochę jak aplikacja Google Maps dla mózgu. Możesz zrobić zbliżenie i przyjrzeć się organizacji pojedynczych komórek, albo spojrzeć szeroko na wielkie ich sieci. I, tak jak w Google Maps, w naszym atlasie, poza wyszukiwaniem prostych informacji przestrzennych, możemy też zapytać o konkretne dane – odpowiednik wpisania hasła „gdzie jest najbliższa restauracja".

Innymi słowy, opracowywany przez nas atlas to nie tylko narzędzie do wizualizacji tego, gdzie jesteś, ale i tego, co się dzieje. Możesz zacząć od danego punktu w mózgu i sprawdzić, jaka jest gęstość znajdujących się tam komórek czy ich sygnatura molekularna. I powiązać te informacje z danymi funkcjonalnymi, by spróbować zrozumieć, czy to się wiąże z rolą, jaką ten sam obszar pełni w jakimś procesie językowym. Atlas pozwala więc łączyć różne poziomy organizacji, struktury i funkcji mózgu; aspekty mikroskopowe, makroskopowe i genetyczne, ale też łączyć je na różnych skalach.

Filozofowie lubią powtarzać, że ludzki mózg to najbardziej skomplikowana struktura we wszechświecie – przynajmniej spośród tych, które znamy. Potrafimy go już opisać komórka po komórce?

Szacujemy, że w mózgu znajduje się ok. 86 mld neuronów i podobna liczba komórek glejowych, powiązanych na różne sposoby z neuronami. Nie możemy oczywiście z najwyższą precyzją opisać tego, co robi każda z tych komórek. Przyjmijmy dla uproszczenia, że mamy około 100 mld komórek nerwowych. Każda z nich może mieć 10 tys. połączeń z innymi komórkami nerwowymi. To oznacza, że mamy 2 razy 10 do 15 potęgi różnych możliwych stanów. Opisanie ich wszystkich jest niemożliwe. Ale staramy się zrozumieć zasady rządzące zachowaniem komórek. Możemy wykorzystywać metody takie jak uczenie maszynowe, by przewidywać funkcjonowanie elementów mózgu.

Wspomniała Pani, że Human Brain Project wymaga bardzo szerokiego podejścia i współpracy m.in. fizyków, chemików, biologów i psychologów. Wyobrażam sobie, że już znalezienie wspólnego języka dla ludzi z tak różnych dziedzin było wyzwaniem.

To był trudny proces, który w ramach Human Brain Project zajął kilka lat. Mamy jeden cel, choć każdy z nas ma inne motywacje. Specjaliści od neuromorficznych komputerów – tzn. funkcjonujących na podobnych zasadach jak mózg – chcą budować lepsze neuromorficzne komputery. Psycholog będzie chciał zrozumieć, dlaczego ludzie przejawiają tak zróżnicowane zachowania czy zdolności poznawcze, albo jak lepiej leczyć pacjentów. Ostatecznie jednak wszyscy chcemy po prostu lepiej zrozumieć działanie mózgu. Musimy wspólnie wypracować i podejście, i narzędzia, takie jak atlas czy symulacje.

Badanie czegoś tak złożonego jak ludzki mózg wymaga połączenia sił. Przekracza możliwości jednej grupy, jednego instytutu, a nawet jednego kraju. Stąd pomysł na flagowy projekt gromadzący ludzi z różnych państw, dyscyplin i kultur. Stworzyliśmy w Europie infrastrukturę badawczą, która może pomóc innym badaczom odpowiadać na kolejne pytania.

Dlaczego zainteresowała się Pani badaniami mózgu?

Od początku, jeszcze od czasu studiów, fascynowała mnie architektura komórek. Pamiętam, że oglądałam preparaty z wycinkami mózgów rozwijających się dzieci, dorosłych czy tkanek dotkniętych schorzeniami. Chciałam zrozumieć, jak struktury z tych wycinków związane są z funkcjami wypełnianymi przez mózg.

Architektura komórek to temat, który jest analizowany od ponad stu lat. Od samego początku tych badań opierano się na hipotezie, że architektura mówi nam coś o połączeniach obszarów mózgu, ale też o ich funkcjach. To była hipoteza, która leżała u podstaw prac słynnego badacza mózgu z początku XX w., Korbiniana Brodmanna, ale też prac Cécile i Oskara Vogtów, na cześć których nazwano w Düsseldorfie instytut, którym obecnie kieruję. Punktem wyjścia dla mnie była jednak fascynacja architekturą mózgu i przekonanie, że jej lepsze poznanie pozwoli mi lepiej zrozumieć, jak działa mózg i dlaczego w pewnych sytuacjach nie działa prawidłowo.

Pani zdaniem mózg jest piękny?

Tak, o architekturze mózgu można mówić w kategoriach piękna. Ja jestem anatomem, fascynuje mnie więc jej porządek i struktura, ale ma ona też dużą wartość estetyczną.

Jeśli spojrzymy w przeszłość, na ostatnią dekadę badań nad mózgiem, to jakie były największe odkrycia, których dokonaliśmy? Co nas zaskoczyło?

Odpowiedzi na te pytania mogłyby wypełnić program całej konferencji naukowej. Dla mnie kluczowe jest to, że nauczyliśmy się łącznie traktować różne aspekty organizacji mózgu. Żeby zrozumieć jego mechanizmy i funkcje, musimy patrzeć na strukturę i funkcjonowanie mózgu szeroko, z wielu różnych perspektyw. Human Brain Project był w znacznym stopniu pionierskim badaniem tego rodzaju. Neuronauka, z pokawałkowanego pola badawczego, składającego się z wielu, wielu dziedzin często działających w częściowej izolacji, zmieniła się w coś o wiele bardziej zintegrowanego. Kiedy odkrywamy, że mamy do czynienia ze zmianami na poziomie molekularnym, możemy pytać, co oznaczają one na poziomie komórkowym albo na poziomie przekazywania sygnału do innych komórek aż do np. aktywacji mięśni, które pozwalają nam ruszyć palcem.

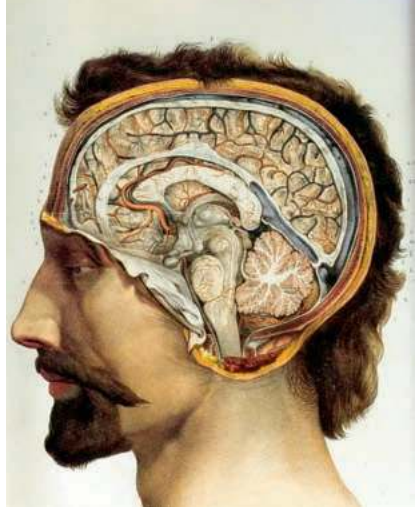

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Mózg działa w różnych skalach przestrzennych i czasowych.
Od cząsteczek, przez komórki, małe sieci komórek, wielkie sieci, po mózg jako całość, a także element ludzkiego ciała.

W ciągu ostatniej dekady zrobiliśmy też postępy na polu symulacji. Kiedyś działały na poziomie komórek, dziś jesteśmy w stanie symulować funkcjonowanie znacznych obszarów mózgu. Dziesięć lat temu nie mieliśmy tak rozwiniętych metod głębokiego uczenia, albo raczej było to jedno z wielu narzędzi. Tymczasem dziś jest jednym z kluczowych narzędzi w naszych rękach i, co więcej, odkrycia neuronaukowe dotyczące struktury mózgu przekładają się na jego rozwój. Spodziewam się, że wkrótce zobaczymy na tym polu jeszcze większy postęp, że zamiast stosunkowo prostej struktury programów takich jak ChatGPT zobaczymy sztuczne sieci neuronowe inspirowane biologią i zasadami rządzącymi funkcjonowaniem ludzkiego mózgu.

Trudno byłoby w tej rozmowie uciec od wielkich pytań. Bo w końcu badania nad mózgiem to badania nad tym, kim jesteśmy jako ludzie. Jak blisko jesteśmy odpowiedzi np. na to, skąd bierze się świadomość?

To jedno z najbardziej fundamentalnych pytań, jakie sobie zadajemy. Opracowaliśmy narzędzia opisujące ją na poziomie matematycznym czy na poziomie praktycznych pomiarów. To ważne nie tylko ze względu na filozoficzną wagę tego pytania, ale także ze względu na potrzeby medycyny mózgu. Bo pytanie o świadomość jest bardzo praktyczne z medycznego punktu widzenia. Musimy wiedzieć, jak podchodzić do tej kwestii, by pomóc ludziom znajdującym się w głębokiej śpiączce czy cierpiących na inne zaburzenia świadomości. W ciągu ostatnich lat dokonaliśmy w ramach Human Brain Project istotnych postępów na tym polu. Mamy zaawansowane metody pozwalające mierzyć to, czy pacjenci, którzy nie reagują na bodźce, są w rzeczywistości świadomi i postrzegają swoje otoczenie.

Zrozumienie tego, co czyni nas ludźmi, jest niezwykle trudne i niezwykle istotne. Wykracza też poza samą neuronaukę. Potrzebujemy w tym celu psychologów poznawczych, filozofów, etyków, fizyków i informatyków, ale też wkładu całego społeczeństwa. Odpowiedź na te fundamentalne pytania nie należy tylko do nas, ale jako neuronaukowcy możemy pomóc zapewnić tej debacie naukowe podstawy. Tak, by ta dyskusja była oparta na twardej wiedzy, a nie jedynie na spekulacjach. Najważniejszym zadaniem, jakie przed nami stoi, jest jednak to, by nasze badania pomogły poprawić stan zdrowia i jakość życia pacjentów oraz rozwiązywać praktyczne problemy.

Przenieśmy się na koniec o pięć lat w przyszłość. Co chciałaby Pani wtedy wiedzieć, czego nie wiemy jeszcze dzisiaj?

Chciałabym móc sformułować prosty zestaw zasad rządzących tym, jak elementy mózgu łączą się ze sobą. Chciałabym mieć ukończony szczegółowy atlas, pokazujący strukturę mózgu i rdzenia kręgowego z rozdzielczością do pojedynczej komórki. I chciałabym, by nasze badania przełożyły się na medycynę i pomagały pacjentom cierpiącym z powodu chronicznego bólu, parkinsona czy innych schorzeń.

© Rozmawiał MICHAŁ GIKOWSKI

TP WRAZ Z NASTĘPNYM WYDANIEM „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Katalog Copernicus Festival 2023: KOSMOS

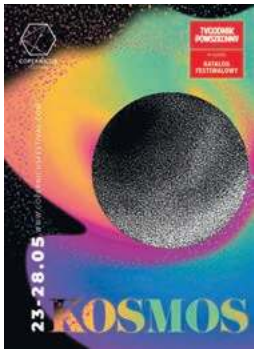

- Jak zmieniał się nasz obraz świata pod wpływem nowych odkryć? Z ilu cząstek elementarnych składa się materia? Czy we wszechświecie jest miejsce zarówno na chaos, jak i porządek?

- Szukamy najbardziej skomplikowanych struktur we wszechświecie i fundamentów wiedzy. Przyglądamy się średniowiecznym rękopisom i planetom przyjaznym życiu.

- Opisujemy nominacje w konkursie „Mądra Książka Roku”, rozmawiamy z gwiazdami festiwalu: astrobiologiem Davidem Grinspoonem i matematykiem Bernardem Carrem, a także prezentujemy program festiwalu.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

COPERNICUS FESTIVAL, 23-28 maja 2023

WWW.COPERNICUSFESTIVAL.COM

COPERNICUS FESTIVAL

OGŁOSZENIA

Postanowieniem z dnia 14 marca 2023 roku **Sąd Rejonowy w Chełmie** Wydział I Cywilny zezwolił wnioskodawcy Polskim Sieciom Elektroenergetycznym Spółce Akcyjnej w Konstancinie-Jeziornie na złożenie do depozytu sądowego kwoty 21 471,00 (dwadzieścia jeden tysięcy czterysta siedemdziesiąt jeden) złotych tytułem odszkodowania za szkody powstałe wskutek budowy dwutorowej linii elektroenergetycznej 400kV relacji Chełm-Lublin Systemowa, na nieruchomości o powierzchni 7,16 ha, oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 286, położonej w obrębie Nowosiółki-Kolonia, gmina Chełm, powiat chełmski, oraz za zmniejszenie wartości powyższej nieruchomości, w związku z budową przez Polskie Sieci Elektroenergetyczne S.A. w Konstancinie-Jeziornie dwutorowej linii elektroenergetycznej 400kV relacji Chełm-Lublin Systemowa, ustalonego decyzją Starosty Chełmskiego z dnia 20 lipca 2022 roku znak GKN.683.2.4.2022, ostateczną z dniem 23 sierpnia 2022 roku, z zastrzeżeniem, że wypłata tej kwoty nastąpić ma na rzecz uprawnionego wierzyciela, który wykaże się tytułem prawnym do nieruchomości.

Wobec powyższego Sąd Rejonowy w Chełmie Wydział I Cywilny wzywa wierzycieli, którzy wykażą się tytułem prawnym do nieruchomości o powierzchni 7,16 ha, oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 286, położonej w obrębie Nowosiółki-Kolonia, gmina Chełm, powiat chełmski, do odbioru zdeponowanej kwoty.

Jednocześnie poucza, iż z zgodnie z art. 4 ust. 2 ustawy z dnia 18 października 2006 roku o likwidacji niepodjętych depozytów (Dz.U. Nr 2008 r., poz. 1537 ze zm.) w zw. z art. 118a ust. 3 oraz w zw. z art. 124a ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 roku o gospodarce nieruchomościami (Dz.U.2021.1899 t.j. z dnia 2021.10.21) ostateczny termin do odbioru depozytu wynosi 10 lat od dnia doręczenia uprawnionemu wezwania do odbioru lub wezwania, o którym mowa w art. 6 ust. 5 cyt. wyżej ustawy.

Bezskuteczny upływ terminu do odbioru depozytu zgodnie z dyspozycją art. 9 w zw. z art. 4 ust. 2 ustawy z dnia 18 października 2006 roku o likwidacji niepodjętych depozytów skutkować będzie natomiast likwidacją depozytu z mocy prawa i przejściem zdeponowanych środków finansowych na rzecz Skarbu Państwa.

W Sądzie Rejonowym w Tychach Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 112/23, toczy się sprawa o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Moroz, s. Jerzego i Anny, mającym ostatnie miejsce stałego pobytu w Jarosławiu, zm. 9 stycznia 1996 r. w Jarosławiu. W skład spadku wchodzi udział w nieruchomości gruntowej położonej w Jarosławiu przy ul. Pełkińskiej, oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 1247/2, dla której Sąd Rejonowy w Jarosławiu prowadzi księgę wieczystą nr PR1J/00012417/7. Zawód spadkodawcy nie jest znany.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Tychach i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygnaturą akt I Ns 429/22 toczy się postępowanie z wniosku Żenaty Różyckiej z uczestnictwem Kingi Kusal, Ilony Warzyckiej, Mateusza Warzyckiego, Waldemara Pyłki, Wiktorii Olko, Gminy Gorzyce, Skarbu Państwa – Starosty Tarnobrzeskiego o uwłaszczenie nieruchomości położonych w Zalesiu Gorzyckim, obręb 0007 Zalesie Gorzyckie, powiat tarnobrzeski, województwo podkarpackie, stanowiących działki o numerach ewidencyjnych: nr 74 o pow. 0,3907 ha, nr 77 o pow. 0,1025 ha, nr 78 o pow. 0,0869 ha, nr 79/1 o pow. 2,5916 ha, nr 86/3 o pow. 4,7608 ha, nr 292 o pow. 0,5161 ha, nr 349 o pow. 0,7666 ha.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi uwłaszczenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

JACEK

Podsiadło:
Siły nacisku w szatkownicy do twarogu

Po dziś dzień w obliczu absurdów politycznych, biurokratycznych czy ekonomicznych mawiamy, że „tego Bareja by nie wymyślił". Ale też Bareja nie wymyślał, on tylko wyciągał na pierwszy plan i pokazywał w pełnym świetle bzdury, którymi stał PRL. Uporczywie wracam do tamtego świata m.in. po to, aby umożliwić nowym pokoleniom oglądanie Barei ze zrozumieniem. Szkoda by było, gdyby tyle udanych dowcipów się zmarnowało.

W „Poszukiwanym, poszukiwanej" Jerzy Dobrowolski, pamiętny „z zawodu dyrektor", wyjaśnia żonie niuanse racjonalizacji w cementowni („można było na papierze wyliczyć, ile takie oszczędności przynoszą deficytu"). W „Zmiennikach" scenie skakania po szynie towarzyszy komentarz: „Przywieźli nam szyny, ciut krzywe, no i tramwaje wylatują z torowiska. To jeden taki racjonalizator z dyrekcji wymyślił, że można je odgiąć przy pomocy sił nacisku. No to umysłowi w czynie społecznym od rana odgięli dobre pół centymetra". Kultowy jest już dialog w „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz":

„– Ja uważam, że klucz od magazynku podręcznego to trzech mogłoby odbierać w zasadzie, a nie cała komisja.

– No właśnie, a nawet dwóch, bo jeden drugiego skontroluje przecież, a klucz i tak odbiorą.

– Słusznie! Zgłoście to na oddział, wykorzystają to, to jeszcze premię dostaniecie".

Niewątpliwą zdobyczą socjalizmu było wynalezienie wynalazku wielokrotnego. Chodziło o stosowanie nowatorskich rozwiązań na tyle niepraktycznych, żeby w przyszłości można było odkrywać nieznane, drzemiące w nich możliwości. Gazeta huty w Ostrowcu „Walczymy o Stal", należąca do moich ulubionych tak z przyczyn merytorycznych, jak i osobistych, w artykule z 1964 r. „Poprawiła się gospodarka rękawicami" wywracała na nice dotychczasowe wyobrażenia robotnika o tychże. „Rękawice powinny być całkowicie wykorzystane i to obustronnie, przed wydaniem następnej pary" – napominano. Że rękawice całkowicie wykorzystane to rękawice zdarte i dziurawe, tym nikt sobie głowy nie zawracał. Podobnie było z odkryciem możliwości zwężenia o 15 proc. standardowej szerokości rolki papieru toaletowego. Albo z odkryciem nigdy nie wdrożonej do produkcji „zapałki dwuzapalnej", z siarką na obu końcach.

Zbigniew Kasechube odkrył, że dwa końce ma także furmanka. Dzięki temu wynalazł dwutrakcyjny samowyładowawczy wóz konny ZK-2. Od furmanki różnił się tym, że konia można by było doń podpiąć – gdyby wóz ZK-2 wdrożono do produkcji – z obu stron. „Przyjechał do nas, bo pragnie skonstruować sadzarkę do ziemniaków, a przy okazji zainteresował się całą litanią spraw technicznych. Próbował np. na miejscu rozwiązać trudny u nas problem kopcowania ziemniaków" – mówił o Kasechubem mgr inż. Albin Szopa z Pracowni Upowszechniania w Instytucie Ziemniaka w Boninie. Nie wiem, po co ziemniakowi upowszechnianie, ale nie wymyślam tych nazw, sprawdźcie sobie w „Perspektywach" nr 3/1973.

Inaczej niż na Zachodzie, gdzie wynalazków dokonywano przypadkiem, wskutek olśnienia sygnalizowanego okrzykiem „Eureka!", u nas wynajdowanie wynalazków było skutkiem planowej i przemyślanej działalności na tym polu. „Głos Instalatora", czyli organ Organizacji Partyjnej Zjednoczenia Instalacji Sanitarnych w Radomiu donosił, iż „Komórka wynalazczości przy ZIS Radom 30 czerwca o godz. 12.35 zameldowała o wykonaniu planu wynalazczości na rok 1954". Wynalazki nasze w odróżnieniu od zachodnich były niezawodne, co dawało się dostrzec gołym okiem. W filmie „Kierunek – Nowa Huta!" Łapicki sczytuje tekst Międzyrzeckiego: „Racjonalizatorzy nie próżnują. Oto doczepiony do parowozu pług, który wyładowuje ziemię z wagonów. Twórcą tego usprawnienia jest racjonalizator Karczewski. Dzięki inicjatywie Karczewskiego trzej ludzie wykonują przez 18 minut to samo, co dawniej stu ludzi robiło w ciągu trzech i pół godziny!". Widzimy, jak dwóch ludzi gapi się, jak pług Karczewskiego ciągnięty przez parowóz spycha ziemię z wielkiej platformy na tory, skąd po odjeździe ekipy filmowej stu ludzi będzie ją wybierać łopatami przez trzy dni.

Dzięki „Wiadomościom Urzędu Patentowego" opublikowanym anno domini 1952 wiem, że w jednym tylko roku Józef Jednacz wynalazł ramkę do przytrzymywania brudnopisów przy maszynie do pisania, Mieczysław Rawdo tablice do obliczania szybkości pociągu od 5 do 100 km/godz. za pomocą zegarka, a Ignacy Musor przystawkę z gryzem górnym do gryzarki z gryzem dolnym, pozwalającą na równoczesne wykonywanie płetwy i wpustu w oskrzyni stołu okrągłego. Leon Fajtek dostosował mechaniczną szatkownicę kapusty do przecierania twarogu na kazeinę, Anna Śmietana opatentowała zastosowanie pięciu noży do maszyny do krajania dorszów, Albert Georg zaś zużytkowanie nieużywanych etykiet czekoladowych po drugostronnym nadrukowaniu etykiet cukierkowych i nalepek kontrolnych.

Zwiedzającym Krajową Wystawę Wynalazczości i Postępu Technicznego we Wrocławiu inż. Maślankowi i tow. Ogórkowi (nie wymyślam tych nazwisk, sprawdźcie „Głos Racjonalizatora" z 10 września 1954) zadano pytanie: „jakie wrażenie wywarła na Was Wystawa i dlaczego warto ją zwiedzić". Odpowiadając, inż. Maślanek podkreślił, że „w Polsce Ludowej decyduje o powodzeniu usprawnienia nie posiadany dyplom, lecz rozum autora", a tow. Ogórek wyznał, że wskutek oglądania wystawy odkrył rozum u siebie samego: „już w najbliższym czasie złożę trzy nowe wnioski i będę propagatorem wynalazczości na swoim terenie". ©

KULTURA

SKOKI CIŚNIENIA

RYSZARD KOZIOŁEK:

W literaturze tkwi witalność i energia istnienia, które wbrew wiedzy o naszej kondycji mówi życiu: tak, jesteś dobre!

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Wziąłeś udział w spisie powszechnym?
RYSZARD KOZIOŁEK: Wziąłem.

Co wpisałeś w rubryce: narodowość?
Polska.

To zaskoczenie: sądziłam, że śląska.
A w rubryce wyznanie: luterańskie. Czuję się Polakiem z korzeniami wczepionymi przez 20 lat w ziemię cieszyńską. I tam już zostaną. Co nie przeczy faktowi, że od ponad 30 lat żyję i pracuję na Górnym Śląsku, i ta część Polski obchodzi mnie najbardziej. Jednak istotny składnik mojej tożsamości niewiele ma wspólnego z terytorium fizycznym. Raczej powstał z czegoś, co nie leży na żadnej mapie.

Gdzie więc leży?
To ojczyzna z duchowego powietrza. Lub dom w chmurze, jakbyśmy dziś powiedzieli, ponieważ wypełnia go literatura, do której z czasem dołączyła humanistyka jako refleksja o językowych tworach człowieka.

Początkowo, jak wszystkich w naszej szkole, literatura Mickiewicza i Sienkiewicza miała mnie uformować w dość jednorodnego Polaka. I nieźle jej szło, bo to jest bardzo dobrze napisane. Za mniej ważne uznawałem krainę domową, czyli kilka wsi pod Beskidami, które znałem, krajobraz, gwarę, no i luteranizm, który słabo pasował do katolicyzmu dominującego w obowiązkowej literaturze. Dalej zdrada już tylko postępowała. Ale w pewnym momencie zaczyna cię uwierać fakt, że porzucasz to, co jest ci najbliższe, co znasz najlepiej, co cię ulepiło...

Jak to się dzieje?
Czytasz ważnych autorów, słuchasz mądrych profesorów, lecz oni nie mówią nic o twoim świecie. Tęsknisz do uniwersalności, uczysz się kongresowych języków, starasz się biegle opanować światowe teorie, aby stać się obywatelem humanistycznej chmury. Dopiero kiedy zmądrzejesz, zaczynasz pojmować, że cała ta praca ma sens, jeśli doprowadzi cię do powrotu do tego, co porzuciłeś.

Kiedy zmądrzałeś?
Kiedy na polonistyce spotkałem Stefana Szymutkę, właściwie jedynego nauczyciela, u którego świadomie chciałem się uczyć, którego sobie wybrałem. I on mnie zmusił do konfrontacji obu krain. Przystawił mi do oczu to, co chciałem sobie amputować. Oczywiście nie zajmował się mną, robił to na sobie, a ja długo się tylko przyglądałem z fascynacją i lękiem, bo to było całkowicie odmienne od typowej edukacji polonistycznej. Oraz żarliwe, radykalne. Stefan walczył w swoim pisaniu i nauczaniu o to, aby zaczęły ze sobą rozmawiać wielkie postacie światowej humanistyki z jego ziomkami z górniczych Mysłowic – Martin Heidegger z ciotką Cilą.

Ryszard Koziołek, Katowice, kwiecień 2023 r.

GRAŻYNA MAKARA

Udawało mu się?

Choć ciotka nie miała szansy nic powiedzieć wielkiemu filozofowi, to Stefan postanowił go zmusić, żeby jej słuchał w inscenizowanej rozmowie. Wiedza o życiu i mądrości ludzi, wśród których dorastał i żył, czyniła go zakładnikiem tej „krainy bez logosu", jak nazywał Górny Śląsk, czyli świata, który nie potrafi siebie opowiedzieć. Stefan powtarzał nam, że jeśli wielka humanistyka nie jest w stanie pomóc nam w rozumieniu i wyrażeniu tego, co nie ma swojego własnego języka, a co jest nam najbliższe, to ona jest diabła warta.

Jest?

Wcale nie jest proste pracować z tekstem, aby dajmy na to „Na Zachodzie bez zmian" Remarque'a analizować jako konstrukcję doświadczenia przez młodego żołnierza koszmaru I wojny światowej, a równocześnie uchylać tą książką nieznane doświadczenia mojego dziadka, uczestnika kolejnej wojny, tyle że nie w polskich szeregach.

Tylko w Wehrmachcie?

W rodzinie to było tabu przykryte płaszczem lęku ugruntowanego przez stalinowskie represje. Nałożyły się kolejne warstwy wielu lęków – przymusowego wcielania Ślązaków do niemieckiej armii, strachu przed śmiercią lub kalectwem, a po powrocie strachu przed denazyfikacją. Dochodziły do tego takie paradoksy, że mężczyźni z jednej rodziny byli po obu stronach walczących o Monte Cassino. I ta przynależność do Wehrmachtu albo armii Andersa na obu mogła sprowadzić komunistyczne więzienie i przesłuchania. Stąd oczywisty przymus milczenia, a jego strażniczkami były zwłaszcza kobiety, które pilnowały, aby wiedza o ojcach i dziadkach nie trafiła do dzieci. U nas w domu obowiązywała wersja, że dziadek był na robotach w Niemczech.

Jaki był?

Najłagodniejszy człowiek, jakiego znałem. Był stolarzem i czułość, z jaką trzymał w dłoniach ↦

RYSZARD KOZIOŁEK jest profesorem w Instytucie Literaturoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego, od 2020 r. rektorem. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego". W 2010 r. otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia w kategorii „Eseistyka" za książkę „Ciała Sienkiewicza". W 2016 r. jego zbiór esejów „Dobrze się myśli literaturą" został uhonorowany Śląskim Wawrzynem Literackim. Nakładem wydawnictwa Czarne ukazała się właśnie jego najnowsza książka: „Czytać, dużo czytać".

↦ kawałek drewna, nie pozwalała pomyśleć, że mógłby komuś zrobić krzywdę, nie mówiąc o zadawaniu śmierci. Więc kiedy jako dzieciak znalazłem na strychu legitymację wojskową z jego zdjęciem w furażerce z wroną, nie chciałem uwierzyć, że to on. Otworzyłem ją i natychmiast zamknąłem. To był rozbłysk przerażenia, że to, co najbliższe, jest tak bardzo obce. Dziadek umarł, a ja mu nie postawiłem elementarnych pytań: gdzie byłeś, co widziałeś, jak tam było?

To powszechne zaniechanie.

Dlatego nie należy redukować tego, co „nie pasuje", do teorii czy założonego obrazu. Zwłaszcza tego, co stawia opór, milczy, wymyka się rozumieniu, nazywaniu, akceptacji. A Szymutko miał właśnie na tym punkcie obsesję, rzetelność uznawał za fundamentalne zobowiązanie intelektualne, któremu trzeba sprostać nawet za cenę porażki lub śmieszności.

Śmieszności?

Ona wynika z gotowości bycia niemodnym, nie na czasie, niespójnym ideowo. Stefan był niesłychanie nieufny wobec słowa wyrafinowanego, nawet tego starannego i precyzyjnego. Z uporem podejrzewał piękno o kłamstwo. Preferował więc to, co nieatrakcyjne i skomplikowane, co męczy i odstręcza. Przez pewien czas szedłem tym samym tropem, stąd moja, ale przejęta od niego, fascynacja Teodorem Parnickim.

Jak się ma do tego Twoja fascynacja pisarstwem Jerzego Pilcha – mistrza urodziwej frazy?

Moja relacja ze Stefanem przypominała tę biblijną: Jakuba z Aniołem. Kiedy sobie to uświadomiłem, zacząłem walczyć, nie tyle z nim, co o siebie. Spod wpływu tak silnego nauczyciela musisz się wydobyć, inaczej nigdy nie odważysz się myśleć i mówić samodzielnie.

Coraz mocniej ciągnęło mnie do miejsca, gdzie sztuka i jej komentowanie porzucają krytykę dla afirmacji. Słowo zniewalające urodą i energią reprezentuje tragiczny związek z życiem. W fenomenie literatury, tym pawim ogonie mowy, tkwi witalność i energia istnienia, które wbrew lub mimo wiedzy o naszej kondycji i jej kresie mówi życiu: tak, jesteś dobre! Tę energię widzę i czuję we frazie Hrabala, Schulza, Pilcha...

▪ **Ciała Sienkiewicza. Studia o płci i przemocy,**
Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego 2009
Pisarstwo Henryka Sienkiewicza pokazane poprzez zmysły. Autor łączy dociekliwość badacza i finezję eseisty – z niebywałą lekkością dociera do najgłębszych pokładów znaczeń. Jest tu o śmiechu, przemocy, witalności, pożądaniu. Książka uhonorowana w roku 2010 Nagrodą Literacką Gdynia w kategorii Eseistyka.

▪ **Znakowanie trawy albo praktyki filologii,**
Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego 2011
Powroty do twórców dawnych – Prusa, Konopnickiej, Boya, Brzozowskiego, Leśmiana, Tuwima – i nowe interpretacje utworów znanych, wydawałoby się, doskonale, zachęcające, by odkryć je na nowo. A obok – erudycyjne eseje o charakterze introspekcyjnym, w których diagnozuje rolę badacza literatury i literaturoznawstwa.

▪ **Dobrze się myśli literaturą,**
Czarne 2016
„Literatura to jedyne sny, których nie śnimy samotnie" – pisze Koziołek i udowadnia to każdym akapitem tej książki. Przywołuje pisarzy z przeszłości i współczesności, m.in. Prusa, Kraszewskiego, Twardocha, Bieńczyka, Karpowicza, Stasiuka, Springera. Dostajemy fascynujący popis intelektualnej odwagi, w równym stopniu poświęcony pożytkom płynącym z dobrej literatury, co i dobrego myślenia.

Z Pilchem łączy Cię jeszcze wspólnota doświadczenia?

Pamiętasz ten fragment Pilcha o zimnych, nieogrzanych luterskich domach? To właśnie ten fenomen pisarstwa umiejącego nazwać szereg jednostkowych doświadczeń, które znajdują wspólny wyraz. I to tak skuteczny, że człowiek mówi: „No tak, tak jest, tak było! Lepiej bym tego nie wyraził". Zazdrość mnie bierze, kiedy Pilch wyciąga „mojego" księdza Lasotę, z jaworzańskiej parafii, do której należałem, i przypomina jego genialne kazania pogrzebowe, te słynne fragmenty: „Bądź zdrów" – skierowane do nieboszczyka albo lament: „Śmierci okrutna! Czemuś zabrała brata naszego? Czemuś nie poszła do domu sąsiada?". Nikt z nas, luteranów pamiętających Lasotę, nie potrafił tak o nim opowiedzieć. A dzięki prozie Pilcha heretycka mniejszość chrześcijańska na południu Polski, żyjąca dziwnymi obyczajami nieznanego plemienia, stała się dobrem czytających Polaków.

W Twoim domu czytało się Biblię?

Tak, co prawda nie wspólnie, ale presja, żeby czytać samodzielnie, była silna. Babka Hela, surowa ewangeliczka, czytała codziennie rano na głos i dawała do zrozumienia, że wszyscy w domu też powinni. Pastorzy mówili na szkółce niedzielnej, na lekcjach religii, w kościele, a zwłaszcza podczas przygotowania do konfirmacji, że to najważniejszy obowiązek luteranina. No więc czytałem. I myślę, że to nie był zły nawyk, gdyż systematyczne czytanie Biblii to dobre wprowadzenie do czytania w ogóle.

Właściwie czemu?

Umysł ćwiczy się w dziwnym słownictwie i w niecodziennej składni. A zarazem to bezcenne obcowanie z wieloma gatunkami literackimi, z których utkana jest Biblia. Tu kosmogonia Genesis, tam liryka Pieśni nad Pieśniami, tu epika Ksiąg Machabejskich, tam poezja Psalmów, tu rydwany faraona wpadają w morze, tam ogień pustoszy Sodomę, a deszcz zalewa Ziemię. Umysł dziecka czytającego Biblię dostaje niebywałą pożywkę dla wyobraźni; znajduje w niej prototypy opowieści, które później spotka w kinie katastroficznym, w horrorze czy w literaturze fantasy. Nie wiem, czy Heli o taką lekturę Biblii przez jej wnuka chodziło, ale nic nie mogła poradzić.

Twoja biblioteka?

Kształtowana przez skromny księgozbiór mojego taty – technika budowy płatowców. Dominowały w nim dwa zbiory książek. Pierwszy zawierał relacje o losach polskich lotników na Zachodzie w czasie II wojny światowej – Bohdan Arct, Arkady Fiedler, Janusz Meissner, klasyka tematu. Pozostałe dwie półki zajmował Józef Ignacy Kraszewski. Pomiędzy nimi „Trylogia", „Pamiętnik znaleziony w Saragossie", „Soból i panna", „Podróż do Matecumbe" i inne, których już nie pamiętam. Nie-

mniej przeczytałem wszystkie, niektóre, jak „Na podbój kontynentu", kilka razy. Całość tworzyła raczej chaotyczny zbiór lektur. Konsekwencje odczułem na pierwszym roku polonistyki, gdzie spotkałem koleżanki i kolegów po dobrych liceach, którzy mieli przeczytanego Kasprowicza, Tetmajera, Herberta, ale nie mieli żadnego szacunku dla „Cyrku Skalskiego" czy „L jak Lucy". Mimo zawstydzenia nie wyrzekłem się tych autorów, choć przymuszony na studiach do czytania chronologicznego polskiej literatury mordowałem się z tym okropnie.

Nadal się mordujesz?

Tak, choć tłumaczę to sobie wymogami profesjonalnymi. Niemniej co jakiś czas ożywa we mnie chłopak sprzed ojcowskiej biblioteczki, w której sąsiadują książki i autorzy niemający z sobą nic wspólnego. W tych kaprysach lektury chyba po raz pierwszy objawiła mi się wolność czytania. W szkole czy na religii kazali czytać jedno, a tu mogłem, co chciałem. Żadnego kanonu, spisu lektur, listy arcydzieł itp. Drugi wymiar tej wolności polegał na możliwości bycia kimś innym i gdzie indziej. Dzięki książkom miałem poczucie, że jestem w Paryżu w 1644 roku z D'Artagnanem, na lotnisku Northolt ze Skalskim w 1942, a ze Stachurą współcześnie u Potęgowej na Kujawach. Nawet zabawy z kumplami na podwórku, piłka nożna i narty nie dawały mi tego poczucia swobody, co literatura.

A Twoja obecna podręczna biblioteka?

Ciągle w ruchu. Uwielbiam stan czytania kilku książek jednocześnie, stąd w naszym mieszkaniu książki nie spoczywają grzecznie na półkach, ale wędrują po pokojach, meblach, parapetach. Szafka nocna ugina się pod nowościami, których się wszystkich nie przeczyta, ale chce się choć kilka stron spróbować przed snem. Od jakiegoś czasu jest więcej poezji, ponieważ fantazjuję o książce o wierszach. Właściwie nie tyle o wierszach, co o pogoni za wypowiedzią doskonałą, którą jest konkretny wiersz, a czasem wers lub kilka.

Poezja też w sypialni?

Ale i w toalecie niemało. Zwłaszcza moja ulubiona żółta celofanowa seria PIW-owska, jeden z pomników edytorskich rodzimej sztuki wydawniczej.

▪ **Wiele tytułów,**
Czarne 2019
Kolejny tom esejów – nie tylko o literaturze. Refleksje o humanistach-sygnalistach i ich roli we współczesności, studia o „Lalce" i „Chłopach", „Ćwiczenia z wyobraźni teologicznej" i trochę autobiografii. Bowiem, jak pisze autor, „Śląsk to forma życia". A „życie codzienne traktowane jako forma oporu przed kosmicznym bałaganem nabiera egzystencjalnej powagi".

▪ **Czytać, dużo czytać!**
Czarne 2023
Autor niestrudzenie i żarliwie dowodzi, że książka to najlepszy wynalazek człowieka. Analizuje światy przedstawione, m.in. Olgi Tokarczuk i Jerzego Pilcha. Ale też w przewrotny sposób przygląda się popkulturze, zwracając uwagę na moc opowieści płynącej z seriali – pochłaniaczy czasu, także tego przeznaczonego dotąd na czytanie. ©

No wiesz, wpadasz do toalety na jeden wiersz...

Gdzie jeszcze?

Dobre miejsce jest też w kuchni na parapecie. To książki śniadaniowe głównie, trochę bezpańskie, które nie znajdą może stałego miejsca na naszych regałach i pójdą dalej, do innych czytelników – reportaże i biografie. Obecnie popijam herbatę przy opowieściach Piotra Kępińskiego o Abruzji, na zmianę z „Burzą i zwierciadłem" Krzysztofa Mrowcewicza – łotrzykowską powieścią w listach o spotkaniu Daniela Naborowskiego z Szekspirem. Zmorą są książki wyjęte z półek na potrzeby zajęć ze studentami. Co tydzień inny zestaw, który – jeśli nie zostanie z powrotem odłożony – potęguje ten drukowany chaos.

Przykład?

Na wykład o śmiechu potrzebowałem Baudelaire'a, Bergsona, Boya, Freuda, Fredrę, Haška, Hellera, Kunderę, Montaigne'a, Mrożka, Rabelais'go... Wyjmuje się łatwo, odkładanie jest koszmarne. Niemniej ten niekończący się proces sprawia, że książki są dotykane, kartkowane, oznaczane kolorowymi karteczkami, zaginane i kreślone. Ten księgozbiór jest głównie roboczy, powstał wszak z połączenia niewielkich zbiorów dwojga polonistów, Krystyny, mojej żony, i mojego, a potem gwałtownie przyrastał do kilku tysięcy tomów, co nie jest jakąś oszałamiającą liczbą. Ominęły mnie obsesje bibliofilskie, nie tropię szczególnych wydań. Lubię te, które są mocne i dużo zniosą, czyli – kieszenie, torby, podróże. Książki traktuję praktycznie, bez specjalnej celebry, jako przedmioty codziennego użytku, które powinny dobrze leżeć w ręce i być przyjazne dla oczu.

Co musi być w książce nieznanego autora, byś po nią sięgnął?

Teraz czytam „Pawilon małych ssaków" Patryka Pufelskiego. Usłyszałem od kogoś, że czytając tę książkę robi się człowiekowi dobrze. A to dla mnie intrygująca rekomendacja i ważna rola czytania; ten proces przemiany człowieka w czytelnika. No więc sprawdzam, jak działa...

Inna książka, która „robi dobrze"?

„Śmierć pięknych saren" Oty Pavla, książka niezmiennie zachwycająca i zadziwiająca. Sam jej temat nie jest przecież kojący ani wyłącznie sielski, bo są w niej strata, tęsknota, zdrada, wojna. No i jeszcze autor, sam chory, często przebywający w zakładzie psychiatrycznym, potrafił stworzyć literaturę, która czaruje grozę i zmienia ją chwilowo w niemal sielankę. To mnie zachwyca.

Co jeszcze?

Największe olśnienie tą sztuką przyniosły mi książki W.G. Sebalda. W moim późnym życiu czytelnika chyba żadna twórczość tak mnie nie poruszyła. Kiedy przeczytałem „Austerlitza", doznałem poczucia, że stoję wobec literatury, której istnienia nie podejrzewałem, tzn. nie wiedziałem, że można w ten sposób pisać prozę o Zagładzie. Sebald nasączył świat smutkiem, który Zagłada nieodwracalnie wprowadziła w historię powszechną. Nie tylko ludzką, ale także zwierząt i rzeczy. Piękno i mądrość tej literatury udzieliły mi się niczym królewski dar, oszałamiający bogactwem.

A co z klasykami? Pisarstwu Twojego ukochanego Sienkiewicza dziś zarzuca się klasizm, rasizm, seksizm.

Podnosi mi się ciśnienie, gdy zabrania się czegoś czytać. To jakby ktoś ↦

↦ pozbawiał mnie ostatniego obszaru jednostkowej wolności – wolności świata wewnętrznego. Z tej perspektywy literatura jest jednym z najgenialniejszych wynalazków człowieka, który pozwala nam ćwiczyć się w symulowaniu istnień innych niż nasze jedno. I w stosunkowo bezpieczny sposób wyobrażać sobie to, czego robić nie chcemy; co bywa niesprawiedliwe, krzywdzące, ale pozwala się nam z „tym" skonfrontować.

Literatura jest bezpieczna? A fatwa i zamach na Rushdiego za „Szatańskie wersety"?

To już ma niewiele wspólnego z literaturą, to jest „policja myśli" w terrorystycznym wydaniu. Nie chodzi bowiem o zakaz wydania takiej czy innej książki, ale o to, aby nikt nie odważył się pomyśleć, a tym bardziej przeżyć tego, co zostało w niej napisane. To próba wdarcia się i kontrolowania ostatniej może niepodległej sfery człowieka, jakimi są nasze niewyjawiane myśli i uczucia.

Ale nawet jeśli to, co czytamy, próbuje nas skaptować do zła czy niegodziwości, to usuwając takie książki pozbawimy się możliwości pracy krytycznej czy poprzez edukację, czy rozmowę, czy samoświadomość. Jest taki wspaniały fragment w „Jądrze ciemności" Conrada, w którym Marlow przyznaje, że głos dziczy go wabi; że odczuwa pokusę porzucenia wszelkich norm, jak Kurtz. Ale wtedy sobie uświadamia, że on też ma głos, którym może stawić opór. Ćwiczenie się w odnajdywaniu własnego głosu to ważny aspekt czytania literatury, która manipuluje naszymi umysłami, jak żaden inny dyskurs.

Chcesz powiedzieć, że rasistowskie opowieści mogą sprawiać przyjemność?

No pewnie, że mogą, niestety. Najprostszy wizerunek białego mężczyzny na słoniu z karabinem w ręce to sugestywny obraz kolonialnego panowania. Ale właśnie ta fantazmatyczna przyjemność płynąca z potencjalnej identyfikacji czytelnika z postacią jest drogą do ćwiczenia krytycznego i moralnego; do budowania świadomego wewnętrznego oporu wobec tego, co bezmyślnie pociągające. Chcę wierzyć, że takie ćwiczenia z fikcji skutkują mądrzejszymi zachowaniami w świecie realnym.

Czytanie Biblii to dobre wprowadzenie do czytania w ogóle. Umysł ćwiczy się w dziwnym słownictwie i niecodziennej składni. **Dziecko dostaje niebywałą pożywkę dla wyobraźni.**

Czyli racji nie miała Rebecca Solnit w eseju „Mężczyźni objaśniają mi »Lolitę«", podnosząc kwestię, że nie powinno się celebrować formalnego kunsztu tej powieści, skoro Nabokov bohaterem uczynił mężczyznę, który przez kilka lat systematycznie gwałcił dziecko?

Literatura dla dorosłych jest dla dorosłych, czyli dla czytelników, którzy wiedzą, że świat nie jest miłym miejscem, a ludzie są zdolni do zła w każdej postaci. Wiedzą też, że choć czytają o wyczynach homeryckich czy sienkiewiczowskich zabójców lub towarzyszą mrocznym eksperymentom de Sade'a lub Bataille'a, to nie oznacza, że robią lub zrobią to samo w rzeczywistości. Przeciwnie: zło, które dobrze mówi lub pisze, tym bardziej powinno się uważnie studiować i trenować ów „formalny kunszt", który pedofila przemienia w tragicznego kochanka lub wręcz w ofiarę prowokacji dziecka. I nie chodzi tu o celebrację kunsztu, ale badanie, jak to jest możliwe, że nie widzimy tam gwałtu. A w każdym razie nie od razu. Od niemoralnej literatury o wiele bardziej boję się niemoralnych instytucji, które posiadają nieskończenie większą moc kreowania i ukrywania zła niż słowa w książkach.

I pochwalasz seriale, widząc w nich najbardziej rozpowszechnioną formę narracyjną.

Widzę w nich też sojusznika literatury. Te najlepsze z nich dają do myślenia nie gorzej niż dobra książka. Tyle że, w przeciwieństwie do książki, trzeba sobie te obrazy przetłumaczyć na słowa, żeby myślenie miało pożytek z oglądania.

To znaczy?

Z dużym zainteresowaniem oglądam kolejny sezon „Sukcesji", gdzie nie ma dobrych, wszyscy próbują się wykiwać, kwitnie cynizm i nielojalność, a wulgarność języka nie bardzo pasuje do jej pierwowzoru, „Króla Leara". Ale właśnie ta wulgarność dialogów przyciągnęła moją uwagę. Czemu oni tak potwornie przeklinają? Bo są tak zablokowani w swoich emocjach, niepewności i lęku, że nie potrafią zbudować jednego dłuższego zdania. Emocjonalne zapętlenie może przełamać wyłącznie przekleństwo – jedyna werbalna ekspresja uczuć, na jaką potrafią się zdobyć.

Ten serial pozwolił mi inaczej spojrzeć na obecność wulgaryzmów w mowie potocznej, w skali wcześniej nie do pomyślenia. Coraz częściej obserwujemy kłopoty z formułowaniem poprawnej, dłuższej wypowiedzi. I tu się z tobą zgadzam, czytanie literatury ćwiczy nas w tej sztuce nieporównanie lepiej niż jakikolwiek serial.

Przekleństwa Strajku Kobiet były innego rzędu? Czemu właściwie?

Tam przekleństwo przyszło po długich próbach rzeczowej rozmowy, która została odrzucona lub zlekceważona. Przekleństwo wyraża wtedy gniew w obliczu niesprawiedliwości i komunikuje, że wyczerpał się kulturalny dyskurs; okazał się on nieskuteczny, więc epoka grzeczności na jakiś czas dobiegła końca.

I może być tylko ostrzej?

Oby nie, bo to katastrofa polityki demokratycznej, w której rozmowa, dyskusja, spór stanowią fundament rozstrzygania konfliktów. Zaniedbaliśmy edukację w jej funkcji przygotowywania dzieci i młodych ludzi do rozmowy publicznej z tymi, którzy nie podzielają naszych przekonań. To szkoła powinna być wprowadzeniem do demokracji, a w niej szczególnie czytanie książek i rozmowa o nich, co z kolei prowadzi do refleksji o tym, co muszę i co mogę zrobić, aby pokojowo żyć z innymi.

Spis lektur to zawsze edukacyjny przymus, ale sposób ich czytania należy już do sfery czytelniczej niepodległości. Podobnie jak to, co sami wybieramy do lektury. Wszystko jedno, czy na tę niepodległość chce wpłynąć cenzura instytucjonalna czy środowiskowa, to sama próba porządkowania mojej biblioteki – rugowania lub uzupełniania określonych książek – jest nie do zaakceptowania. Niepodległość myślenia wynika z niepodległości czytania.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Bard zakazanej miłości

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Tęczowa starość też bywa polityczna. Zaświadczył o tym Lluís Llach, autor pierwowzoru „Murów" Jacka Kaczmarskiego i najwybitniejszy pieśniarz kataloński, który 7 maja skończył 75 lat.

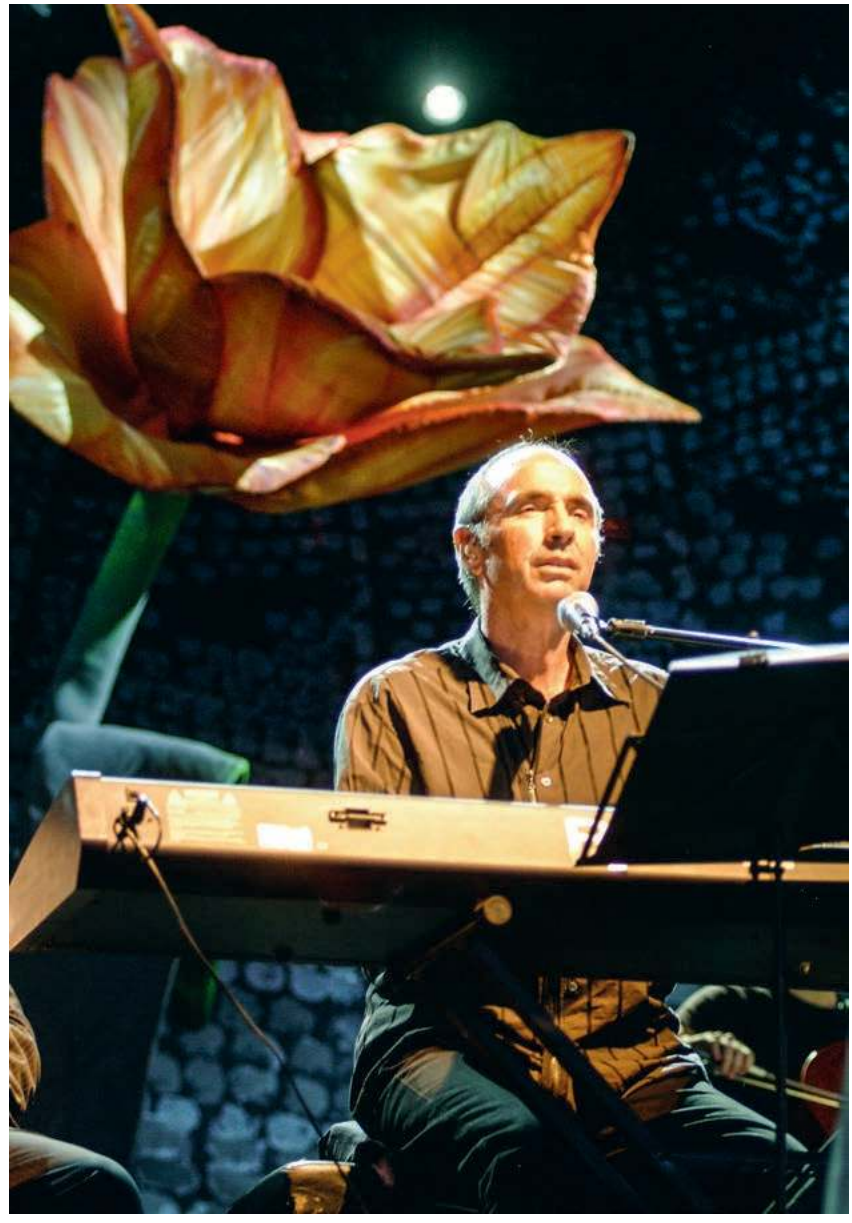

MAREK LAPIS / FORUM

Lluís Llach na koncercie z okazji 50. rocznicy Poznańskiego Czerwca '56. Poznań, 7 lipca 2006 r.

„To moja najbardziej polityczna piosenka" – takie słowa wypowiedział Lluís Llach 3 lipca 2006 r. w rozmowie z Jarosławem Gugałą, który tego dnia prowadził jako tłumacz koncert Katalończyka w Poznaniu. Czy legendarny pieśniarz i lewicowy nacjonalista miał na myśli słynną balladę „L'estaca" (Pal), na bazie której Kaczmarski stworzył swoje „Mury"? A może oskarżycielskie „Respon-me" (Odpowiedz mi), otwierające sławny album koncertowy Llacha „Barcelona. Gener de 1976" z jego pierwszego występu w ojczyźnie po śmierci generała Franco, kiedy to można było wreszcie bez skrępowania cenzurą śpiewać wszystko i w dodatku po katalońsku, w języku dotąd spychanym na margines? Czy też kpiarską, satyryczną „La gallineta" (Kura) o przedstawicielce drobiu, która nie godzi się na terror masowej produkcji jajczarskiej i samczą dominację?

Porachunki

Żadna z tych ani wielu innych jego piosenek, podchwytywanych przez zrewoltowanych Katalończyków i domagających się demokracji Hiszpanów, śpiewanych chóralnie na koncertach, nie miała dla Llacha tak wielkiego znaczenia, jak pewna przejmująca i piękna ballada o starym człowieku siedzącym w nadmorskiej karczmie i rozmyślającym gorzko nad utraconą młodością. „A la taverna del mar", kunsztowna kompozycja fortepianowa do słów będących adaptacją wiersza Konstandinosa Kawafisa „Stary człowiek".

Bohater wiersza siedzi samotnie przy stoliku kawiarni i czyta gazetę. „Nikt go do siebie nie prosi" – pisze Kawafis (przekład Zygmunta Kubiaka). „Pragnienia odepchnięte, radości zniszczone, / poświęcone rozkosze, lata utracone / szydzą teraz okrutnie z przezorności marnej". Jakże ustawić te słowa obok śpiewanych przez Llacha rozpraw z reżimem, dławiącą cenzurą, krępującymi strażnikami granic ludzkiej wolności? Z wezwaniami do czynnego protestu na ulicach i do wiary w jutrzenkę swobody?

Lluís Llach w wieku 19 lat wstąpił do grupy artystycznej Els Setze Jutges (Szesnastu Sędziów), złożonej z pieśniarzy i poetów katalońskich domagających się tworzenia utworów komentujących aktualną rzeczywistość w języku narodowym, na co frankistowska dyktatura najpierw nie zezwalała wcale, a z czasem dopuściła jedynie w bardzo ograniczonym, niszowym zakresie. Llach był najmłodszym Sędzią, ale szybko okazał się najwybitniejszym.

Jego rok później napisana ballada „L'estaca", o tym, że pal, do którego jesteśmy uwiązani jak owce na pastwisku, gnije od środka i wystarczy wspólny wysiłek, by się odeń wyzwolić, stała się rychło hymnem demokratycznej młodzieży całej Hiszpanii, a z czasem zyskała sławę też we Francji, głównie za sprawą ↦

↦ emigrantów. Sam Llach najpierw ukarany został zakazem koncertów wykonywanych po katalońsku (czyli jakichkolwiek, bo po hiszpańsku śpiewać nie zamierzał), a w 1971 r. zmuszony do wyjazdu na północ, do Paryża, skąd z rzadka robił wypady artystyczne do ojczyzny. Pomimo zapisów i gróźb, a może i za ich sprawą, stał się w wieku dwudziestu kilku lat pieśniarzem-legendą.

Potwierdził swój status w styczniu 1976 r., gdy przez trzy dni dawał koncerty w Miejskim Pałacu Sportów w oddychającej już swobodniej Barcelonie. Dyktator przewracał się w grobie, gdy tysiące gardeł śpiewały słowa buntu w języku, który usiłował zepchnąć do rangi dialektu.

28-letni Lluís miał jednak głębsze porachunki z reżimem i państwem. Był nie tylko młody, a więc z pokolenia, które chciało radykalnie zerwać z zastanym modelem życia społecznego. Był nie tylko Katalończykiem, a więc reprezentantem narodu, któremu centrala odmawiała prawa do samoekspresji. Był również gejem. A to nie tylko w konserwatywnej Hiszpanii, ale i w samej Katalonii czyniło go osobą traktowaną co najmniej z dystansem, jeśli nie ostracyzmem i szyderczym potępieniem.

EAST NEWS

Lluís Llach i Quico Pi de la Serra. Barcelona, styczeń 1976 r.

Wyznaj teraz

Pierwszą płytą studyjną, jaką Llach wydał w postfrankistowskiej Hiszpanii, był album „Campanades a morts" z wiosny 1977 r. Tytułowa suita (Dzwony żałobne) to rozpisane na orkiestrę, chór i solistę wściekłe requiem poświęcone pamięci młodych demonstrantów baskijskich, których policja zabiła 3 marca 1976 r., gdy schronili się w kościele św. Franciszka z Asyżu w mieście Gasteiz, wówczas znanym głównie pod hiszpańską nazwą Vitoria. Drugą stronę płyty otwierają zaś i zamykają piosenki o zakazanej miłości.

Pierwsza z nich to właśnie „W karczmie nad morzem", przejmujący obraz człowieka, który odmawiał sobie życia w zgodzie z własną naturą, ponieważ nakazywała mu to roztropność – by u schyłku drogi zdać sobie sprawę z wielkiego oszustwa, jakim to jego życie było. Śpiewając zaadaptowane słowa Kawafisa, również geja, Llach portretował Hiszpanię LGBT, która często musiała uciekać w erotyczną hipokryzję i odmawiać sobie spełnienia nawet w sferze intymnej, gorzkniejąc i tracąc mijające bezpowrotnie lata kwitnienia.

Frankistowskie ustawy z lat 1944, 1954 i 1963 określały homoseksualizm jako zagrożenie dla społeczeństwa i równały go ze stręczycielstwem. W 1970 r. wprowadzono karę trzech lat więzienia za jednopłciowy stosunek miłosny. Osoby homoseksualne, przede wszystkim mężczyźni, kierowane były do *galerías de invertidos* (galerii zboczeńców) w ramach resocjalizacji bądź „leczenia" psychiatrycznego, co oznaczało izolację. Tym większą, że i w łonie opozycji demokratycznej heteroseksualiści nie dostrzegali tego dodatkowego aspektu zniewolenia. Pozostawały albo życie w zakłamaniu, albo seksualne podziemie.

I o tym z kolei mówi subtelna ballada wieńcząca tę płytę, „Cançó d'amor" (Piosenka o miłości). Llach mówi tam o języku ezopowym, do którego przez lata musiał się uciekać, gdy sam opiewał swoje uniesienia miłosne: „chcę wam coś wytłumaczyć: / w tylu piosenkach już / prawdę skrywałem pod / grą słów, pozorem znaczeń (...) / I opowiem wam, jak / z naszych ciał prawo chce / stworzyć kłamstwo perfidne (...) / I opowiem o tych, / którym w więzieniach ciał / skrępowano pragnienia, / tylko gdy spłynie mrok, / gdy osłonę śle noc, / znajdą słodycz spełnienia (...) / Właśnie dlatego czas / bym to wprost wyznał teraz".

Łatwo sobie wyobrazić, jakie znaczenie dla mieszkających w Hiszpanii osób LGBTQ miał fakt, że jeden z najwybitniejszych w kraju twórców piosenek niemal otwarcie śpiewa o niespełnieniu wskutek drakońskich praw, dyskryminacji społecznej. Niemal, bo nadal posługuje się peryfrazami, pisząc o kłamstwie tworzonym z ciał lub o czasie straconym na życie bez rozkoszy. Ale kto miał wiedzieć, to wiedział – i raczej nie było tajemnicą, jacy ludzie i jakie emocje kryją się pod słowami Kawafisa i Llacha.

Przypomnę – „A la taverna del mar" i „Cançó d'amor" ukazały się na rynku hiszpańskim, gdy państwem nadal rządzili pogrobowcy frankizmu i całe społeczeństwo dopiero uczyło się na nowo wolności i demokracji, utraconych czterdzieści lat wcześniej. To tak, jakby w Polsce jedna z największych gwiazd piosenki autorskiej wydała na płycie swój *coming out* w 1991 r. – zaledwie kilka lat po milicyjnej akcji „Hiacynt" i półtora roku po Okrągłym Stole, przy którym o prawach LGBT nikt nie wspomniał chyba nawet w myślach.

Początki

W Polsce w 1991 r. oficjalnie ukazała się piosenka „Derwisz" Maanamu z tekstem Kamila Sipowicza, portretującym bohatera szalejącego z miłości do chłopca o twarzy sokoła. Maanam grywał „Derwisza" na żywo już dwanaście lat wcześniej, ale nie był to czas na branżowe imprimatur.

O jednopłciowych zalotach opowiadały piosenki „Więcej sexu!" efemerycznego zespołu Zoo z Robertem Janowskim (tekst podpisany jest nazwiskiem Anity Markowskiej) z 1984 r. oraz nieco wcześniejsze „Dla zasady nie ma sprawy" Perfectu z tekstem Bogdana Olewicza. Rzecz w tym, że obydwie sytuowały opisywane wydarzenia w nieco prześmiewczej scenerii –

szczególnie ta druga mogłaby znaleźć się w repertuarze niezbyt lotnego kabaretu.

Bliższy przełamywania tabu i kreślenia swoistego dramatu był zespół Rezerwat, który w 1986 r. na podwójnym albumie singlowym „Zaopiekuj się mną" umieścił piosenkę „Boję się" z tekstem Andrzeja Adamiaka i Andrzeja Senara, którą można było odczytywać jako rzewną spowiedź osoby biseksualnej.

Przełom ustrojowy sprawił, że w 1990 r. do głosu na scenie doszedł Sławek Starosta, już wówczas aktywnie działający na rzecz emancypacji polskich homoseksualistów. W duecie Balkan Electrique nawoływał do używania prezerwatyw: „żebyś znów kiedyś kochał, nie zabijał / bo miłość to siła" („Kochaj, nie zabijaj"), a kilka lat później w piosence „Jutro" wspominał nocną przygodę: „czy uwierzysz, że kochałem już wszystkich / oprócz ciebie?". Jednak na polskiej scenie wydawał się odosobniony.

Mur milczenia rozbijał Kazik, już to w 1994 r., śpiewając z Kazikiem na Żywo „Mama prosiła" w brutalnie bezpośredni sposób o fizycznej tęsknocie młodego geja („Przypominam sobie, patrząc w jej oczy małe / gdy ci ssałem, a potem mnie od tyłu brałeś"), już to trzy lata potem z Kultem „Maciek, ja tylko żartowałem" („Kochałem setki innych facetów / z tobą to jednak nie to"). Maria Peszek dopiero w 2016 r. zrelacjonowała tragicznie zakończoną historię zakazanej miłości lesbijskiej w piosence „Jak pistolet" („Dwie dziewczyny / miłość, wiesz / K. i P. lat siedemnaście / fajne laski, ale les"), a pięć lat później wsparła społeczność LGBTQ singlem Virunga („pocięli nam twarze, spalili nam serca / LGBT, LGBT (...) / las zamknięty do odwołania / zabrania się marzyć i nie ma kochania").

Staszewski i Peszek to nazwiska z pierwszej ligi. Są to jednak postacie z drugiej strony, empatyzujące, piętnujące dyskryminację, ale niejako z zewnątrz.

Czy dziś, 36 lat po zakończeniu akcji „Hiacynt", doczekaliśmy się piosenkowych coming outów? Wydaje się, że to kwestia dopiero ostatnich lat.

W 2019 r. Iwona Skwarek z duetu Rebeka opowiedziała o swojej miłości w obliczu otaczającej ją nieakceptacji w piosence „Pocałunek" („Tyle lat się boję pocałować / ją na ulicy"). Dwa lata później utworem „Miłość" ostatecznie zdjął maskę Andrzej Piaseczny („nikt nie może się bać swej miłości"). Osobnym wydarzeniem był dwupłytowy album „Music 4 Queers & Queens" wydany przez Kayax w 2020 r., wspierający obchodzony na świecie Miesiąc Dumy społeczności LGBTQA – na płycie pojawiają się również artystki i artyści śpiewający tam o sobie.

> Dziś wciąż spotykam się ze zdziwieniem ludzi na wieść o tym, że **„Mury" śpiewane w internatach i podczas manifestacji** to piosenka z dalekiej Katalonii. Sam Llach ogłosił w 2006 r., że nam ją oddaje.

Dorobek to jednak mizerny w porównaniu z tym, co miała i ma do zaoferowania hiszpańska scena muzyczna. W połowie lat 80. mniej lub bardziej otwarcie o relacjach homoerotycznych i związkach jednopłciowych śpiewały popularne zespoły Alaska y Dinarama („¿A quién le importa?" – Kogo to obchodzi, rok 1986) czy Mecano („Mujer contra mujer" – Kobieta przeciw kobiecie, rok 1986) tudzież piosenkarz i aktor Miguel Bosé („Amante bandido" – Kochanek bandyta, rok 1984). W kolejnej dekadzie już tworzono listy przebojów LGBTQ, a temat dawno przestał szokować.

Trudno się jednak dziwić – w końcu Hiszpania to ojczyzna Federica García Lorki, męczennika zabitego także za swoją seksualność, ojczyzna Pedra Almodóvara, który nieheteronormatywność podniósł z międzynarodowym sukcesem do rangi stylu. Poza tym przemiana ustrojowa w Hiszpanii była naprawdę przemianą kulturową i obyczajową – tam tradycjonalistyczne społeczeństwo z wolna musiało ustępować coraz więcej pola ludziom optującym także za wolnością wyboru obiektu miłości. W Polsce tymczasem przełom roku 1989 uwolnił siły, którym zależy na ciaśniejszym dopięciu gorsetu. I siły te wciąż są u nas mocne, zaś niemal żadna formacja opozycyjna nie śmie tego tematu ruszać.

O tym waleniu głową w mur osób niehetero wymownie pisze Renata Lis w niedawno wydanej książce „Moja ukochana i ja". Wygląda na to, że nieprędko doczekamy się mainstreamowych piosenek polskich o miłości jednopłciowej.

Mury

Llach w 1968 r. na domowym pianinie ułożył prostą balladę na trzy czwarte, po latach śpiewaną w Europie, Azji i Ameryce na wiecach, strajkach, meczach i demonstracjach.

Najsłynniejsza piosenka Llacha, „L'estaca", bardzo szybko zaczęła rezonować w uszach i sercach nie tylko Katalończyków, ale i innych łaknących demokracji mieszkańców kraju – Hiszpanów, Basków, Galisyjczyków. Gdy cenzura zorientowała się, jaką siłę ma wyraźnie przeoczona przez nią piosenka, zakazała Llachowi wykonywania jej tekstu – ale śnieżna kula już się toczyła. Llach grał na koncertach melodię, a publiczność dośpiewywała proste, druzgocące słowa. „Sama melodia bez słów / niosła ze sobą starą treść"... Piosenka powoli zdobyła także Europę Zachodnią. Z czasem stała się hymnem francuskich kibiców, afgańskich feministek, greckich strajkujących, kubańskich opozycjonistów.

Pod koniec 1978 r. za sprawą grupy iberystów z Uniwersytetu Warszawskiego, w tym niżej podpisanego, piosenkę poznał Jacek Kaczmarski. Parę tygodni później napisał do melodii Llacha własną „Balladę o pieśni", będącą refleksją nad tym, co może zrobić tłum pod wpływem agitacyjnych piosenek. Zmienił przy tym tytułową metaforę pala na bliższy naszej bolesnej historii mur. Zachwycona siłą utworu publiczność wkrótce przemianowała go na „Mury" i... ignorowała pesymistyczny finał.

Dziś wciąż spotykam się ze zdziwieniem ludzi na wieść o tym, że nasze „Mury" śpiewane w internatach i podczas manifestacji to pierwotnie piosenka z dalekiej Katalonii. Sam Llach, zafascynowany polską karierą swojej ballady, w Poznaniu 3 lipca 2006 r. ogłosił, że nam ją oddaje, bo wie, że stała się elementem naszej tożsamości artystyczno-politycznej.

Najwyższy czas, by nauczył nas także odwagi i prostoty potrzebnych do wyrażania własnej tożsamości seksualnej. By te i ci z nas, którzy tego potrzebują, mogli „to wprost wyznać teraz".

© FILIP ŁOBODZIŃSKI

Święty dym

ANITA PIOTROWSKA

Z tego filmu wychodzi się jak z sauny. A nagość, która z początku musi rzucać się w oczy, w pewnym momencie zostaje oswojona i staje się wręcz przeźroczysta.

MATERIAŁY PRASOWE MILLENIUM DOCS

Północna tradycja saunowania może być nieco szokująca dla przybysza z innej kultury, gdzie nagość w grupie bywa czymś wstydliwym. Zbyt często spotyka się z oceniającym czy seksualizującym spojrzeniem.

Tymczasem w niektórych krajach bałtyckich owe wilgotne miejsca, gdzie rozgrzewa się ciała, by hartować je potem w lodowatej wodzie, służą nie tylko poprawie samopoczucia czy ogólnej kondycji, ale i bliskim spotkaniom. A nawet przynoszą coś na kształt duchowego oczyszczenia. W południowej Estonii sauny dymne (nie mylić z parowymi) mają szczególny związek z kobiecością. Przez wieki, ze względu na korzystne warunki sanitarne, odbywały się w nich porody, rytuały uzdrawiające i pośmiertne obmywania ciał. Nic zatem dziwnego, że sauna z regionu Võrumaa została uznana za „niematerialne dziedzictwo kulturowe ludzkości" i wpisana na listę UNESCO.

Dla reżyserki Anny Hints zadymiona drewniana chatka to także bezpieczna przestrzeń, w której kobiety mogą mówić o tym, co na zewnątrz stanowi tabu. Szorują sobie nawzajem plecy, nacierają gruboziarnistą solą, polewają wodą, okładają się brzozowymi witkami. Bohaterki dokumentu „Siostrzeństwo świętej sauny" to kobiety w różnym wieku i z rozmaitymi doświadczeniami, ale łączy je jedno – chcą się nimi dzielić. Wraz z nagromadzonymi w organizmie toksynami pragną też wypocić z siebie rzeczy najbardziej wstydliwe i bolesne.

Kamera Antsa Tammika nie ma nic wspólnego z tzw. męskim spojrzeniem. Jest dyskretna, a zarazem bardzo intymna; czuła, ale znająca granice bliskości. W jego obiektywie nagie kobiece ciała są dalekie od doskonałości, ukazane bez wszechobecnego retuszu i jednocześnie piękne. Filmowane w zbliżeniu i światłocieniu, swobodną linią czy fakturą skóry przypominają fascynujące pejzaże. Nie zawsze jednak przypisuje się je do konkretnych twarzy, co reżyserka tak tłumaczyła w jednym z wywiadów: „W saunie dymnej pozostawiasz swoją tożsamość na zewnątrz, w przebieralni, razem z ubraniem. Jako że jest ciemno, czujesz obecność ciał, słyszysz czyjś głos, ale nie zawsze wiesz, kto mówi".

Ważne natomiast, co mówi i w jaki sposób. „Siostrzeństwo" to w dużej mierze film o sile opowieści jako pojedynczego zwierzenia i zarazem aktu wspólnototwórczego. Rozmawiają więc bohaterki, co to znaczy dzisiaj być kobietą. O tym, jak od dzieciństwa, również w najbliższym otoczeniu, próbowano im narzucać opresyjne wzorce związane z wyglądem. Jak ich ciała stawały się polem walki, bezkarnie eksploatowanym „zasobem naturalnym" i przedmiotem obsesyjnej kontroli. Jak uczyły się wsłuchiwać w swoje tłumione wcześniej uczucia i pragnienia, np. wobec drugiej kobiety.

I można by sporządzić długą listę poruszanych tutaj zagadnień: kult dziewictwa, menstruacja, poronienie, aborcja, mastektomia, przemoc domowa, gwałt... Tyle że nie odda ona tego, czym jest dokument Hints w samej swej istocie. Zamiast manifestu czy katalogu tematów do odhaczenia dostajemy seans iście autoterapeutyczny, i dla bohaterek, i dla widzów. Mówiąc najkrócej, z tego filmu wychodzi się jak z sauny. A nagość, która z początku musi rzucać się w oczy, w pewnym momencie zostaje oswojona i staje się wręcz przeźroczysta. Okazuje się też pojęciem dużo szerszym niż tylko fizyczne, bo można odnieść wrażenie, że dzięki niej wyłączają się na moment mechanizmy autocenzury czy posttraumatycznej blokady.

Twórcy potrafią sprawić, że i dla nas ów leśny szałas, w którym spotykają się filmowane kobiety, staje się miejscem przyjaznym i chciałoby się tam z nimi być. Wokół tej ciepłej, oddalonej od świata pieczary zmieniają się temperatury i pory roku, w środku zaś, mimo brutalności wielu z poruszanych wątków, jesteśmy poza linearnym czasem. Trwa jeden, niekończący się cykl życia. Stąd bohaterki, bez względu na metrykę, raz są dojrzałymi kobietami po przejściach, to znów beztroskimi dziewczynami, a czasem wiekowymi szeptuchami, które

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

SIOSTRZEŃSTWO ŚWIĘTEJ SAUNY *(Smoke Sauna Sisterhood/Savvusanna sõsarad) – reż. Anna Hints. Prod. Estonia/Francja/ /Islandia 2023. Film pokazywany jest w głównym konkursie 20. edycji festiwalu Millenium Docs Against Gravity (12-21 maja). Informacje o pokazach na stronie mdag.pl.*

Anna Hints to estońska reżyserka, która obok filmu, fotografii i literatury pasjonuje się lokalnym folklorem. Należy do eksperymentalnego tercetu kobiecego Eeter, zajmującego się tradycyjnym śpiewem. Wraz z islandzkim kompozytorem Eđvarđem Egilssonem stworzyli muzykę do „Siostrzeństwa świętej sauny", nagrodzonego za reżyserię na festiwalu Sundance.

w oparach dymu uwalniają jakąś tajemniczą wiedzę. Jednakże Hints zbyt szanuje indywidualne przeżycia ich wszystkich, by przykrywać je teraz jakąś białą czy czarną magią albo przekuwać je zbyt nachalnie w „uniwersalny obraz kobiecości".

Z pewnością takiej magicznej aury miała przydać bogata fonosfera filmu. Zresztą „Siostrzeństwo" jest nie tylko filmem o sztuce opowiadania, ale też o sztuce słuchania i uważnego wsłuchiwania się. Naturalne odgłosy sauny, śmiech, płacz, tradycyjne śpiewy, wśród których pobrzmiewa również głos estońskiej reżyserki, mają w sobie archetypiczną głębię – i łatwo było się w nią osunąć tracąc przy okazji trzeźwość spojrzenia. Na szczęście Hints w taką pułapkę nie wpada. Przejmujące świadectwa bohaterek i wrażliwość, z jaką są portretowane, chronią film zarówno przed sekciarskim nawiedzeniem, jak i przed zamianą w uproszczony kurs ciałopozytywności i samoakceptacji.

A gdyby ktoś upominał się o nieobecnych tu (przynajmniej fizycznie) mężczyzn, to przecież podobny film o nich już powstał, a mianowicie dokument „Para do życia" (2010) Joonasa Berghälla i Miki Hotakainena. Sauna parowa jawiła się tam niczym gabinet psychoterapeutyczny dla współczesnych Finów i miejsce, gdzie rodzi się autentyczne braterstwo. W „Siostrzeństwie świętej sauny" ma ona wymiar prywatny i nieomal sakralny, lecz odbywa się w niej także zbiorowe rozliczanie. Bo jeśli nawet coś takiego jak charakter narodowy bywa pojęciem naciąganym, bohaterki zdążyły poznać, czym jest panujący w ich ojczyźnie zimny chów, estońska powściągliwość i poradzieckie ślady w relacjach międzyludzkich.

W Polsce nie istnieje kultura sauny, korzysta się z niej sporadycznie i raczej bez wspomnianego wyżej duchowo-wspólnotowego pierwiastka. Dlatego trudno wyobrazić sobie, jak by wyglądał analogiczny film nakręcony u nas. Pojawiłby się też pewnie kulturowy problem z ukazaniem na ekranie nieupozowanej cielesności. Za to można się domyślić, jakie kobiece historie taki dokument by nam opowiadał i jakie wyśpiewywał traumy. ©

Lektor:
Lustro pana Geldberga

▪ *Ewa Lipska*
WARIACJE GELDBERGOWSKIE
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, ss. 54

Pan Geldberg (nie mylić z panem Goldbergiem, tym od Bacha, choć podobieństwo nazwisk trudno uznać za przypadkowe) jest kolejnym aktorem na scenie uniwersum pisarstwa Ewy Lipskiej. Uniwersum, w którym przegląda się nasz własny świat, ze swoimi nieśmiałymi nadziejami i paraliżującymi lękami, niepewnymi przeczuciami i obronnymi kłamstwami.

Pan Geldberg, bohater kolejnego już u Lipskiej cyklu próz poetyckich, to czułe medium, które godzi się eksperymentować na sobie samym, nawet zamrozić czasem własne myśli albo przymierzyć swój grób (niestety grób się nie dopina, jeszcze nie czas na wieczny odpoczynek), a przy tym nie żywi zbyt wielu złudzeń. „Wie, że geometria czasu jest jedyna i nieodwracalna. Dlatego wraca do siebie zawsze pod kątem prostym, bez melodramatycznych łez. Łzy służą mu wyłącznie do podlewania kwiatów". Chłodna precyzja jak w kompozycji muzycznej. „Geldberg obserwuje ławice martwych słów, płynące przez niezabezpieczone dzielnice historii, która jak scyzoryk: otwiera się, zamyka, rozcina na pół".

„Ewa Lipska patrzy okiem poezji i dlatego widzi trzeźwo – mówił Paweł Próchniak, gdy wręczaliśmy poetce Nagrodę Jerzego Turowicza. – Jej wiersze to często migawki – wyraziste, oszczędne, niemal sterylne, ale z głębią ostrości ustawioną na nieskończoność. I jeśli rzeczywiście mają w sobie coś z fotografii, to są to zdjęcia robione z uwzględnieniem podczerwieni. Dlatego jest w nich ta dziwna aura odrealnionej jawy – aura relacji na żywo z boleśnie realistycznego snu. Dlatego układają się w reportaż z czegoś, co dzieje się poza kadrem – w kulisach napuszonego teatru blichtru i blagi, którym żyjemy co dzień. To właśnie tam – w kurzu kulis, w ich półmroku – wydarza się nasze realne życie. Tam leży nasza prawdziwa ojczyzna – obawa, wahanie i żal".

Nasza prawdziwa ojczyzna... Więc na zakończenie jedna z „Wariacji...", do której nie mogę przestać wracać: „Na biurku stoi wypchany kraj. Kiedyś był żywy, miotał się, krzyczał, szczekał, deklamował, ostrzegał. Teraz jest wypchaną datą. Trupy faktów zlepione żywicą. Geldberg odkurza go od czasu do czasu. Potem siada w fotelu i patrzy w okno. Za oknem ogród, w którym rosną mumie i inne trofea władzy. Strażnicy garbują trawę. Nad nimi spadające giełdy galaktyk, które zapowiadają już nowy świat". ©℗

OLGA

Drenda:
Outsiderzy w dystansie społecznym

Na jednej z internetowych grup dla miłośników Bydgoszczy (biograficznie nic nie łączyło mnie z tym miastem, ale w pewnym momencie stało mi się ono bardzo drogie) przypomniano pewien żywy symbol miasta: tajemniczą panią Jadwigę, znaną jako „Kobieta z walizką". Elegancko ubrana, dystyngowana bydgoszczanka przemierzała z bagażem miasto albo siadała w kawiarni, czasem wymieniając kilka zdań z mieszkańcami, ale też konsekwentnie odmawiając pomocy bardziej zorganizowanej niż mała kwota „na krople do oczu". Zmarła w 2019 r., a współcześnie czasem pojawiają się głosy, by upamiętnić Kobietę z walizką – nie tylko jako osobę w mieście powszechnie kojarzoną, ale także jako memento, by pozostać wrażliwym na różne koleje losu i kruchość ludzkiej psychiki. Pani Jadwiga bowiem z pewnością chorowała, możliwe, że w następstwie jakichś tragicznych wydarzeń w jej życiu.

W innych miejscowościach również zapamiętywano takich ludzi symbole. Na początku tysiąclecia w Katowicach widywano ubranego na biało starszego mężczyznę, pana Stanisława, który gimnastykował się na rynku, a na szyi nosił woreczek z zawiniętym w folię zegarkiem; pisał o nim w jednej z książek Henryk Waniek. Legendą Wrocławia stał się Jasiu Pawie Oczko, słynący z przywłaszczania sobie cudzych piw poprzez moczenie w nich ręki. Byli to ludzie tajemniczy, o zagadkowych biografiach i niezbyt skłonni do opowiadania o sobie, jakby bez życiorysu, co sprawiało, że otoczenie odruchowo dopisywało do nich historie. Czy prawdziwe – niestety trudno powiedzieć, w jakim stopniu, gdyż wiele z nich przypominało opowieści znane, filmowe, a może wręcz melodramatyczne, często pojawiał się w nich wątek nagłej utraty całej rodziny. Bliscy pani Jadwigi mieli zginąć w drodze na wakacje (stąd walizka), a biały strój pana Stanisława prowokował do skojarzeń z medycyną – miał być kiedyś to utalentowanym studentem medycyny, to lekarzem, który przeżył dramat na sali operacyjnej. Historie, którymi obrastają mimowolnie outsiderzy, najwięcej mówią o standardowym społeczeństwie, które w swojej bezradności wobec kogoś radykalnie innego, nieprzewidywalnego, ratuje się, wpasowując go w znaną logikę mitu, legendy.

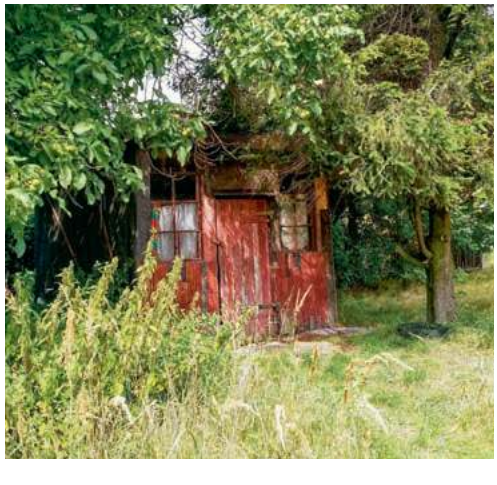

Sam, ale wśród innych.

OLGA DRENDA

Etnolog Andrzej Perzanowski w swoich badaniach nad odmiennością w małych społecznościach zauważył, że outsiderzy – choć żyli zgodnie ze swoją własną logiką i własnym wewnętrznym kodeksem – rozumieli jedną zasadę związaną z istnieniem w obrębie jakiejś grupy, nawet na jej peryferiach. Otóż należy budzić respekt: nieprzystępnością, tajemniczością, czasem opryskliwym albo nieprzewidywalnym sposobem bycia, ponieważ wtedy grupa nie wejdzie na głowę, nie skrzywdzi, nie wymusi. Ludzie symbole miast również funkcjonowali na zasadzie „nietykalnych": nikt nie ważył się ich zaatakować, bo zdecydowanie bronili swojej autonomii. Wbrew presji „normalności", uśrednienia, istnieli w publicznej przestrzeni i wymagali, by reszta liczyła się z obecnością ich – takich, jakimi są. Szczególnie ostro odmawiał stania się niewidzialnym Jasiu Pawie Oczko, który swoje wrodzone dysmorfie świadomie zmieniał w *show*, budząc zdumienie czy zakłopotanie obcych charakterystycznym wyglądem, ale też, jak wspominają świadkowie tamtych czasów, ostentacyjną radością życia.

Taki sposób funkcjonowania wymaga jednak odpowiedniego środowiska. Outsiderzy, których pamiętamy, ze swoją radykalną widocznością przebywali w miejscach, gdzie ludzie wchodzą ze sobą w interakcje, nawet pobieżne: na ulicy, w barze, na dworcu. Ich obecność wymagała stałej obecności innych: choć nie uczestniczyli w zestandaryzowanym życiu i szli drogą samotników, to jednocześnie swoje rytualne działania wykonywali wśród pozostałych, którzy z kolei zapamiętywali ich czy wymieniali na ich temat przemyślenia. Lockdowny i obowiązek zachowywania dystansu społecznego, ale też wszechobecne urządzenia elektroniczne zakłóciły ten obieg: sprawiły, że przeciętny przechodzień może mniej czujnie rozgląda się dookoła, mniej zapamiętuje, mniej chętnie wchodzi w interakcje, a może nawet rzadziej opuszcza dom. Wspólne środowisko rozluźnia się, rozmywa. Być może wszyscy stają się bardziej samotni *per saldo*, a outsiderzy jeszcze dotkliwiej. ©

PAWEŁ

Bravo:
Tarta z paradoksami

Trzy tysiące osiemset ulic, placów i parków od Szetlandów po Kornwalię gościło w zeszły weekend festyny na cześć koronacji C III R. Już same te nazwy miejsc pozwalają się domyślić, że niekoniecznie była to okazja, by się wygrzać w słoneczku wśród wyletnionych sąsiadów. A jednak ludziom się chciało, choćby dla apolitycznej przyjemności brykania po zazwyczaj zawalonej samochodami arterii – jak zauważał sceptyczny wobec monarchii „Guardian", ludzie odkryli, że w te dni wolno było prawie wszystko, byle owinąć pomysł we flagę.

Jedynym, co mi z uroczystej transmisji utkwiło, był obraz Penelope Mordaunt, przewodniczącej Izby Gmin, która bez widocznego wysiłku niesie przed królem miecz, najbardziej falliczny z możliwych symbol władzy. Również jej strój był przewrotnym komunikatem, choć wyglądał staroświecko. W swojej prostocie kontestował irytująco perfekcyjny przepych szat reszty uczestników tego spektaklu, a opaska na głowie, przekopiowana z XVII-wiecznych portretów, odsyłała nas do Elżbiety – tej pierwszej, z Tudorów – która naprawdę rządziła. Oto pierwszorzędny okaz do kolekcji paradoksów: mądry, pewny siebie, niehisteryczny konserwatyzm (nie mylić z naszą „prawicą") potrafi oswoić i wyartykułować głębokie zmiany ustroju i obyczaju, choćby niepozorowane zrównanie płci.

Paradoks drugi każe mi zazdrościć tych ulicznych bankietów, tych wszystkich ksobnych sytuacji wokół stołów, choć na owych stołach, powiem oględnie przez szacunek dla miłośników kanapki z ogórkiem, którzy w liczbie pięciu nas czytają, obyczaj każe umieszczać rzeczy mało apetyczne. Nawet potrawa specjalnie wybrana na ten dzień dla poddanych przez Pałac, *coronation quiche*, czyli tarta ze szpinakiem i bobem doprawiona estragonem, była równie nijaka jak sam nowy król. I tu piękny paradoks trzeci: przez fakt, że nie musi się kłaniać fobiom nacjonalistów, nieelekcyjna monarchia może sobie uroczyste danie określić obco brzmiącą, pożyczoną od Francuzów nazwą. Którzy to Francuzi zresztą wznieśli suwerenną wrzawę, że *quiche* jest tylko jedna, mianowicie lotaryńska z boczkiem.

Nam taka awantura nie grozi, nikomu by do głowy nie przyszło nazwać z francuska naleśników, które podawalibyśmy na patriotycznych bankietach, mianem „crepes Orła Białego". Jakie znowu naleśniki?! Otóż w trakcie łuskania bobu zrozumiałem, że za pomysłem tarty kryje się świetna socjotechnika: oto coś łatwego i z tanich surowców, dające pełną swobodę, jeśli chodzi o warianty wypełnienia, równie dobre także na zimno (nikt przecież pieca na ulicę nie wytoczy) i podzielne – a więc wspólnotowe. Wszystkie te cechy na polskim gruncie spełniają naleśniki – w każdym razie ja od godziny, gdy wstawiłem tartę koronacyjną do pieca, nie wymyśliłem lepszej potrawy na nasze uliczne festyny z okazji... no właśnie, z żadnej okazji: 3 maja został świętem kiełbasy z grilla, 11 listopada najwyżej zdążymy wznieść szybki toast zimową herbatą. No to może *per analogiam* uczcić ulicznymi naleśnikami zaprzysiężenie nowego prezydenta? Mamy ponad dwa lata, żeby się narodowo pożreć, jaki jest „prawdziwy" przepis na ciasto, jak należy „właściwie" je składać, a może rolować. I czy gdy zrobię z humusem, to tu będzie jeszcze Polska? Przepraszam, cofam pomysł, zapomnijmy o tym, idę wyjąć tartę, właśnie dochodzi i uśmiecha się do mnie zza szybki na żółto i na zielono. ©℗

Przepis na tartę koronacyjną ze strony royal.uk został prześwietlony w każdej rubryce kulinarnej świata anglosaskiego. Ze smutkiem stwierdzam, że prawie wszyscy bojkotowali zalecenie, by kruchy spód przygotować na smalcu (za to bez żółtka). A ja się o to pokusiłem i to jest jedyne, co mi się naprawdę spodobało. Smalec z dużych sklepów jest u nas fatalny – ale krakusy mogą dostać znakomity, z mangalicy, na węgierskim straganie na Kleparzu. A może ktoś z waszej rodziny jeszcze bije świnie? Trzeba tylko mniej więcej podwoić proporcje podane na stronie. Do 250 g mąki dodajemy szczyptę soli, łączymy pracując szybko czubkami palców z 50-60 g zimnego masła i 50 g smalcu, aż uzyskamy „piasek". Dodajemy po kolei 3 łyżki zimnego mleka, aż się nam utworzy zwarte ciasto. Owijamy w folię, chłodzimy przez pół godziny. Wykładamy na stół, wałkujemy (przez folię, bo się trochę maże) na placek średnicy ok. 25 cm, przekładamy na formę, wylepiamy brzegi, chłodzimy pół godziny. Kładziemy na ciasto arkusz papieru do pieczenia i obciążamy, pieczemy ok. kwadransa w 180 stopniach, ostrożnie zdejmujemy obciążniki i papier, nakłuwamy w paru miejscach widelcem i jeszcze podsuszamy parę minut. Ciasto z początku się łuszczy i trudno je kroić, ale po parunastu godzinach robi się cudownie zwarte, nie tracąc lekkiej piaskowej konsystencji. A królewskie nadzienie? Mdłe, pomimo sporego dodatku estragonu, jeśli chcecie sprawdzić, to dajcie koniecznie 3 jajka a nie 2, nieco mniej śmietanki i odciśnijcie bardzo mocno ugotowany szpinak (lub długo duście mrożony). Na naszej grupie facebookowej „Smaki" znajdziecie za to pomysły, które przy okazji quiche'owego wzmożenia podpatrzyłem i popróbowałem.

PAWEŁ BRAVO

WIELKA UCIECZKA

Choć czytelnicy, którym dane było odkryć jej prozę, byli zachwyceni, krytycy ją ignorowali. „Odrębność" – słowo, które dobrze brzmi w biografiach – potrafi nieźle utrudnić życie.

BEATA CHOMĄTOWSKA

EVE ARNOLD / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Trudno uwierzyć, że w Polsce zapomniano o niej na blisko dwie dekady, choć miała przecież opinię „pisarki dla wtajemniczonych". Jednej z tych, których nazwiska przyjaciele przekazują sobie z entuzjastycznym: „Znasz? To koniecznie przeczytaj".

Ale tak nie zdobywa się szerszego rozgłosu. Zbiór opowiadań „Czarna Wenus" w brawurowym przekładzie Aleksandry Ambros, wydany na początku stulecia jeszcze w Czytelnikowej serii Nike, zniknął co prawda w okamgnieniu z półek, ale cisza wokół Angeli Carter trwała. Nie przerwało jej nawet późniejsze wznowienie w 2009 r. „Mądrych dzieci", przewrotnej historii o dwóch 75-letnich bliźniaczkach – tancerkach kabaretowych, którym bynajmniej nieśpieszno na emeryturę.

Możliwe, że powody były prozaiczne: kurczenie się działów kultury w codziennej prasie i zasilany przez wydawców kult nowości wśród promotorów literatury w mediach społecznościowych. Kto się skusił, ten łapał bakcyla, ale głód Carter dawało się zaspokoić tylko z drugiej ręki. Albo w oryginale. Dzięki temu niektórzy rodzimi autorzy mogli czerpać z jej dorobku pełnymi garściami, nie przyznając się do inspiracji. Kilka powieści, jak „The Infernal Desire Machines of Doctor Hoffmann" czy „The Passion of New Eve", wciąż czeka na polski przekład. Ale do księgarń trafia właśnie kolejny wybór opowiadań, tłumaczonych tym razem przez Magdę Heydel. A skoro szanse na sprzedaż zwiększają dziś hasła takie jak: ekologia, płeć, kobiecość, radykalizm, camp czy ludowość, można żywić jeszcze nadzieję na przełom.

Sprawdźmy daty: tak, Carter była tam wcześniej od innych. Była pierwsza.

FANTAZJA | Na zdjęciu z okładki „Pięknej córki kata", z szopą potarganych włosów, przypomina młodą Kate Bush i coś chyba w tym jest poza złudzeniem czysto fizycznego podobieństwa (trudno dopatrzeć się go na innych fotografiach). Głos, który w pierwszej chwili zdaje się dziwaczny, może nawet odpycha, lecz nie do pomylenia z innymi. Plus fantastyczne imaginarium, w którym przeplatają się przetworzone po swojemu motywy z folkloru, mitów i literackiej klasyki.

Opowieść o Angeli Carter można też zacząć tak: żyła, jak chciała, i pisała po swojemu, odkąd strząsnęła z siebie kokon utkany przez obsesyjnie nadopiekuńczą matkę. Jedenastoletniej Angeli nie wolno iść samej do toalety, bo neurotyczna gospodyni domowa z londyńskiego Balham drży, że coś się córeczce przytrafi. Nastolatka załatwia się więc i kąpie przy otwartych drzwiach. Świat jest najeżony niebezpieczeństwami. Można zabić się na kostce mydła, zakrztusić kanapką albo złapać śmiertelnego wirusa z zagłówka w miejskim autobusie (by zapobiec tej ewentualności, pani Sophia Olive nosi ze sobą świeżo uprane chustki i rozściela je za córką, nim ta zajmie miejsce na siedzeniu). Ale może też wybuchnąć wojna nuklearna, czego matka Angeli (urodzonej w 1940 r. podczas bombardowań Londynu) boi się najbardziej.

Takie otoczenie to koszmar, lecz też rozsadnik kształtującej się wyobraźni. Podsyca ją babcia, bo nikt inny niż babcie nie opowiada lepiej baśni i różnych niesamowitych historii. Jedynym wyjściem dla dziecka zmuszonego znosić matczyne obsesje jest sus w głąb króliczej nory – wymyślanie sobie rzeczywistości, na którą chciałoby się zamienić tę przeżywaną. Angela więc od małości sama uczy się wymyślać i tak staje się w tym mistrzynią. Tworzy nawet fikcyjną biografię własnego dziadka, szeregowego żołnierza, z którego zrobiła awanturnika i rewolucjonistę. Co tam zresztą dziadek, przy okazji Carter wymyśla też siebie.

Jedyne, czego szczerze nienawidziła, to realizmu – jak wykrzyczy później już jako dorosła prosto w twarz innej autorce – tych wszystkich powieści, „w których ludzie popijają herbatkę i dopuszczają się cudzołóstwa". Może dlatego nie zazdrościła nigdy sukcesów konkurencji po piórze.

BUNT | Wyobraźnia wyobraźnią, lecz dziewczynka nieuchronnie dorasta. Gdy ma się matkę pokroju matki Angeli Carter, można na tym etapie oszaleć, spędzić resztę życia w domu z mamusią albo przy pierwszej okazji uciec, gdzie pieprz rośnie. Carter wybiera ostatnią opcję i choć może się wydawać, jakby w biegu ku wolności uwolniła się również od instynktu samozachowawczego, wręcz przeciwnie – teraz daje mu właśnie wyraz. Musi uwolnić się od persony, którą wyhodowała w niej mamusia, przekonać się sama, kim chce być, kim jest. Obronną tarczą staje się palenie, chudnięcie i moda lat 60. – minispódniczki dodają kobietom animuszu.

Pierwsze kroki kieruje do gabinetu dietetyka, który pomaga jej zrzucić nadmiarowe dziesięć kilogramów. Matka karmicielka wyrażała miłość, tucząc małą na potęgę, więc szkolni koledzy obrzucali ją niewybrednymi epitetami. Ze skrajności w skrajność – nabawia się anoreksji. Nie będzie opisywać realistycznie związanych z tym doświadczeń, przerabiając je na literaturę. Bardziej zajmują ją alternatywne wyobrażenia własnego ciała, jakim oddawała się dotąd, by nie widzieć w lustrze grubaski. Jej sukienki do pół uda, siatkowe rajstopy i sandały na koturnach będą odtąd wprawiać w apopleksję Sophię Olive, która wyłączała telewizor, ilekroć na ekranie pojawiali się rozwodnicy, choć z przekonań była socjalistką.

Ucieka najpierw do elitarnej szkoły (dostanie stypendium), a potem śladami ojca – w dziennikarstwo. Jest bardziej córeczką tatusia; to on przynosił jej z pracy długie arkusze papieru, które zapisywała wymyślonymi historiami. Podobno już jako sześciolatka stworzyła coś w rodzaju powieści, ale nie marzyło się jej zawodowstwo. Korzystając z ojcowskich koneksji, zatrudnia się jako reporterka w „Croydon Advertiser", lokalnej gazecie z południowego Londynu. Dziennikarstwo, przedsionek literatury, dla niej jest przede wszystkim podstawą samodzielności, bo pozwala zarobić na utrzymanie. Jest jedyną dziennikarką i najmłodszą kobietą w redakcji, pozostałe pracują jako recepcjonistki albo sekretarki.

Angela pisze dużo i chętnie. Z początku bezosobowym stylem, zmieni go na narrację w pierwszej osobie, żeby mieć pewność, że jej zapłacą. Później wiąże się z magazynem „New Society", który przedstawia się jako „kwestionujący sam siebie, antymetropolitalny, antywestminsterski, plotkarski, antyliteracki, humanitarny, racjonalny, niesnobistyczny". Pisuje reportaże, eseje, recenzje literackie, teksty o modzie (krytycy odkryją je dopiero w latach 90. – będą zaskoczeni jej erudycją). A także recenzje muzyczne, bo często chodzi ↦

Angela Carter, 1984 r. (obok) i 1980 r. (na s. 81).

↦ na koncerty – w końcu to swingujący Londyn. Tak poznaje producenta nagrań folkowych, z wykształcenia chemika, Paula Cartera.

Nauczyciele namawiają ją na uniwersytet, lecz gdy usłyszy od matki, że rodzice przeprowadzą się do Oksfordu, by być z nią bliżej, zamiast na studia ucieka w małżeństwo. Jak wiele innych kobiet – przed nią i po niej. Ma zaledwie 19 lat.

MĘŻCZYŹNI | Z początku podobno są całkiem szczęśliwi. Przejmuje folkowe fascynacje męża – posłużą jej za inspirację w pisaniu. Przed realizmem brytyjskiej prozy lat 60. ucieka (znów) w ludowość. Dopiero w późniejszych wypowiedziach nie zostawi na trwającym dziewięć lat małżeństwie suchej nitki: „Ach, po prostu w końcu wpadłam na kogoś, kto wreszcie chciał się ze mną przespać" – podsumuje decyzję o wejściu w związek. Na jej poczuciu własnej wartości ciążyła pewnie wtedy jeszcze nadopiekuńczość matki, ale biograf Edmund Gordon zauważa, że wypowiedzi o mężu w rodzaju „Więcej zażyłości zaznałam ze współpasażerami samolotów" pojawią się dopiero wówczas, gdy stanie się on byłym. Nie bez powodu jedyną osobą z najbliższego otoczenia Angeli, która nawet po dwudziestu latach nie zechce o niej rozmawiać, będzie właśnie Paul Carter.

Możliwe, że zaszedł jej za skórę, zapewniając niewystarczające wsparcie, gdy zaczęła pisać i czuła się jeszcze niepewnie. W korespondencji z przyjaciółmi z tamtego okresu poskarży się, trawestując powiedzenie ukute przez autorkę harlekinów: „Za każdym sukcesem mężczyzny stoi kobieta, podczas gdy za każdą kobietą stoi mężczyzna, który ciągnie ją w dół".

Znajduje sobie inną odskocznię – studia. Literatura angielska w Bristolu, gdzie przenosi się za mężem. Czyta Szekspira, surrealistów, teorię psychoanalizy Freuda – tropy, które będą przewijać się przez jej pisarstwo. Koledzy ze studiów zapamiętają ją jako introwertyczkę, wyróżniającą się ubiorem – dżinsy, kapelusz lub beret jak egzystencjalistka, zawsze w obłoku papierosowego dymu. W ten sposób maskuje nieśmiałość – po latach przyzna, że często myślała, że gdyby padła trupem w sali wykładowej, nikt by nawet nie zauważył.

Publikuje pierwsze powieści. Fascynuje ją proza Dostojewskiego, uwielbia „Lolitę". To wtedy zdefiniuje po raz pierwszy swoje podejście do feminizmu: „Nie widzę większej różnicy między kobietami a mężczyznami. Różnice między osobami tej samej płci są zwykle znacznie większe". Odżegnuje się od „kobiecego pisania", podobnie jak od rozliczeń z patriarchatem w literaturze – uważa to za cierpiętnictwo i utrwalanie pozycji ofiary.

Na polu literackim – sukces. Pierwsze próby Angeli zostają docenione. Od razu nagroda (potem już tak dobrze nie będzie), Somerset Maugham Award dla młodych autorów, pięćset funtów na pisarskie podróże. Za to w małżeństwie coraz gorzej. W łóżku się już nie układa, Paul cierpi na nawroty depresji, coraz mniej rozmawiają. Ona czuje się niewysłuchana, niezauważona. Nie odchodzi, jeszcze nie – boi się, że on w depresji popełni samobójstwo. Postanawia, że wybierze się w podróż dookoła świata. Wraca marzenie z dzieciństwa: odwiedzić Japonię. Zabiera jeszcze ze sobą Paula do Stanów, ale do Tokio leci już sama.

Nigdy nie nauczy się jeździć rowerem ani prowadzić samochodu (choć próbuje, trzeba jej to przyznać, za każdym razem kończąc na ścianie). Ale to związki z mężczyznami są najbardziej ekscytującym plotkarzy wątkiem w życiu Carter. Jej wybory w tej sferze, gdzie do dziś mimo pozornej równości dominują stereotypy związane z płcią, imponują odwagą. Ona starsza, on młodszy – wszędzie poza Francją to wciąż jedno z silniejszych tabu. A ona łamie go kilkakrotnie.

Pierwszy jest 24-letni Araki, Japończyk poznany kilka tygodni po przylocie w tokijskiej kawiarni. Tego samego wieczoru lądują razem w jednym z „hoteli miłości". A potem wędrują od kolejnego do kolejnego. Araki rzucił niedawno studia, podobno chce zostać pisarzem. Ale bardziej niż pisanie interesuje go gra w salonach pachinko – i inne kobiety, co Angela odkryje dopiero po jakimś czasie, gdy zamieszkają razem. Biograf zachodzi w głowę, o czym ta para mogła rozmawiać, zwłaszcza że Araki mówił słabo po angielsku, choć oczywiste zdaje się, że to relacja oparta głównie na seksualnej chemii: Carter odkrywa nowe wymiary swojej kobiecości, z dala od ról społecznych i wzorców dominujących w jej rodzimej kulturze. Odtąd będzie wybierać młodszych, mając w nosie to, co myślą o tym inni.

Na pożegnanie z mężem wybiera demonstracyjny gest: wsadza obrączkę do popielniczki na lotnisku w Tokio. Prosi go listownie o rozwód. Araki rzuca ją, gdy okazuje się, że ich style życia kompletnie do siebie nie przystają. Biografowi powie, że nie chciał być jej żigolakiem.

Następny jest Koreańczyk, jeszcze młodszy – ma dziewiętnaście lat, a wygląda na czternaście i też ledwo mówi po angielsku. Lekarstwo na rozstanie, po którym Carter nie może dojść do siebie. W końcu stwierdza, że ją znudził, i wraca do Europy.

Z ostatnim, który zostanie jej drugim ślubnym, dzieli ją jeszcze większa różnica wieku. Ale do niego jeszcze wrócimy.

JAPONIA I MITY | Japonia (miała pobyć w niej sześć tygodni, a spędzi dwa lata) zmieni ją też pod innymi względami. Jakby otwarcie się na nowy wymiar wolności osobistej zaowocowało kolejną fazą wolności twórczej. Świat realny przenika się ze światem nadprzyrodzonym, role płciowe okazują się nieoczywiste, Freudowskie niesamowite jest na porządku dziennym.

W Japonii wszystko jest inne, co odkrywa z zaskoczeniem, jak wielu przed nią i po niej, choć podobno już podczas lądowania w Tokio, patrząc na światła miasta, poczuła, że pobyt tam będzie przełomem. Dzięki doświadczeniom z japońskim kochankiem nauczy się na swój własny sposób pisać o seksie, łącząc delikatność z okrucieństwem, frywolność z czarnym humorem. Eksploruje nieznane Europejczykom sposoby myślenia o życiu i o pisaniu. Zaczyna też doceniać nowe, obce jej dotąd, pośrednie stany ducha – bez popadania na przemian w euforię i depresję.

W przerwie wpada na krótko do rodzinnego kraju, żeby przypieczętować rozstanie z mężem. Kiedy dowiaduje się, że matka wylądowała w szpitalu, idzie ją odwiedzić. Sophia Olive nie przepadała za zięciem, ale rozwód nie mieści się w jej obrazie świata. Na wieść o nim odwraca się bez słowa

do ściany i trwa tak, aż córka sobie pójdzie. Krótko później umrze – więcej się nie zobaczą.

Później Carter powie, że te lata w Japonii zrobiły z niej feministkę. Zobaczyła, że młode kobiety w Tokio zachowują się, jakby były własnymi lalkami. Ona odrzuca taką rolę i dzięki tej nowej perspektywie może sobie poradzić ze zdradami Arakiego. Wspomnienia stamtąd, włącznie z motywami z jej romansów, wrócą w literackiej formie w opowiadaniach. Nigdy nie nauczy się japońskiego.

Po powrocie miota się, wchodząc w chaotyczne, krótkie związki, ledwo wiążąc koniec z końcem, na pomoc przyjdzie jej ojciec z pożyczką na niewielki domek w Bath. Dostaje zlecenie na przekład baśni Charles'a Perraulta. Przy okazji bada inne baśnie i tradycje mityczne z zapałem antropologa religii. Ta przygoda zaowocuje przeróbkami klasycznych opowieści, które staną się znakiem rozpoznawczym Carter. Ich próbkę znajdziemy właśnie w „Pięknej córce kata".

„Mity ciekawią mnie (...) właśnie dlatego, że są to nadzwyczajne kłamstwa stworzone po to, by niewolić ludzi" – mówi Carter. Postrzega je podobnie jak Geoffrey Stephen Kirk, autor jednej z ważniejszych prac naukowych o istocie mitu, który napisał: „Mit w postaci czystej występuje w społeczeństwie określanym modelowo jako sakralne, a w kulturze społeczeństw rozwiniętych posiada pewne analogie, z których najbliższa jest ideologia". Ona widzi w nich odbicie lokalnych praktyk kulturowych i relacji władzy. Bezwolne w oryginale bohaterki zyskują podmiotowość, sprawczość – jak panna młoda z „Krwawej komnaty" (jej wersji baśni o Sinobrodym), która tęskni za ślubnym i sama otwiera komnatę, licząc, że znajdzie coś, co pozwoli jej poznać go bliżej, a są to szczątki poprzednich żon.

Twierdzi, że to, co robi, jest antymitem, ale równie dobrze można napisać, że też tworzy mitologię, inny, własny – jak by to ujął Claude Lévi-Strauss – *bricolage* z okruchów tego, co pozbierała po drodze.

Przy okazji powstają też mity o niej samej. Choć współpracuje z pismami feministycznymi, radykalne działaczki atakują ją za odwołania do markiza de Sade'a i wypowiedzi w rodzaju: „Pojęcie uniwersalności kobiecego doświadczenia to sprytna sztuczka oparta na pewności siebie". Pornografia to kostium, interesują ją stosunki społeczne – tłumaczy. Dla innych jest feminizującą pornografką. Jeszcze inni, sugerując się nadreprezentacją ludowych motywów w jej utworach, robią z niej współczesną czarownicę, jakąś emerytowaną kapłankę *wicca*. Nigdzie nie pasuje.

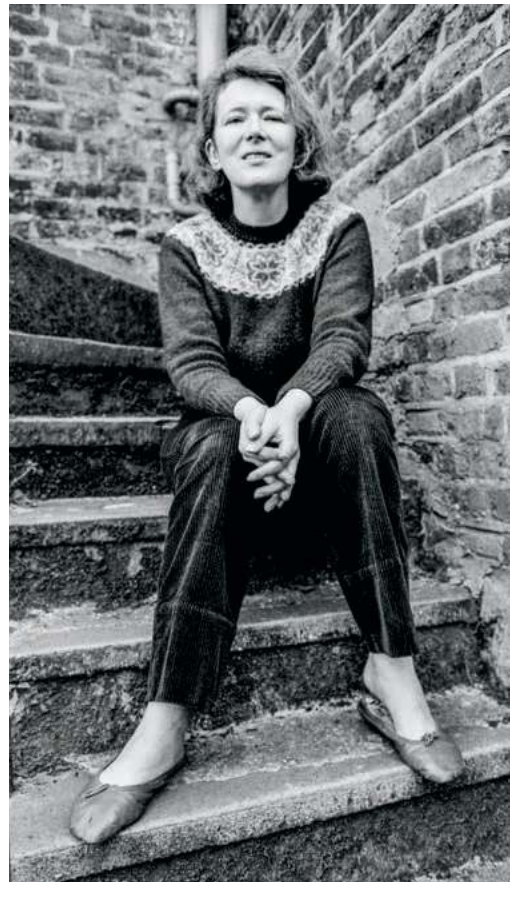

PETER MARLOW / MAGNUM PHOTOS / FORUM

ANGELA CARTER:

Pojęcie uniwersalności kobiecego doświadczenia to sprytna sztuczka oparta na pewności siebie.

Żeby było śmieszniej, z ostatnim mężczyzną połączy ją historia właśnie jak z klasyki pornograficznych motywów: dwa lata po powrocie z Japonii pęknie jej w domu kran. Zauważy w domu naprzeciwko robotnika budowlanego, zaprosi go na górę. Chłopak nazywa się Mark Pearce, ma 19 lat, ona 34. „Wszedł i już został" – opowie. Wspólne życie bardzo jej odpowiadało, bo niewiele mówił i nie przeszkadzał w pisaniu. Kiedy mąż wychodził na cały dzień naprawiać pęknięte krany, ona siadała do biurka. A przy tym był ponoć niezwykle przystojny.

STABILIZACJA | Ostatnia z ucieczek Angeli Carter, która zaskakuje chyba nawet ją samą, to ucieczka w rodzinne życie przeplatane pracą. Etap stabilizacji zawodowej pisarki. Choć nie osiągnie komercyjnego sukcesu, zostanie dostrzeżona przez czytelników i pojawią się zajęcia – wykłady o literaturze, nauczanie, wyjazdy. Wreszcie może powiedzieć, że jest zadowolona z własnego pisania. „Opracowałam bardzo dekoracyjną prozę o zwartej strukturze, która mogła pasować prawie do wszystkiego, i bardzo świadomie ją wykorzystywałam" – mówi.

Nie zdziwi się szczególnie na wieść, że ma nieoperacyjnego raka płuc, który zdążył rozsiać się po całym organizmie. Paliła jak smok od wczesnej młodości, przerywając dopiero, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży (jedynego syna urodzi mając 43 lata – jego wychowaniem będzie zajmował się głównie Mark). Już od jakiegoś czasu narzekała, patrząc w lustro, że zaczyna wyglądać jak własny ojciec. Wiedząc, że zostało jej niewiele czasu, bierze ślub z partnerem, porzuca plan napisania kolejnej powieści i porządkuje wybór dotychczasowych utworów, by odświętnie wyszykowana, ze spokojem zapraszać co tydzień przyjaciół na pożegnalne herbatki. Umrze we własnym łóżku po 51. urodzinach.

„»Fin« – skomentuje w swoim stylu – przyszło raczej wcześnie w »siècle«". © BEATA CHOMĄTOWSKA

Korzystałam z książki Edmunda Gordona „The Invention of Angela Carter: A Biography", Londyn 2016

STANISŁAW

Mancewicz:
Fizjologia polska

Nasza analiza będzie dotyczyć trendu, który nam się zaczyna wyraźnie wyświetlać. Trendu, nie detalu, a jest to, zdaje się, ciąg niewymyślony a mimowolny. Tak nam się zdaje.

Otóż zauważmy, że dominującą na razie problematyką w kampanii wyborczej tego coraz dziwniejszego, w skali przynajmniej europejskiej, polityka jest fizjologia człowiecza. Oto co go zajmuje i czym się tak ochoczo dzieli z wielbicielkami, wielbicielami oraz osobami wielbiącymi podczas swych peregrynacji po bezdrożach III RP: życie płciowe wszystkich, jadłospisy, zarazki, jakość ziaren zbóż, smak żywności produkowanej za granicą... Rzec trzeba, że jest to osobliwa tematyka wyborcza w kraju po prostu frontowym, będącym straszliwej wojny – to ulubione słowo tutejsze, więc go użyjemy – przedmurzem. I wszystko to – takeśmy sobie to zanotowali – odbywa się w grafomańsko lirycznej afektacji, zmieszanej z afektacją nad wyraz wulgarną, ubogaconej rechocikiem. Owe afektacje i rechociki, naszym skromnym zdaniem, będą w przyszłości, jeżeli takowej dożyjemy, powodem wielu prac badawczych z zakresu najszerzej pojętej polskości umysłowej. Zjawiska przez nas nad wyraz lubianego, obserwowanego z pasją bez ustanku, notowanego w każdym swym wymiarze, smaku, melodii i kolorycie i rzecz jasna analizowanego, na razie pobieżnie, jak bowiem wiadomo, są to wszystko sprawy wymagające dystansu, a więc skoro jesteśmy tak blisko fizjologii – przetrawienia i wydalenia.

No więc, jakeśmy na początku zapisali: fizjologia jako główny element kampanii wyborczej jest faktem bezspornym, ale napisaliśmy takoż, że jest to kierunek wytyczony mimowolnie. To może zdziwić każdego przyzwyczajonego do bezwzględnej celowości wszystkich zdarzeń w kosmosie. Ktoś więc teraz powie, że takie tematy kampanijne jak robaki w jadłospisie wymyśliła paraprawica nietutejsza i jest to poniekąd spostrzeżenie słuszne. Bo nasi rzadko coś samodzielnie wymyślają, gdyż najczęściej podglądają i adaptują.

Rzecz jednak w tym, że generalnie fizjologia jest tematem w Polsce jak nigdzie na świecie najważniejszym, bez względu na sezon, temperaturę dnia i nocy, czy są wybory czy ich nie ma, czy rządzi taki czy śmaki. Wystarczy wsiąść do pociągu bądź tramwaju i posłuchać, o czym ludzie mówią do swych telefonów, bez względu na to, co ma do zakomunikowania narodowi J. Kaczyński. Otóż mówią o tym, na co chorują, co zażywają, co zjedli bądź co kto zjadł. „On tego nie zje" – powiada zawsze ktoś w naszej obecności, w pojeździe komunikacji miejskiej, do kogoś, z kim akurat rozmawia. I to zdanie, ten wzbudzający niezdrową ciekawość komunikat zawsze nas wybija z zarozumiałego przekonania, że zjedliśmy wszystkie rozumy. „On tego nie zje...". Dlatego też mniemamy, że fizjologiczne tematy w kampanii wyborczej nie są wystylizowane przez delikatne umysły prawicowych spin doktorów ze zwichniętą moralnością, ale stanowią wynik wzmożonej uwagi na tematy fizjologiczne narodu, w tym jego umiłowanego przywódcy.

Dlatego wizerunki ludzi jedzących ze łzami w oczach golonkę, z dławiącym szlochem pijących koktajl z czerwonych mrówek, bądź mężczyzna przebrany za kobietę albo na odwrót, by tylko na tych wizjach poprzestać, nie tylko towarzyszą nam na co dzień, ale stają się też codziennością i sednem uprawianej tu polityki. Polski polityk, zwłaszcza paraprawicowy – a zauważamy to nie bez niesmaku – jest permanentnie zachłyśnięty fizjologią, jest zawsze gdzieś w okolicach tematyki gastro-moczowo-płciowej, oczywiście na poziomie pseudomedycznym. Jeżeli – jak się powiada – sztuczna inteligencja skrada się i szykuje eliminację ludzkiego umysłu, to bezwzględnie nasi politycy są pierwsi w formującej się kolejce. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY

najprościej

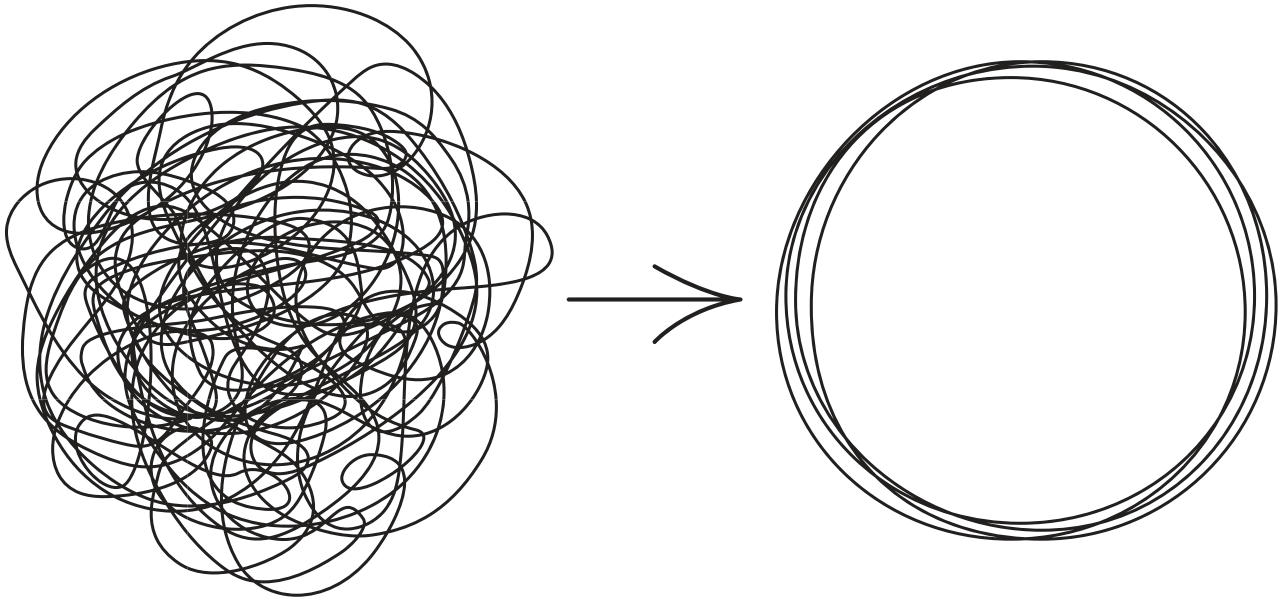

Zamów prenumeratę, a „Tygodnik” sam trafi w twoje ręce.

PRENUMERATĘ WYDANIA DRUKOWANEGO MOŻNA ZAMÓWIĆ PRZEZ:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11–15 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10–14 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

20th_MDAG_2023.film

Alisa.human

20th Millennium DOCS AGAINST GRAVITY FILM FESTIVAL

12-21.05.2023 KINA

WARSZAWA / ŁÓDŹ / GDYNIA / BYDGOSZCZ
KATOWICE / WROCŁAW / LUBLIN / POZNAŃ

23.05-04.06.2023 ONLINE

MDAG.PL

MDAG

PROGRAM / BILETY / KINA: MDAG.PL

20th_MDAG_2023.film

Alisa.human

MECENAS FESTIWALU
Millennium bank

ORGANIZATOR
AGAINST GRAVITY

ORGANIZATOR
OKONAKINO

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PROJEKT WSPÓŁFINANSUJE M.ST. WARSZAWA
Warszawa

WSPÓŁFINANSOWANIE
POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ UNIĘ EUROPEJSKĄ
Kreatywna Europa MEDIA

WSPÓŁFINANSOWANIE
VISA

WSPÓŁFINANSOWANIE
CANAL+ ONLINE